

KAREN ROBARDS

SPACER PO PÓŁNOCY

ROZDZIAŁ 1

Że też umarli nie umierają!

Eugene O'Neil

Powiesiła się na haku do zawieszania donic z kwiatami. Ozdobnym, wkręcany w sufit, z gwarancją wytrzymałości do pięćdziesięciu kilogramów obciążenia. Jeśliby przekraczała pięćdziesiąt kilo żywej wagi, ten pioruński hak żadnym sposobem by jej nie utrzymał i żyłaby do dziś. Ale ważyła tylko czterdzieści dziewięć, przy wzroście metr sześćdziesiąt, bo miała bzika na punkcie odchudzania się i przez całe dorosłe życie przestrzegła niskokalorycznej diety. Bała się utyć, bała się przekroczyć granicę pięćdziesięciu kilo, jak na ironię, właśnie tych pięćdziesięciu, bardzo się bała i bardzo się pilnowała, żeby nie... Jak na ironię, ale takie jest życie!

Życie... Jako duch - była przecież duchem! - mogła je kontemplować z dystansu. Mogła się nad nim półsennie zastanawiać, czując rodzaj mrowienia, a może raczej drżenia czy niepokoju na myśl o ewentualnym powrocie. Mogła hipotetycznie rozważać: czy chciałaby znów być żywa?

Żywa... Jak to jest - być żywym - niemal już nie pamiętała. Kontemplowała życie z odległej perspektywy, z innego wymiaru, jak gdyby zza zasłony. Postrzegła świat niczym nurek, który widzi blask dnia poprzez grubą warstwę wody.

Tamten „podwodny” świat wydawał się jej w tej chwili znacznie bardziej prawdziwy niż ten, powszechnie zwany „realnym”. Cóż, nic dziwnego, była przecież jego częścią. I było jej dobrze w tym półsennym, półpłynnym, półprzytomnym stanie, w jakim pozostawała od...

No właśnie, od jak dawna? Nie potrafiła tego określić, skoro czas przestał dla niej znaczyć cokolwiek. Po prostu - odkąd umarła. Odkąd którejś nocy stanęła na skraju biurka i wsunęła głowę w pętlę nylonowej linki, przywiązanej z drugiej strony do tkwiącego w suficie haka. Odkąd blat biurka usunął się spod jej stóp w nylonowych pończochach, odkąd po gwałtownej, ale krótkiej walce o oddech...

Pamięć tamtej przełomowej chwili była dla niej głównie pamięcią intensywnych, przytłaczających emocji. Przerazenie, niedowierzanie, rozpacz... Te trzy uczucia określiły graniczny moment jej przejścia z jednej strony na drugą, pogrążenia się w inny wymiar.

Odrealniająca, zacierająca kontury i wspomnienia wodnista zasłona pomiędzy bytem a niebytem zaczęła teraz niespodziewanie rzednąć. Dystans do życia zmniejszył się, co oznaczało powrót w jego pobliże - jeśli już nie w samą jego materię. Do tego samego pokoju,

w którym umarła.

Jako duch - a była przecież duchem! - mogła unosić się bez żadnych przeszkód wysoko pod sufitem, w pobliżu tego samego haka, na którym niegdyś zawisała, by wyzionać ducha. Bo ów hak nadal tam tkwił, bo mimo związanej z nim ponurej historii nikt jakoś nie zatroszczył się o to, żeby go wykręcić. Zapomniany, sterczał nadal z sufitu, przypominając kształtem palec - wygięty, zakrzywiony, jak w geście przywołania i zachęty.

Kiwnąć na kogoś palcem, przywołać kogoś do siebie... Któż ją przywołał, kto ją sprowadził w to miejsce? Jaki zew okazał się na tyle silny, by przerwać jej półprzytomną, półsensną wędrówkę przez wieczność i sprawić, że znalazła się tutaj?

Zaczęła sobie uprzytamniać to i owo w krótkich, przelotnych przebłyskach świadomości. Zaczęła sobie przypominać jakieś twarze. Świetlistą twarz jasnowłosego mężczyzny o ujmujących rysach. I drugą, również męską, ale smagłą, drapieżną...

Dwie twarze. Przypomniała sobie dwie znajome twarze. I równie znajome imię, własne imię, którego używała w życiu - Deedee.

Miała na imię Deedee, dopóki żyła. Potem umarła i znalazła się na tamtym świecie, a teraz znów powróciła na ten świat. Powróciła i odzyskała świadomość, choć przecież nie ożyła, jak się zdaje...

Po co wróciła? Na pewno po coś, w jakimś celu, z jakiegoś konkretnego powodu. Nauczyła się, jeszcze w życiu, w tamtym życiu, że wszystko ma swój powód i cel. Przekonana, że powód i cel powrotu zostanie jej w odpowiedniej chwili ujawniony, skłonna była cierpliwie na tę chwilę czekać. Jako duch, bo przecież była duchem...

ROZDZIAŁ 2

Ubikacje były najgorsze ze wszystkiego. Zwłaszcza męskie ubikacje. Paskudne stwory, ci mężczyźni. Czy nigdy, do licha, nie trafiają tam, gdzie celują?

Summer McAfee skrzywiła się z obrzydzeniem. Próbowwała nie myśleć, jak to się stało, że klęczy na brudnej posadzce i zawzięcie szoruje ją szczotką, jak do tego doszło, że musi się chwytać takiej podłej roboty. Robota to robota, im szybciej się z nią upora, tym wcześniej będzie mogła sobie pójść. Im prędzej, tym lepiej, przecież nie haruje dla przyjemności. *I can't get nooo SATISFACTION...* „Święta prawda!” - pomyślała, podśpiewując półgłosem znaną piosenkę Rolling Stonesów, światowy superhit od lat trzydziestu. Fałszując półgłosem, należałoby raczej powiedzieć. No tak, fatalnie fałszowała, ale co z tego! Nie występowała przecież przed publicznością, w pobliżu nie było nikogo, kto mógł ją choćby przypadkiem usłyszeć. Ani żywego ducha, tylko ona sama. Czemu nie miałyby się trochę rozerwać śpiewaniem? Uprzyjemnić sobie pracę...

Nie, uprzyjemnić sobie tego paskudnego zajęcia w żaden sposób się nie dało! Nawet z wyobrażonym wizerunkiem legendarnego Micka przed oczyma czuła się tak zde gustowana i zgnębiona, jak spętany koń w stajni pełnej much. *I can't get nooo...*

Na frazę zaintonowaną ponownie przez Summer nałożyło się nagle jakieś przeciągłe skrzypnięcie, dobiegające skądś zza zamkniętych drzwi męskiej toalety. Urwała nie kończąc, zerknęła przez ramię za siebie. W ciągu ostatniego kwadransa odwracała głowę w podobny sposób już co najmniej dziesiąty raz, nie żeby się rozglądać, ale żeby zaczerpnąć powietrza nieco mniej przesyconego duszącymi oparami lizolu i dać chwilę wytchnienia podrażnionym, zażawionym oczom. Może i trochę z tym lizolem przesadziła, ale męski kibiel był tak paskudnie zafajdany i cuchnący...

Mrugnęła parokrotnie oczyma. Widziała całkiem wyraźnie, że drzwi jak były, tak i są zamknięte, a w pomieszczeniu oprócz niej nie ma nikogo. A za drzwiami? Cóż, o tym, co znajdowało się za drzwiami, po prostu wołała nie myśleć. Powiedziała sobie tylko tyle: budynek jest stary, liczy ponad sto lat, no więc ma pełne prawo skrzypieć. Oczywiście, zupełnie nieszkodliwie! Nie warto się nad tym zastanawiać, trzeba kończyć robotę... Bracia Harmon, właściciele sieci zakładów pogrzebowych, byli jej najlepszymi zleceniodawcami, nie mogła sobie pozwolić na utratę dobrej opinii w ich oczach z powodu jakichś idiotycznych strachów. Ani z powodu tego, że dziewczyny, które najęła do pracy na sobotni wieczór, nawaliły po raz drugi w tym miesiącu. Drugi i ostatni! Zdecydowana natychmiast

zrezygnować z ich usług, Summer żałowała tylko, że zlitowała się po pierwszym razie. Tak czy inaczej, skoro zawiodły ją w ostatniej chwili, było już za późno na szukanie zastępstwa. Musiała wziąć się do roboty osobiście, w pojedynkę. Prawdę mówiąc, nie po raz pierwszy coś takiego jej się zdarzało. Gdy rozkręcała firmę „Daisy Fresh* - usługi porządkowe”, była szefową, księgową, sekretarką i sprzątaczką w jednej osobie. Dwa... Nawet nie to - cztery w jednym!

Reprezentacyjny dom przedpogrzebowy braci Harmon był wystarczająco rozległy, by praca przewidziana dla dwu sprzątaczek na cały wieczór przeciągnęła się, w sytuacji, gdy jest wykonywana przez jedną osobę, głęboko w noc. Minęła druga... Summer, uważając się za profesjonalistkę w każdym calu, starała się nie zastanawiać nigdy nad tym, gdzie sprząta. Fachowo wykonywała swoje obowiązki i tyle. Teraz jednak przytłaczające zmęczenie i specyfika miejsca zrobiły swoje. Wyobraźnia Summer zaczęła pracować nie mniej intensywnie niż jej ręce.

Środek nocy, stary, ciemny, wiktoriański budynek i wokół żywego ducha! Tu, w męskiej toalecie, za zamkniętymi drzwiami, tylko ona, ale tam, w innych pomieszczeniach - zwłoki! Trójka nieboszczyków elegancko ułożonych w trumnach, już gotowych do jutrzejszych przedpołudniowych pogrzebów. No i w oddzielnej sali czwarty truposz, nakryty prześcieradłem, dopiero oczekujący na balsamowanie i makijaż.

Do licha, kiedy już tak wyszło, że trzeba pracować w pojedynkę w środku nocy w trupiarni, to lepiej wcale o tym nie myśleć, tylko jak gdyby nigdy nic robić swoje! Summer opanowała drżenie rąk i skupiła się na swoim niewdzięcznym zajęciu. Odcinek podłogi pomiędzy muszlą klozetową a ścianą był zawsze najgorszy.

I can't get no good reaction. And Vve tried, and I've tried, and I've tried, and I've...

Skrzyp, skrzyp... Summer z wrażenia omal nie ugryzła się w język przy ostatnim, stłumionym już *tried!* Co to, do licha, za odgłosy? Znowu spojrzała niespokojnie na drzwi. Spojrzała oczywiście odruchowo, przestraszyła się oczywiście mimo woli... Już w chwilę później, biorąc wszystko na zdrowy rozum, zaczęła sama sobie robić w myślach wymówki. Co z tego, że jest noc, co z tego, że w starym domu przedpogrzebowym stojącym pośrodku sześćsetakrowego cmentarza tkwi sama, a nawet gorzej, w towarzystwie czwórki nieboszczyków? Przecież żaden nieboszczyk krzywdy jej nie robi, a w duchy, do licha, nie wierzy!

Chcąc dodać sobie otuchy, powiedziała na głos sama do siebie:

* daisy (ang.) – stokrotka; fresh (ang.) – świeży.

- Spoko, Summer, nic ci nie grozi, poza tobą w tym pioruńskim miejscu nie ma żywego ducha!

„Tfu, nie ma po prostu nikogo, oto właściwe słowo” - dodała już znowu w myślach i skrzywiła się smętnie, dochodząc do wniosku, że wcale nie czuje się lepiej ani pewniej. Lepiej czułaby się zapewne, gdyby jednak ktoś - byle nie „żywy duch” - z nią tu był!

Uporawszy się z trzecią i ostatnią kabiną, Summer w westchnieniu ulgi dźwignęła się z klęczek i cisnęła szczotkę do szorowania do stojącego nie opodal plastikowego wiadra. Jej narzędzie pracy wyładowało tam z głośnym łupnięciem, przeraźliwie głośnym w panującej wokół ciszy. Summer aż drgnęła pod wpływem nagłego hałasu. Chociaż cisza... Tak, ta cisza była chyba gorsza od łoskotu tysięcy szczotek i wiader, cisza i ciemność... Summer miała nieodparte wrażenie, że w ciemności i ciszy przedpogrzebowego przybytku jest obserwowana przez tysiąc niewidzialnych oczu i podsłuchiwana przez tysiąc niewidzialnych uszu.

A niech tam! *I can't get nooo...* - wychrypiąła podrażnionym przez lizol gardłem dla dodania sobie odwagi. Nie poskutkowało. Czuła się wciąż tak samo niepewnie, dała więc spokój z Rolling Stonesami. Pomyślała, że może ich muzyka jest zbyt mało świątobliwa jak na dom naznaczony majestatem śmierci i że to właśnie ona drażni duchy...

Drażni duchy? No nie, przecież to absurd, jakie znów duchy? Czy dorosła trzydziestosześcioletnia kobieta po nielichych życiowych przejściach - śmierć ojca, klapa w karierze, krach w małżeństwie - może się jeszcze bać duchów niczym jakaś siu - siumajtką? No, może czy nie? A jeśli...

Il there's something strange in your neighborhood... - przypomniała sobie filmową piosenkę z „Pogromców duchów” i uśmiechnęła się cierpko. Może raczej to powinna sobie zaśpiewać dla odwagi? A może nie? W końcu umowa z firmą braci Harmon stanowiła między innymi, że pracownicy zatrudnieni przy usługach porządkowych zachowują podczas wypełniania obowiązków służbowych powagę należną specyficznemu miejscu, jakim jest zakład pogrzebowy. Nawet walkmanów nie wolno im było zabierać ze sobą do roboty, nie mówiąc o radiach czy magnetofonach, a tym bardziej o wyśpiewywaniu. Jeśli Summer, jako bądź co bądź szefowa firmy „Daisy Fresh”, złamała tę żelazną zasadę, to chyba tylko dlatego, że padała na nos i potrzebowała jakiegoś bodźca, by doprowadzić pracę do pomyślnego końca.

„Szefowa firmy, jak to pięknie brzmi!” - pomyślała, przywołując na twarz autoironiczny uśmiezek. W firmowym fartuchu sprzątaczkki, spocona jak mysz, z fryzurą w koszmarnym nieładzie i z żółtym plastikowym wiadrem w ręku... Gdyby jeszcze teraz

zaczęła z nim uciekać przed wyimaginowanymi duchami przez obszerny dom pogrzebowy braci Harmon i rozległy cmentarz, wrzeszcząc: „Pomocy!” - niechybnie straciłaby resztki szefowskiej godności.

Nigdy! Szacunek dla siebie samej nakazał Summer natychmiast opanować lęk. Obawa przed ośmieszeniem się we własnych oczach poskutkowała lepiej niż zawadiackie wyśpiewywanie piosenek. Nareszcie się uspokoiła. Wyprostowała się godnie, jak przystało na właścicielkę firmy. Zdjęła gumowe rękawiczki i w ślad za szczotką cisnęła je do wiadra... Była postawną, dobrze zbudowaną szatynką. Miała piwne oczy i metr siedemdziesiąt trzy wzrostu. I kiedyś miała jeszcze wypielęgnowane dłonie, i paznokcie zawsze starannie polakierowane, ale to było dawno temu, nie warto nawet wspominać i absolutnie nie warto żałować, bo co znaczą czyściutkie rączki, jeśli życie ma się ogólnie zapaprane? W tej chwili z manikiurem było znacznie gorzej, ale z życiem przynajmniej - bez porównania lepiej!

Summer rozmasowała sobie krzyż i przeciągnęła się. Owszem, zarwała noc i urobiła swoje nieszczęsne ręce po łokcie, ale wywiązała się bez zarzutu ze zobowiązań wobec braci Harmon. Firma „Daisy Fresh - usługi porządkowe” dzięki jej samozaparciu znów solidnie wypełniła zlecenie. Jak zawsze solidnie, bez względu na okoliczności. Właśnie solidność była tym, co pozwalało „Daisy Fresh” od sześciu lat utrzymywać się w biznesie, kiedy podobne małe firmy usługowe najczęściej zaprzestawały działalności już po paru miesiącach.

Summer wzięła swoje wiadro z przyborami i środkami czyszczącymi, i podeszła do drzwi. Z ręką na klamce obrzuciła jeszcze wysprzątaną toaletę ostatnim, taksującym spojrzeniem. Wszystko było jak trzeba. Kafelki na ścianach i posadzce lśniły, armatura błyszczała, lustro połyskiwało krystaliczną czystością. Aseptyczność sedesów poświadczała papierowa taśma z nadrukiem ZDEZYNFEKOWANO, opasująca klapy. Na półeczce nad umywalką w niewielkim szklanym wazoniku znajdował się, jak zawsze, znak firmy „Daisy Fresh” - autentyczna świeża stokrotka. Zapach lizolu drażnił wprawdzie nozdrza, ale do rana powinien ulotnić się na tyle, by pracownicy i klienci zakładu pogrzebowego braci Harmon mogli się przekonać, że „Daisy Fresh” naprawdę sprząta solidnie i fachowo.

Z uśmiechem satysfakcji na ustach Summer otworzyła drzwi i wyszła. Wcisnęła umieszczony na zewnątrz przełącznik, gasząc światło w toalecie. Długi, wąski, wyłożony grubym, tłumiącym całkowicie odgłos kroków chodnikiem korytarz, w jakim się znalazła, przebiegał wzdłuż budynku na jego tyłach, prostopadle do szerokiego, reprezentacyjnego frontowego hallu. Z hallu wchodziło się do pomieszczeń, w których wystawiane były trumny i gdzie żałobnicy żegnali się uroczyście ze swoimi zmarłymi. Z korytarza - na lewo do toalet, a na prawo do pracowni balsamowania zwłok. Drzwi na wprost prowadziły na zewnątrz

budynku, prosto na parking. Były na głucho zamknięte, rzut oka wystarczył Summer, by się co do tego upewnić.

W korytarzu paliło się przyćmione światło, natomiast reszta budynku tonęła w nieprzeniknionym mroku. Bracia Harmon rygorystycznie oszczędzali na energii elektrycznej. Mikę Chaney, ich administrator, każdorazowo przypominał sprzątającym z firmy „Daisy Fresh”, by w czasie pracy nie włączać więcej żarówek, niż jest to niezbędnie potrzebne. Summer wymagała od swoich ludzi skrupulatnego przestrzegania dyrektyw zleceńodawców. Wymagała też od nich przestrzegania własnej dyrektywy, nakazującej zrobienie po zakończeniu pracy kontrolnego obchodu pomieszczeń. Tak na wszelki wypadek, by nie zdarzyła się gafa w rodzaju pozostawienia ścierki do kurzu na którymś z katafalków.

Jako osoba solidna i konsekwentna, sama również postanowiła zrobić obchód budynku, choć z uwagi na zmęczenie i późną porę czuła wielką pokusę, żeby go sobie darować. Dom przedpogrzebowy braci Harmon wypełniała ciemność i cisza.

Jedynym słyszalnym odgłosem był monotonny szmer klimatyzacji. Znając dbałość właścicieli o oszczędzanie prądu, Sum - mer zdziwiła się nawet, że nie wyłączono jej na noc. Czerwcowe noce w przytulonym do stóp Appalachów miasteczku Murfreesboro w stanie Tennessee ze względu na bliskość gór nie były aż tak upalne, by istniała konieczność chłodzenia pomieszczeń. Ale może w branży pogrzebowej...

Uświadomiwszy sobie, gdzie jest, Summer wzdrygnęła się. No tak, zwłokom potrzebny jest chłód, bracia Harmon nie mogą oszczędzać na klimatyzacji, to oczywiste. Zamiast się niepotrzebnie zastanawiać nad tak prostą sprawą, powinna szybko zrobić to, co jej jeszcze zostało do zrobienia, i jeszcze szybciej sobie stąd pójść!

Skierowała się do głównego hallu, by zapalić tam światło. Dopiero gdy rozbłysnął masywny, ozdobny żyrandol, wróciła do korytarza na tyłach, by tam z kolei światło zgasić. Za nic na świecie nie odważyłaby się wykonać tych dwóch działań w odwrotnej kolejności. Oszczędziłyby sobie wprawdzie biegania tam i z powrotem, ale musiałyby przejść po ciemku z głębi budynku przez cały rozległy hall, gdyż włącznik światła znajdował się dopiero przy drzwiach frontowych. Brrr...

Starając się zapomnieć o piosence z „Pogromców duchów” i dziwnym poskrzypywaniu, jakie słyszała sprzątając toaletę, zgromadziła przy głównym wyjściu z budynku swoje rzeczy - torebkę, odkurzacz i wiadro, po czym ruszyła na finalny obchód wysprzątanym pomieszczeń. Szła z duszą na ramieniu. Miała wrażenie, że klimatyzacja pracuje dziwnie głośno. Stłumiony szum przeradzał się w jej uszach - choć może tylko w jej wyobraźni? - w groźny pomruk, który w każdej chwili mógł przejść w straszliwy ryk jakiejś

tajemniczej bestii...

„No, nie! Za dużo naoglądałam się ostatnio filmów Stephen Kinga!” - uczyniła sobie w myślach wymówkę i skupiła się na tym, na czym powinna. Żadnych zapomnianych ścierek, żadnych przeoczonych śmieci czy papierków? Żadnych! Ani śladu brudu, wszędzie wzorowa czystość. I upojny, aż z lekka duszący zapach kwiatów w wieńcach i wiązankach u stóp katafalków, na których w eleganckich ubraniach i ozdobnych, wyściełanych aksamitem trumnach spoczywali zmarli, oczekujący na jutrzejszy pochówek.

„A gdyby tak nagle powstawali z tych trumien? Jakby zechcieli odtworzyć na żywo scenariusz »Nocy żywych trupów« i zmusić mnie do wystąpienia w jednej z ról? W roli ofiary, ma się rozumieć... Nie, co też mi przychodzi do głowy! Bez przesady z tym Stephenem Kingiem. Filmy to filmy, książki to książki, a życie to życie. Jeśli nawet bywa horrorem czy koszmarem, to nie z powodu duchów, upiorów, wampirów czy innych potępieńców. Bez przesady z tym Kingiem! Ale gdyby tak nagle ci umarli...”

Na przemian to rojąc rozmaite straszliwe sytuacje, to czyniąc sobie z tego powodu wymówki, Summer obeszła, a prawdę powiedziawszy, obiegła, wszystkie pomieszczenia. Zgasiła światło w poprzecznym korytarzu na tyłach budynku i z ulgą wróciła do frontowych drzwi. Pozostało jej tylko otworzyć je, wyłączyć główny żyrandol, wyjść przed budynek, zamknąć drzwi za sobą i, uff, zmykać do domu! Pozostało jej tylko...

Ale dlaczego ta przeklęta klimatyzacja pracuje tak głośno? Dlaczego coraz głośniejszy? Ten pomruk, ten ryk... Nie! „Póki życia, już żadnych filmów Stephen Kinga!” - złożyła samej sobie solenną obietnicę. Jaki znów pomruk, czyj ryk, to przecież tylko zwykła aparatura, a nie żadna czająca się bestia...

Nie! To niemożliwe!!! Zerknąwszy od strony frontowego hallu w głąb budynku, Summer spostrzegła nikły, ale wyraźny odbłask palącego się gdzieś światła. Cofnęła się niepewnym krokiem, spojrzała lękliwie w poprzeczny korytarz. Najpierw w jedną stronę, potem w drugą... Nie, to niemożliwe! Pracownia balsamowania zwłok! Metalowe drzwi tego najokropniejszego w całym budynku pomieszczenia były wprawdzie zamknięte, ale przez umieszczoną nad nimi wąską tafelę grubego matowego szkła przesączał się stłumiony blask.

„No trudno, zapomniałam zgasić, Mikę Chaney jutro mnie za to zbeszta, cóż, jakoś się wytłumaczę, ale nie wejdę tam teraz, żeby nie wiem co!” - pomyślała Summer w pierwszej chwili. „Ale przecież...” - zaczęła się wahać. Przecież „Daisy Fresh” sprząta solidnie i fachowo, na tej firmie naprawdę można polegać, przecież dlatego działa i utrzymuje się na rynku od sześciu lat nie narzekając na brak klientów!

„Daisy Fresh - usługi porządkowe”, symbol nowych, lepszych porządków w jej życiu.

Fundament nowego życia, nowy sposób na życie. Jej firma, własna firma! Firma, której honor wymaga, żeby to przeklęte światło zostało zgaszone.

„Do licha, zgaszę je i tyle!” - postanowiła ostatecznie Summer. Zaciśnęła zęby i, miotając w myślach przekleństwa na swoje niesolidne przeciwnice, przez które musiała sprzątać w trupiarni sama, na Stephena Kinga i nawet na szacownych, ale przesadnie oszczędnych braci Harmon, skierowała się ku drzwiom z sinoszarego metalu.

„Zwłoki są przecież pod prześcieradłem!” - próbowała sobie tłumaczyć, choć wiedziała, że to wątpliwe pocieszenie. Podeszła do drzwi, chwyciła drżącą ręką za klamkę, otworzyła. Logicznie rzecz biorąc, kontakt powinien być tuż przy wejściu, ale jakimś dziwnym trafem umieszczono go o dobre półtora metra od futryny, na lewo. Zrobiła krok w tamtą stronę. Miała przed sobą metalowy stół na kółkach, na którym pod prześcieradłem...

Masywne drzwi przymknęły się pod własnym ciężarem. Summer odruchowo odwróciła się, słysząc ich lekki metaliczny skrzyp i trzask. Na prawo od wejścia, pod przeciwległą ścianą, stał drugi stół, który przedtem był pusty. Był pusty, z całą pewnością był pusty, kiedy Summer sprzątała pracownię! Ale teraz...

Teraz leżał na nim na plecach nagi mężczyzna! Nie. Teraz leżał na nim na plecach trup nagiego mężczyzny!

Summer poczuła, że żołądek podchodzi jej do gardła, a włosy stają dęba na głowie. Trup, niczym nie osłonięty męski trup, bez ubrania, bez pogrzebowej charakterystyki. Taki straszny. Taki... ohydny!

Cały posiniaczony, pokiereszowany, twarz, tors... Pewnie ofiara wypadku. Ludzie Harmonów - Czy może faceci z pogotowia - musieli go tu przywieźć, kiedy sprzątała w toalecie - przywieźli, wnieśli i zostawili, słyszała przecież jakieś odgłosy, to pewnie było wtedy, przywieźli w środku nocy świeże zwłoki... Zostawili je nawet ich nie zakrywając, i poszli sobie. I nie zgasili światła, oto jedyne rozsądne wyjaśnienie. Przywieźli i odjechali. I nie powiadomili jej o niczym, bo nie przypuszczali, że o takiej porze jeszcze tu jest, a do ubikacji nie wchodzili.

Rozmyślając gorączkowo Summer czuła, że drżą jej nogi i że robi jej się niedobrze. Z obrzydzenia? Ze strachu?

No nie, co to, to nie! Jak rozsądny żywy człowiek może się bać trupa, cóż mógłby jej zrobić ten martwy nieszczęśnik, śmierć odebrała mu przecież wszelkie możliwości działania... A jej na szczęście nie, więc zamiast trząść się tutaj bez sensu powinna czym prędzej zgasić to przeklęte światło, wyjść z tej przeklętej trupiarni, wrócić do domu, wyspać się, wyłączyć z roboty te dwie przeklęte sprzątaczkę, a właściwie partaczkę, specjalistkę od nawalania, zwerbować

nowy zespół... Nie, dwa zespoły, ten drugi rezerwowo! Żeby już nigdy więcej tak się nie zdarzyło, że będzie sama w środku nocy sprzątać w zakładzie pogrzebowym!

Opanowawszy nieco najwyższym wysiłkiem woli roztrzęsione nogi i nerwy, Summer podeszła do kontaktu i zgasiła światło. Pracownię balsamowania zwłok wypełniła ciemność, cokolwiek tylko rozjaśniona odblaskiem światła z hallu, przesączającego się przez matową szybę umieszczoną ponad drzwiami. Summer podeszła do wyjścia, z ulgą ujęła za klamkę. I nagle...

Nagle usłyszała jakiś ściszony dźwięk, szmer, jakby tam z tyłu, za nią, coś się delikatnie poruszyło! Na myśl, że to umarły poruszył się na marach, sama zamarła z przerażenia. Nie, nie, to niemożliwe, nic nie słyszała, na pewno jej się zdawało, jakieś głupie urojenie! Wszystko przez tutejszy nastrój, przez grobową ciszę dookoła, człowiek robi się przeczulony, ale już dosyć tego dobrego, dzięki Bogu, najwyższy czas zmykać do domu!

Otworzyła drzwi. I nie wiadomo po jakie lichy, zamiast patrzeć prosto przed siebie, na odchodnym zerknęła jeszcze przez ramię do tyłu. I osłupiała! Na jej oczach martwy mężczyzna poruszył lewą nogą. Zgiął ją lekko w kolanie, uniósł o dobre trzy cale ponad blat stołu i z powrotem opuścił. Widziała to mimo półmroku. I wyraźnie usłyszała głuchy odgłos ciała uderzającego o metal.

W panice rzuciła się do ucieczki...

ROZDZIAŁ 3

Dopiero dopadłszy frontowych drzwi, Summer zatrzymała się i zaczęła rozsądnie myśleć. Tylko bez hysterii! To przecież żywy człowiek, a nie żaden tam wydumany „żywy trup”! Ktoś za sprawą fatalnej pomyłki przedwcześnie uznał go za zmarłego, a ona ma teraz szansę, ba, obowiązek, naprawić ten błąd, zanim fachowcy od Harmonów żywcem zabalsamują pokiereszowanego nieszczęśnika. Musi mu pomóc, tylko jak? Wezwać policję? Wezwać pogotowie? A może zadzwonić do Mike'a Chaneya i ściągnąć go tutaj prosto z łóżka? Niech sam rozpatrzy się w sytuacji i zdecyduje, co robić.

Summer już miała zamiar iść do telefonu, który znajdował się w biurze Chaneya, pierwsze drzwi na prawo od głównego wejścia, kiedy zaczęła się wahać. Może to, co zauważyła, było tylko efektem jakiegoś pośmiertnego skurczu mięśni u tamtego człowieka? Może to całkiem typowe, może zawsze tak jest? W końcu przecież nie zna się na umarlakach, w zakładzie pogrzebowym tylko sprząta... Narobi niepotrzebnego zamieszania, a Mikę po prostu ją wyśmiej. I jeszcze się wścieknie, że zamiast wykonać zleconą robotę wieczorem, jak powinna, pokutuje tu po nocy i na dodatek zakłóca mu sen? To przecież najlepszy klient „Daisy Fresh”, lepiej z nim nie zadzierać... I lepiej się nie przyznawać, że taka z niej szefowa, co to nie umie zorganizować sobie odpowiednich ludzi do pracy w odpowiednim czasie, tylko sama haruje po godzinach, żeby kompletnie nie zawalić sprawy. Reputacja firmy ucierpi. Jej firmy... Fakt, ale przecież tamten facet z wypadku ma o wiele więcej do stracenia od niej i „Daisy Fresh”! Bez pomocy do rana może jak nic wyzionąć ducha. Pomyłki już nie będzie, błędnie stwierdzony fakt zgonu stanie się faktem autentycznym. A ona? Ona weźmie swoje wiadro, torebkę, odkurzacz i jak gdyby nigdy nic pojedzie sobie do domu... Ale czy zdoła zachować spokój sumienia?

„Do licha, co robić? A może... - Summer wzdrygnęła się ze strachu i obrzydzenia, jednak nie była w stanie uwolnić się od przytłaczającego poczucia moralnego przymusu ani odmówić własnemu rozumowaniu bezlitosnej logiki -... może zajrzeć jeszcze raz do tej przeklętej pracowni, upewnić się co do sytuacji i wtedy już konkretnie zadziałać?”

Zajrzeć? Tam? Bez przesady, przecież jej serce tego nie wytrzyma, już teraz kołacje i miota się w piersi jak oszalałe, a za tamtymi drzwiami wyskoczy pewnie gardłem i rozpadnie się na kawałki. Zamiast jednego będzie dwójka, nie, w sumie trójka nieboszczyków do zabalsamowania na jutro!

„Spokojnie, tylko spokojnie, bez hysterii!” - Summer zaczęła w myśli komenderować

sama sobą.

Przecież przetrzymała już w życiu niejedno - ostatnio nawet ośmiogodzinny przegląd filmów z Bruce'em Lee, na który zaciągnął ją pewien zbzikowany na punkcie kina i dalekowschodnich sztuk walki dentysta, co to niby miał być obiecującym kandydatem na osobistego amanta - więc przetrzyma i to powtórne wejście do trupiarni. Raz kozie śmierć, niech to będzie prawdziwe „wejście smoka”, kłamka, drzwi, światło, stół pod ścianą, trup... Trup? Trup bez wątplenia: powieki zamknięte, twarz obrzmiała i blada, ostro kontrastująca z ciemnymi, krótko przyszyżonymi włosami, tors atletyczny, ale całkowicie nieruchomy, ani śladu oddechu, nogi bezwładne jak kłody... Trup, autentyczny trup mężczyzny poszkodowanego w wypadku, tu i tam sińce i okaleczenia, gdyby nie gęsty, ciemny zarost na całym ciele, pewnie byłoby ich widać jeszcze więcej. Trup, autentyczny trup!

No, oczywiście, że nie żaden idiotyczny zombie, który miałby się nagle zerwać z tego metalowego blatu i, wybałuszając szkliste oczy, capnąć ją lodowatymi rękoma i zamknąć w śmiertelnych objęciach! Do licha, takie bzdurne historie zdarzają się tylko w filmach, dorosła i w miarę rozgarnięta baba powinna o tym wiedzieć i śmiać się z tego, cha, cha, cha...

W istocie Summer wcale nie było do śmiechu. Na planie tego akurat filmu brakowało kamerzystów, oświetlaczy i reżysera... Scenariusz też wyglądał na kompletną improwizację... Do happy endu musiała doprowadzić sama. Do licha, nie mogła przecież liczyć na to, że partner jej w coś pomoże!

Skoro jest martwy... To znaczy na dziewięćdziesiąt dziewięć procent jest martwy, żeby było sto procent, powinna do niego podejść i go dotknąć, żeby mogła być już całkiem pewna, tak namacalnie pewna, ona, Summer McAfee, uosobienie solidności i skrupulatności, przez całe życie niepoprawna perfekcjonistka... Boi się, trzęsie się ze strachu, ma mdłości z obrzydzenia, ale mimo wszystko podejdzie do nieboszczyka i sprawdzi mu puls, żeby nie mieć już żadnych wątpliwości... Taki charakter to czasami prawdziwe kalectwo. Choroba, na którą nie ma żadnego lekarstwa!

Summer zacisnęła zęby i zebrała się w sobie. Zsunęła but z lewej stopy i podparła nim drzwi, żeby się nie zatrzasnęły i pozostały szeroko otwarte. Podeszła do stołu z nieboszczykiem. Zauważyła pod metalowym blatem rząd wąskich szufladek, jedna z nich była lekko wysunięta, w jej wyściełanym jasnozielonym płótnem wnętrzu coś połyskiwało, instrumenty używane przez preparatorów, do czego, lepiej nawet nie myśleć... Po co myśleć, o tym czy o czymkolwiek, trzeba tylko podejść i sprawdzić puls, nic więcej, tylko puls, wziąć umarlaka za rękę...

Nie! Na samą myśl można popuścić w majtki ze strachu. Wziąć go za rękę? Nigdy!

Do diabła z pulsem, za nic czegoś takiego nie zrobi, najwyżej dotknie umarlaka jednym palcem, przekona się, czy jest zimny, jeśli zimny, znaczy, że martwy, tylko dotknie jego ręki, jednym paluszkiem, tylko go lekko do...

- Nie!!!

Zanim Summer zdążyła wyciągniętą przed siebie dłonią skontrolować temperaturę ciała leżącego na stole do balsamowania zwłok mężczyzny, on chwycił ją błyskawicznym ruchem za nadgarstek i przyciągnął do siebie. Niesamowity horror w stylu Stephena Kinga stał się rzeczywistością! Koszmarną rzeczywistością... żywy trup boleśnie wykręcił Summer rękę do tyłu, za plecy. Owłosione, posiniaczone ramię oplótł jej wokół szyi.

- Nie!!! - Zdławiona morderczym uściskiem i jadowitym wyziewem śmierci, jaki bił od niesamowitego prześladowcy, Summer próbowała mimo wszystko krzyczeć.

- Milcz, kretynko, bo cię uciszę raz na zawsze! - syknął jej prosto w ucho.

Trup nie tylko żywy, ale i mówiący, miotający pogróżki i obelgi! Czy którykolwiek scenarzysta horrorów mógłby wymyślić coś bardziej makabrycznego?

Napastnik, jeszcze przed chwilą całkowicie, zdawałoby się, bezwładny, trzymał Summer z niezwykłą wprost siłą, niczym w kleszczach. Odwrócona do niego plecami, musiała przeginać się w krzyżu do tyłu i stawać na czubkach palców, by spazmatycznie zaczerpnąć choć odrobinę powietrza. Bolała ją wykręcona ręka, ramię prześladowcy dławiło jej gardło, serce biło jak młotem, a w oczach robiło się ciemno. Bała się, że za chwilę zemdleje i wtedy już z całą pewnością nie zdoła się obronić ani nawet ubłagać napastnika o litość.

Nie czekając, aż będzie za późno, zaczęła błagać od razu, stłumionym, zduszonym półszepsem:

- Nie rób mi krzywdy, proszę!

Nie rozluźnił uścisku. Przez dłuższą chwilę dyszał chrapliwie, aż w końcu warknął:

- Gadaj, ilu ich jest!

Summer dusiła się. W instynktownym odruchu samoobrony wbiła paznokcie wolnej dłoni w przedramię tajemniczego dręczyciela.

- Nie drap, bo ci powyłamuję te przeklęte paluchy! - zagroził.

- Dusisz mnie... - szepnęła przerażona na swoje usprawiedliwienie i opuściła rękę, zaprzestając czynnego oporu.

- Gadaj zaraz, ilu ich jest? - powtórzył zadane przed chwilą pytanie zniecierpliwiony napastnik.

- Dusisz! - jęknęła Summer, nadal nie udzielając odpowiedzi. Lekko rozluźnił uścisk.

Summer z ulgą wzięła głęboki oddech.

- No, gadaj wreszcie! - ponaglił.

- C.co m...mam m...mówić? - Summer aż się zaczęła jąkać ze strachu.

- Ilu ich jest?

„Na Boga, o kogo mu chodzi? Nie dosyć że umarłak, to chyba jeszcze jakiś wariat...” - myślała gorączkowo. Po chwili wykrztusiła:

- N...nie w...wiem, o kogo pa...panu chodzi... P...pan miał w...wypadek, p...proszę mnie puścić, w...wezweź lekarza!

- Nie rznij przede mną głupa, laluniu! Ilu ich jest, gadaj zaraz! Wzmocnił uścisk. Aby ratować się przed natychmiastowym uduszeniem, Summer musiała stanąć na palcach niczym baletnica na pointach.

- Puść... sześciu... - wyrzęziła zdesperowana, rzucając pierwszą lepszą liczbę, byleby tylko zyskać odrobinę czasu i jakąś szansę na zaczerpnięcie powietrza.

Morderczy uścisk znów osłabł. Summer mogła stanąć normalnie, na całych stopach. Pomyślała, że najwidoczniej jej zmyślona odpowiedź zadowoliła napastnika.

- Gdzie oni wszyscy są? - zadał następne pytanie.

„Ależ się uwziął, to chyba jakiś maniak, chociaż może nie, może całkiem normalny facet, tylko jest w szoku i męczą go jakieś omamy, nawet trudno się dziwić, miał wypadek, ucierpiał, stracił przytomność, w końcu ni stąd, ni zowąd ocknął się w trupiarni... Tak czy inaczej - doszła do wniosku Summer - w tej chwili jest naprawdę niebezpieczny, lepiej się mu nie sprzeciwiać, jeśli jakoś go udobrucham, to może mnie w końcu puści. Wtedy stąd zwieję i cześć! Do licha, po co w ogóle ruszałam tego umarłaka, niechby sobie spokojnie leżał na tym stole, proszę bardzo, że też zawsze muszę wepchnąć palce między drzwi...”

- Gdzie oni wszyscy są, do cholery? - Napastliwe warknięcie nieznanego wyrwało Summer z rozmyślań.

- N...nie w...wiem...

Silniejszy uścisk.

- Tam! - tracąc oddech, Summer wykonała wolną ręką nieokreślony wskazujący gest.

- Tam, to znaczy gdzie?

- W b...biurze... N...na tyłach b...budynku...

Rozluźnienie uścisku. Głęboki oddech. W porządku, tak trzymać. Mówić to, co chciałby usłyszeć. Tylko spokojnie, bez paniki. Może się da zbajerować i w końcu puści.

- Jak chcesz żyć, laluniu, to wyprowadź mnie stąd. Tak żeby nikt nie zauważył, rozumiesz?

Zatrwożona, rozgorączkowana Summer skinęła głową.

- A więc wyprowadzisz mnie? - upewnił się napastnik. Skinęła głową jeszcze raz.

- Po cichutku, żeby nikt się nie skapnął?

- T...tak...

- Tylko nie próbuj mnie wyrolować, bo gwarantuję, że pożegnasz się z tym światem przede mną!

Ton głosu nieznanego, naznaczony jakąś szaleńczą desperacją, nie pozostawiał cienia wątpliwości, że jego groźba nie jest czczą pogroźką. Napastnik uwolnił z uścisku zdętwiałą z bólu rękę Summer. Przytrzymując ją nadal przedramieniem za szyję, sięgnął wolną dłonią po jakiś pobrzękujący i połyskujący metalicznie przedmiot, i na poparcie swoich słów machnął nim jej przed oczyma.

- Wiesz, co to jest, laluniu? - syknął. - Masz, przypatrz się dobrze...

Pokazał Summer ów przedmiot raz jeszcze. Zadrżała z przerażenia, poczuła gwałtowny skurcz w żołądku... Był to srebrzysty, lśniący i z całą pewnością piekielnie ostry chirurgiczny skalpel z zestawu narzędzi pracy balsamisty.

- No, wiesz, co to jest?

Kiwnęła skwapliwie głową. Napastnik przyłożył mordercze ostrze do jej szyi w wyjątkowo wrażliwym miejscu, poniżej lewego ucha, gdzie tuż pod skórą przebiega tętnica. Wstrzymała oddech...

ROZDZIAŁ 4

Jedno małe cięcie i już cię nie ma na tym świecie, rozumiesz?

Bojąc się skinąć głową, żeby przypadkiem nie nadziać się na skalpel, Summer tylko jęknęła potwierdzająco.

- No to pamiętaj, żebyś nie dała mi do tego powodu. Rozumiemy się?

Napastnik cofnął rękę ze skalpelem. Summer energicznie kiwnęła głową na znak, że może być pewien jej całkowitej lojalności.

- Nie masz wyjścia, laluniu, musisz być grzeczna, dla własnego dobra...

Uwolnił Summer z dławiącego uścisku. Nieoczekiwanie wyswobodzona, była do tego stopnia sparaliżowana ze strachu, że zupełnie nie mogła się ruszyć. Niczym przerażona mysz, która drętwieje pod hipnotyzującym spojrzeniem pytona i, nie próbując nawet ucieczki, pozwala mu się żywcem połknąć!

Tajemniczy napastnik nie połknął Summer ani nawet nie próbował jej gryźć, jak przystało na wampira. Chwytał ją tylko mocno ręką za włosy, po rozpuszczeniu długie do połowy pleców, ale w czasie pracy spięte. Ze stukotem posypały się na podłogę przytrzymujące koczek szpilki. Summer jęknęła z bólu i pomyślała z przestachem; „Czyżby zamierzał mnie oskalpować?” *Nie* zamierzał, przynajmniej nie od razu. - No to wyprowadź mnie stąd po cichutku, tak jak ci mówiłem! - rzucił chrapliwie rozkazującym tonem. - Tylko bez żadnych numerów, mocno cię trzymam za te kudły, a w drugiej ręce mam... Wiesz co, prawda?

Kiwnęła głową.

- No to jazda!

Pamiętając, że oni, ci, których urojona przez napastnika obecność w budynku zmuszona była potwierdzić, znajdują się wedle tego, co na poczekaniu zmyśliła, „w biurze na tyłach”, Summer skierowała się w stronę frontowych drzwi. Całkowicie już ożywiony trup posłusznie szedł za nią bocznym korytarzem w kierunku głównego hallu. Zanim jednak pozwolił się wprowadzić na szerszą oświetloną przestrzeń, zatrzymał Summer, szarpiąc ją za włosy tak boleśnie i tak nagle, że aż przygryzła sobie język. Przyciągnął ją do siebie... Był całkowicie nagi, wiedziała o tym. Chociaż nie mogła na niego spojrzeć, doskonale wyczuwała dotykiem tę jego nagość, jego męską muskulaturę, jego cielesność...

Cielesność? Czy on w ogóle był cielesnym tworem? Wydawał się nim, owszem, wydawał się mężczyzną z krwi i kości, „z krwi” bez wątplenia, skoro był nawet w kilku

miejscach dość mocno pokrwawiony... Wydawał się, lecz czy naprawdę był człowiekiem? Wyobrażenia podsuwała Summer rozmaite znane z literatury i kina wizerunki wampirów, wilkołaków i upiorów, częstokroć obdarzonych szatańskimi umiejętnościami tymczasowego przybierania kształtów z pozoru ludzkich - oczywiście na zgubę swych nieszczęsnych ofiar, w celu wciągnięcia ich w jakąś śmiertelną pułapkę...

„Nie! Tylko bez głupstw! Za dużo naoglądałam się i naczytałam różnych beznadziejnych horrorów! - skarciła się w duchu Summer. - To przecież normalny człowiek, zwyczajny facet, niebezpieczny na pewno, może na domiar złego stuknięty, ale facet, a nie żaden wampir, zombie czy inny krwiożerczy duch. Przecież duchów nie ma. Dorosła, trzydziestosześcioletnia baba powinna o tym wiedzieć, w duchy wierzą tylko niedowarzone smarkule!”

Napastnik najwidoczniej rozejrzał się i upewnił, że hall jest pusty, bo popchnął lekko Summer i warknął:

- Jazda!

Posłusznie ruszyła przed siebie. Z każdym krokiem potęgował się jej strach, z każdym krokiem coraz natrętniej prześladowała ją myśl: co się stanie, kiedy już wyjdą z budynku na zewnątrz? Jak on się wtedy zachowa, co zrobi, co jej zrobi? Naiwnością byłoby przecież mieć nadzieję, że po prostu pozwoli jej odejść, spokojnie pojechać do domu... A jeśli ją zabije? Poderżnie jej gardło tym skalpelem? Miałaby umrzeć jeszcze tej nocy, już niedługo, za chwilę? O Boże, nie! Nie chciała umierać, w żadnym wypadku, nie była przygotowana na śmierć...

Szli w stronę drzwi. Prześladowca przez cały czas skradał się tuż za plecami Summer, czuła na karku jego świszczący oddech. Kiedy doprowadziła go już do frontowego wejścia, odważyła się zerknąć do tyłu przez ramię. Chciała się przekonać, jak teraz będzie wyglądał, w pełnym, jaskrawym świetle ozdobnego żyrandola, w pomieszczeniu już nie tak niesamowitym jak pracownia balsamisty. Zerknęła i natychmiast tego pożałowała. Wyglądał... Po prostu strasznie, przerażająco, potwornie, makabrycznie! Jego zmasakrowana twarz nie była twarzą człowieka, ale obliczem monstrum z opowieści o doktorze Frankensteinie. Wargi obrzmiałe, oblepione warstwą zaschniętej krwi. Nos bezkształtny, siny i również zakrwawiony. Zakrzepła, czarna krew na policzkach, podbródku i czole, mnóstwo zakrzepłej, zaskorupiałej krwi, prawdziwa krwawa maska! Lewe oko niemal niewidoczne, przesłonięte siną, a właściwie niemal granatową opuchlizną rozlaną szeroko dookoła. Prawe w niewiele lepszym stanie, równie mocno, być może wielokrotnie, podbite...

„Czy on w ogóle coś widzi?” - zastanowiła się Summer. Widział. Przelotne spojrzenie

jego prawego oka było tak przenikliwe i bezlitosne, że Summer nabrała pewności w jednej przynajmniej kwestii: jej prześladowca to ktoś, kto nie cofnie się przed niczym. Jeśli zechce ją zabić - zabije bez chwili wahania, jak... - Spróbuj mnie wyrolować, laluniu, wytnij mi tylko jakiś podły numer, to pamiętaj, nawet nie mrugniesz, jak ja ci wytnę, to znaczy przetnę...

Nie musiał kończyć zdania. Wystarczyło, że mocniej chwycił Summer za włosy i przytknął znów ostrze skalpela do jej szyi. Wystarczyłoby zresztą samo spojrzenie, sam naznaczony groźbą ton jego stłumionego, zachrypniętego głosu.

- Nie! Proszę... Nie mam zamiaru panu oszukiwać!

- Twoje zafajdane szczęście - burknął i cofnął rękę ze skalpelem. - Otwieraj te drzwi!

Summer posłusznie wykonała polecenie. W otwartym wejściu prześladowca znów ją na chwilę zatrzymał, przyciągając do siebie. Przyłgnąwszy nagim męskim ciałem do jej pleców, pośladków i ud, zamarł w bezruchu, najwyraźniej próbując rozejrzeć się w ciemności i wsłuchać się w nocną ciszę. Na opustoszałym cmentarnym terenie wokół domu przedpogrzebowe - go braci Harmon nie mógł usłyszeć niczego poza cykaniem cykad, które obficie wyroiły się tego roku w Murfreesboro, jak zawsze po siedemnastu latach przerwy. Nie mógł też zobaczyć nic poza majaczącymi w oddali grobowcami i stojącym na parkingu przed budynkiem, na prawo od wejścia, samochodem Summer, sfatygowaną toyotą.

- Twój wóz? - spytał. Skinęła głową twierdząco.

- No to jazda, wsiadamy.

Drzwi budynku zamknęły się, odcinając całkowicie dopływ światła. Grobowe ciemności rozpraszała tylko poświata księżycy i feeria gwiazd. Na ciemnogrnatowym, atramentowym niebie nie było jeszcze widać żadnych zwiastunów świtu. Wiał ciepły, niezbyt silny wiatr, niosąc ze sobą balsamiczny zapach sosen, którymi obsadzono dość gęsto cały teren cmentarza.

Doszli do samochodu, rozdeptując cykady, którymi, niczym jesienny park zeschniętymi liśćmi, dosłownie obsypany był cały teren parkingu. Summer wzdrygała się z obrzydzeniem przy każdym stąpieniu lewą nogą, bosą, bo lewy but nieopatrznie zostawiła w zatrzasujących się samoczynnie drzwiach pracowni balsamowania zwłok jako podpórkę.

„W obydwu butach - zaczęła rozmyślać Summer - może i miałabym jakąś szansę ucieczki przed tym potworem, a tak, bosą... I co z tego, że bosą, uciekałabym nawet po tłuczonym szkłe, gdybym miała jakąś szansę, ale przecież nie mam żadnej, nie wyrwę mu się, ma mnie w garści, dosłownie, jestem jego więźniem, zakładniczką, na razie muszę robić, co mi każe...”

- Wsiadaj! - nakazał prześladowca, popychając Summer w stronę drzwi samochodu od

strony pasażera i brutalnie przygniatając ją do nich.

Przerażona zastygła w bezruchu.

- No wsiadaj, mówię! - zniecierpliwił się. - Nie słyszysz? Głucha jesteś? A może ślepa? Nie widzisz przed sobą drzwi?

- N...nie m...mogę - zaczęła się tłumaczyć drżącym głosem.

- Te d...drzwi s...są zamknięte...te!

- Co takiego?

- Z...zamknięte, drzw...wi s...są...

- Nie bełkocz! Otwórz!

- N...nie mog...gę. Nie mam klucz...czyków.

- Jak to nie masz kluczyków? A gdzieś je, do cholery, podziła?

- Są w m...mojej t...tor...rebce. Tam! - wskazała ręką na drzwi budynku.

Napastnik wybuchnął stekiem najbardziej obmierzłych i wymyślnych przekleństw, jakie tylko można sobie wyobrazić, i w tak bogatym zestawie, że trudno to usłyszeć gdziekolwiek, nawet w najgorszych portowych spelunkach. Popchnął Summer z powrotem w stronę budynku. Ruszyła przed siebie, potykając się i pojękując z bólu. Był całkowicie nieczuły na te jęki, zniecierpliwiony szarpał ją za włosy mocniej i brutalniej niż przedtem. Poczula w ustach, dokładnie na samym czubku języka, smak prawdziwego, potwornego lęku - ostrego i cierpkiego jak ocet.

Podeszli do wejścia, on szarpnął za klamkę. Drzwi nie ustąpiły.

- Też są zamknięte, zatrzasnęły się, ty...

Rozwścieczony uniósł w górę wolną rękę. Summer skuliła się, oczekując morderczego ciosu skalpelem. Prześladowca nie ugodził jej jednak, tylko zaczął wykrzykiwać:

- Nawet mi nie mów, że nie masz klucza! Nawet mi nie mów, laluniu, że te cholerne drzwi są zamknięte, a ty nie masz klucza! Nawet mi nie mów, że klucz od tych drzwi i kluczyki od twojego cholernego samochodu są tam w środku! Nawet mi nie mów, bo... No, tylko spróbuj mi coś takiego powiedzieć, to ja cię tu zaraz!

- Proszę, nie... - jęknęła błagalnie Summer, kiedy szarpnął ją za włosy tak mocno, że aż podskoczyła, odrywając stopy od podłoża.

Potworna siła, bezlitosne spojrzenie i żądza mordu malująca się na monstrualnym, zniekształconym obliczu! - Proszę, nie rób mi krzywdy! Przepraszam... Nie wiadomo, czy błagania Summer o litość odniosłyby jakikolwiek skutek. Na szczęście nie miała okazji się o tym przekonać, nie musiała tego sprawdzać na własnej skórze. Nieoczekiwanie bowiem ciemność panującą wokół domu przed - pogrzebowego braci Harmon rozświetlił blask

reflektorów nadjeżdżającego cmentarną drogą skądś od strony miasteczka samochodu.

„Jestem ocalona, Bogu niech będą dzięki!” - pomyślała uradowana Summer. Ale prześladowca, w oczywisty sposób nie dzieląc jej entuzjazmu, syknął przez zęby: - Psiakrew... Spieprzamy!

Psiakrew, właśnie... Wszystko nie tak, miała uciekać od niego, miała się od niego uwolnić, ten ktoś, ktoś z tamtego samochodu miał ją uwolnić, a tymczasem, psiakrew... Uciekała razem z nim, uciekała od swoich wybawicieli, ciągle trzymana w garści przez tego potwora, tego Frankensteina, zmuszona biec z nim razem...

Biegł ciężko, niezgrabnie, utykając na lewą nogę, najwyraźniej zranioną czy w jakiś inny sposób nadwerżoną. Utykał, sapał, stękał, ale włosów Summer z garści nie wypuszczał. Trzymał ją mocno i ciągnął za sobą. Dopadli narożnika budynku i skryli się za nim. Potwór znów oplótł od tyłu szyję Summer dławiącym uściskiem zgiętej w łokciu ręki.

- Tylko piśnij, laluniu, a natychmiast cię przyduszę! - zagroził.

Ciężko dyszał ze zdenerwowania i wysiłku, i mocno się pocił. Przyciskał Summer do siebie, więc czuła wilgoć jego ciała na własnej skórze, przez ubranie. Równocześnie była zmuszona wdychać ostry, drażniący zapach potu swego prześladowcy.

- Ty, masz na sobie stanik? - spytał ją nieoczekiwanie w pewnej chwili.

- Słucham? - zdziwiła się tak bardzo, że na moment zapomniała o strachu.

- No stanik, biustonosz, nie rozumiesz?

- Rozumiem, mam... - kiwnęła głową.

Z parkingu przed budynkiem dobiegł do ich kryjówki odgłos podjeżdżającego, a potem hamującego z lekkim zgrzytem opon samochodu. „Dzięki Bogu, może niedługo ktoś nas tu znajdzie...” - pomyślała Summer.

- Ściągaj! Bluzkę i stanik, i to już! - polecił napastnik.

Nie próbowała dyskutować. Trzęsącymi się rękoma, nieposłusznymi palcami zaczęła rozpinać guziki. Wolała nawet nie myśleć, po co to robi, choć - mimo wszystko - nie sądziła, by jej dręczyciel w sytuacji, w jakiej się znajdował, zamierzał ją gwałcić. „Nie, przecież to absurd! - rozumowała. - Przecież ten facet najwyraźniej walczy o życie, w ogóle ledwo żyje, gdzieżby mu było w głowie... Tak, ledwo żyje. Jeśli w ogóle żyje!” Rozgorączkowana wyobraźnia podsunęła jej po raz któryś już tej nocy makabryczny motyw rodem z horrorów Stephena Kinga.

- Pośpiesz się, nie śpij! - syknął zniecierpliwiony prześladowca.

Summer starała się śpieszyć, ale zeszywniałe w nerwowym napięciu palce powodowały, że nie bardzo mogła sobie poradzić z guzikami. Zostały jej do rozpięcia jeszcze

dwa, kiedy miara cierpliwości napastnika wyczerpała się do końca. Jednym mocnym szarpnięciem od tyłu zdarł z Summer bluzkę i zaczął szukać po omacku zapięcia jej biustonosza. Nie mogąc go znaleźć, zaczął ściszym głosem miotać groźby i przekleństwa.

Strach przeważał nad skrępowaniem i wstydem. Summer gotowa była zrobić wszystko, byle tylko nie wyprowadzić z równowagi rozwścieczonego Frankensteina. Biustonosz, który akurat miała na sobie, rozpinął się z przodu. Pośpiesznie odpięła haftkę...

Zza narożnika budynku, z parkingu, dobiegło trzaśnięcie drzwi samochodu. „Ktokolwiek tu przyjechał, już wysiadł - pomyślała Summer. - O Boże, niechby mnie znalazł jak najprędzej i wyrwał z łap tego przekłętogo zwyrodnialca!”

Napastnik mocno skrępował jej ręce... stylonowym biustonoszem. Więzy nie do zerwania, że też włożyła stanik, jakby nie mogła latem chodzić bez! Obnażona i związana, czekała już tylko na gwałt, a potem śmierć z rąk prześladowcy - albo na uwolnienie przez człowieka z samochodu.

Z parkingu dał się słyszeć odgłos kroków. Summer nie potrafiła ocenić na odległość, czy są to stąpnięcia jednej osoby, czy kilku. Nie miała też zupełnie pojęcia, kto mógł o takiej porze przyjechać do domu przedpogrzebowego braci Harmon. Administrator Mikę Chaney? Załoga ambulansu z kolejnym ciałem do przygotowania na jutrzejszy pogrzeb? Patrol policyjny ^w czasie rutynowego nocnego objazdu miasteczka? „Ktokolwiek to jest, pozwól mu, Panie Boże, mnie uwolnić, uratować!” - zaczęła żarliwie modlić się w myślach Summer. „Ale, ale, jak ten ktoś miałby mi pomóc, skoro nie ma pojęcia, że tu jestem - zreflektowała się. - Powinnam dać mu znać, powinnam krzyżeć, niech się dzieje, co chce, przecież ten drań i tak mnie wykończy, to jedyna szansa, muszę krzy...”

Akurat otwierała usta, żeby zawołać o pomoc, kiedy napastnik wepchnął Summer między zęby jej własną bluzkę. Zaczęła się dławić, krztusić, knebel sięgał daleko w głąb gardła, zaczęło jej się zbierać na wymioty, zaczęła się dusić! Oddech, oddech, wszystko inne natychmiast przestało się liczyć, spokojnie oddychać nosem, spokojnie nabierać powietrza, o niczym innym nie myśleć, tylko oddech, oddech, oddech...

ROZDZIAŁ 5

Czekaj tu grzecznie, zaraz wrócę! - mruknął Frankenstein, przywołując na pokiereszowaną twarz coś w rodzaju uśmiechu. - No, trochę ci poluzuję tę szmatę, bo mi się jeszcze porzygasz - dodał niemal dobrodusznie i poprawił zaimprovizowany knebel, tak że Summer przestała się dławić. - Przykleknij sobie, laluniu - rzucił na koniec, chwytając ją obiema rękami za ramiona i siłą zmuszając, by z pozycji stojącej osunęła się na klęczki. - Zaraz cię tu jeszcze zakotwiczę, żebyś nie mogła odpłynąć w siną dal...

Zaczepił o coś skrupowane ręce Summer, wziął skalpel, niczym pirat sztylet, w zęby i zniknął za rogiem budynku.

Została sama. Próbowała wstać, lecz nie mogła, była przywiązana do czegoś, co sterczało z muru nisko, tuż nad ziemią. Przyjrzała się, to był kran, zewnętrzny kran do podłączania ogrodniczego węża, którym podlewano rozpościerający się wokół budynku trawnik.

„Do licha, ależ podle ten drań mnie uziemił, i jak przemyśl - nie! Cholerny spryciarz, niczego nie przeoczył, wszystko przewidział, o wszystkim pamiętał ten przeklęty zboczeniec, ten sadysta!” - wyrzekała w myślach Summer, bezskutecznie szarpiąc się na uwięzi.

Szarpała się na wszystkie strony, raz po raz, i jeszcze raz, i jeszcze, mocno, i jeszcze mocniej, z całej siły, aż do utraty tchu, byleby tylko rozerwać stanik, uwolnić się i uciec! Nie wracała już nawet uwagi na obolałe ręce. Spocona, zasapana, obśliniona szarpała się, napinała, wyęczała całą energię, ostatek sił! I przeklinała w myślach kogoś, kto wymyślił „te wszystkie przeklęte syntetyki, przez które głupi biustonosz wiąże równie mocno jak prawdziwe kajdanki”.

Jeszcze jedno szarpnięcie, i jeszcze jedno, i jeszcze... Nadludzki wysiłek, pokancerowane wbijającym się w skórę nylonem przeguby. Nic z tego... Jeszcze raz. A może jednak? Cud nad cudy, więzy zaczynają się luzować! Kilka dodatkowych szarpnięć i może... Do licha, no nie!!!

Wszystko na nic. Brakło czasu. Nim więzy miały szansę puścić, prześladowca już był z powrotem przy Summer, zgodnie z zapowiedzią. Okazał się nie tylko sprytny, ale i szybki. A do tego piekielnie zaradny: zdobył gdzieś ubranie. Teraz nie był goły, miał na sobie dżinsowe szorty i przyciasną czarną trykotową koszulkę z jakimś nadrukiem z przodu, a na nogach klapki. Wrócił, jak zapowiedział, i znów miał Summer w rękach, na swojej łasce i niełasce. Obnażoną, spętaną, zakneblowaną i śmiertelnie zmęczoną, wyczerpaną

bezowocnym wysiłkiem do tego stopnia, że niemal już obojętną na wszystko.

Podszedł blisko. Z wyglądu przypominał nieco bardziej niż przedtem człowieka, ale nadal cuchnął trupim odorem, a może tylko ostrym męskim potem lub jakimiś specyfikami z pracowni balsamowania zwłok, nieważne, tak czy inaczej, czymś, co przyprawiało Summer o mdłości. Jednym niedbałym ruchem ręki rozsypał pętlę przy kranie, z którą ona nie zdołała sobie poradzić mimo ogromnego wysiłku. Cholerny cwaniak, mistrz węzłów marynarskich! Tfu! Wyciągnął Summer bluzkę z ust, tfu, już nie bluzkę, tylko obślinioną bawełnianą szmatę. Splunęła po raz kolejny, chcąc się uwolnić od jakichś poprzyklepanych do dziąseł i podniebienia nitek, język miała sztywny jak kołek, odrętwiały, wargi obolałe i spieczone. Było jej trochę niedobrze, trochę słabo... Skuliła się, przykucnęła na trawniku, niepewna, czy za chwilę zwymiotuje, czy zemdleje.

Zgrzytnął odkręcony kran, zachlupotała tryskająca z niego pod sporym ciśnieniem woda. Pić! Pić!!! Summer poczuła nagle, że pragnie, potrzebuje tej wody tak bardzo, jak alkoholik wódki. Spojrzała w stronę kranu. Frankenstein przemywał sobie twarz. Odczekała, aż skończy, podeszła bliżej, nabrała trochę wody na skrępowane, złożone w łódeczkę dłonie, wychłęptała wszystko chciwie. Napiłaby się jeszcze, bo chłodna ciecz działała jak balsam na obolały język, obrzmiałe wargi i wyschnięte gardło, lecz prześladowca zakręcił kran.

- Dosyć, szkoda czasu - burknął. Rozwiązał Summer ręce i kazał jej się ubierać.
- Tylko prędko! - zastrzegł.

Nie zareagowała na polecenie. Co też miałyby, jego zdaniem, na siebie włożyć? Poszarpany biustonosz? Postrzępioną, wymiętą i obślinioną bluzkę? Znow apatycznie przycupnęła na trawniku.

Frankenstein chwycił ją za włosy i gwałtownym szarpnięciem zmusił do powstania na równe nogi. Ostrzegawczo machnął jej przed oczyma skalpelem.

- Coś chyba do ciebie mówiłem? Nie słyszałaś? Wkładaj ciuchy i to już, żebyś nie musiał jeszcze raz powtarzać!

Ból wyrwał Summer z dotychczasowego odrętwienia, strach dodał jej energii. Włożyła biustonosz z oderwanym ramiączkiem i sfatygowaną bluzkę. Ręce jej się trzęsły. Nim zdołała zapiąć czwarty z kolei guzik, napastnik zniecierpliwił się, chwycił ją za ramię i przyciągnął do siebie, tak że stanęli twarzą w twarz.

- Laluniu! - syknął z wściekłością. - Ani mi się waż grać na zwłokę! Poderżnę ci gardziółko i tyle, jak się będziesz ociągać, rozumiesz?

Przerażona kiwnęła głową.

- No to rusz tyłek! Idziemy...

Popchnął ją w kierunku parkingu. Kiedy wysunęli się z za narożnika budynku, Summer spostrzegła stojącą tam obok jej toyoty furgonetkę. Poszturchiwana przez prześladowcę, który szedł z tyłu, posłusznie zbliżyła się do drzwi szoferki, od strony miejsca przeznaczonego dla pasażera. Nim wsiadła, zerknęła jeszcze w stronę domu przedpogrzebowego braci Harmon. Niedaleko frontowych drzwi leżał nieruchomo mężczyzna, nagi, prawdopodobnie martwy.

- Zabiłeś go! - krzyknęła Summer prosto w twarz swemu prześladowcy.

- Uważaj, jak do mnie mówisz, bo cię wyprawię na tamten świat razem z nim. Spokojnie, laluniu, rozumiesz? Masz być posłuszna i grzeczna! Wsiadaj...

Summer zajęła miejsce w kabinie, Frankenstein wsunął się za nią, nakazując jej przesiąść się z fotela dla pasażera na fotel dla kierowcy.

- Będziesz grzeczna? - zapytał, obejmując Summer od tyłu lewym ramieniem, tak że ostrze trzymanego w dłoni skalpela znalazło się przy jej szyi, we wrażliwym miejscu poniżej lewego ucha. - No, będziesz?

Przytaknęła. Napastnik cofnął skalpel, przełożył go do prawej dłoni. Usadził się wygodniej.

- Ruszaj! - polecił Summer, podając jej lewą ręką wyjęte z kieszeni szortów kluczyki.
- Za kiepsko widzę, żeby prowadzić...

Westchnęła głęboko i boleśnie. Pomyślała z rezygnacją, że skoro tamten mężczyzna, kierowca furgonetki, w którym upatrywała swego wybawcę, nie żyje, nie ma na razie innego wyjścia, jak tylko posłusznie wypełniać polecenia napastnika. „Póki mu będę przydatna, nie wykończy mnie... Problem w tym, jak długo będzie mnie potrzebował”

- No, jazda! - ponaglił prześladowca.

Próbowała uruchomić silnik, lecz ręka trzęsła jej się ze zdenerwowania tak mocno, że nie była w stanie trafić kluczykiem w stacyjkę. Próbowała raz, drugi, trzeci...

- Jazda, powiedziałem! - wrzasnął Frankenstein.

Summer z wrażenia aż podskoczyła na fotelu i... wsunęła klucz tam, gdzie należało. Dzięki Bogu! Obrót, zapłon, gaz. Samochód szarpnął gwałtownie do tyłu; kierowca pozostawił go na wstecznym biegu. Summer w panice zapomniała o sprzęgle, nim zatrzymała pojazd, zdejmując stopę z pedału gazu i wciskając hamulec, wyrzucona z fotela do przodu uderzyła się boleśnie o kierownicę. Napastnik, zajęty dotąd rozmasowywaniem sobie obolałej lewej nogi, również stracił równowagę, wściekł się na dobre, pogroził Summer skalpelem i syknął:

- Ani mi się waż próbować czegoś takiego więcej! Zrozumiano Mógłbym się

skaleczyć...

- Ja niechcący... - jęknęła, usiłując opanować nerwy i strach. Pomyślała: „Mógłby się skaleczyć, owszem, najlepiej, żeby się nadział na ten chirurgiczny szpikulec i własną ręką się zakatrupi. Ale się nie skaleczył, widocznie drań ma więcej szczęścia od mnie. Trudno, muszę czekać na inną okazję wyrwania się z jego łap...”

Celowo nie zapinając pasa, aby w razie czego mieć większe szanse ucieczki, powtórnie uruchomiła silnik i wrzuciła pierwszy, a potem drugi bieg. Zaciskając kurczowo dłonie na kierownicy zaczęła łukiem wyprowadzać furgonetkę z parkingu. Kątem oka zauważyła, jak frontowe drzwi domu przedpogrzebowego braci Harmon otwierają się na oścież, a z oświetlonego wnętrza hallu wyskakują na parking trzech mężczyźni. Skąd się tam wzięli? Kim byli? Czy zdołaliby jej pomóc, gdyby zatrzymała wóz i zaczęła krzyczeć?

Mężczyźni zauważyli leżące nieopodal wejścia ciało kierowcy, pochylili się nad nim... Kiedy jednak dostrzegli manewrującą na parkingu furgonetkę, rzucili się natychmiast biegiem w jej stronę. Summer usłyszała ich głośne okrzyki:

- To on!

- Spieprza nam!

- Za nim!

Zorientowała się, że są nobliwie wyglądającymi dżentelmenami w średnim wieku, przyodzianymi w eleganckie garnitury. I że z zanadry marynarek wyciągają... rewolwery!

Nim zdezorientowana i zaskoczona zdążyła pomyśleć, co ma zrobić, nim zdobyła się na jakąkolwiek sensowną reakcję, jej prześladowca, wychylając się mocno w bok ze swego fotela, wcisnął obolałą nogą do oporu pedał gazu.

- Tempo, pełny gaz, żadnych sztuczek! - wrzasnął na Summer.

Zacisnęła dłonie na kierownicy. Mężczyzna cofnął nogę, zwalniając pedał, który ona natychmiast posłusznie wcisnęła aż do końca. Niespodziewanie sprawnie, z precyzją automatu, zaczęła zmieniać biegi. Trójka, czwórka... Samochód nabrał prędkości, lecz równocześnie rozległy się wokół niego jakieś trzaski i świsty. Coś zabębniło z boku w blachę szoferki. „Na litość boską, co to? Strzały? Prawdziwe strzały, prawdziwe kule?” - nie na żarty przeraziła się Summer. W panice puściła kierownicę, aby osłonić ramionami głowę.

- Trzymaj kółko, do cholery! Słyszysz? Łapy na kółko! - przywołał ją porządku Frankenstein, przytomnie przytrzymując kierownicę lewą ręką.

Kiedy po chwili Summer odzyskała już panowanie nad sobą i nad wykonującym akrobatyczne, kaskaderskie ewolucje „samochodem, i zaczęła normalnie prowadzić, mruknął z wyrzutem:

- Tamtym się nie udało, ale ty o mało co nas nie pozabijałaś! Baba za kółkiem zawsze musi zrobić coś głupiego...

Faktycznie, zareagowała niemądrze, jakby strach całkowicie pozbawił ją zdrowego rozsądku. Natomiast on - musiała to przyznać mimo całkowitego braku sympatii do swego prześladowcy - popisał się godną podziwu przytomnością umysłu i wspaniałym refleksem.

Pędzili wąską, asfaltową, wysadzaną po obu stronach wysokimi strzelistymi sosnami aleją dojazdową, która wiodła od domu przedpogrzebowego braci Harmon, poprzez cmentarz, do głównej szosy tranzytowej. Gnali na złamanie karku, coraz szybciej, dziewięćdziesiątką, setką... Było ciasno, Summer wciąż miała wrażenie, że furgonetka nie zmieści się między drzewami, i ciemno, bo jechali bez świateł. Sto, sto dziesięć, sto dwadzieścia... Summer kurczowo zaciskała dłonie na kierownicy, aby jej znowu nie puścić. Do licha, miała ochotę to zrobić, a także zamknąć oczy, żeby już dłużej nie patrzeć na przydrożne sosny mijane w szaleńczym tempie i w tak niewielkiej odległości, że samochód raz po raz niemal ocierał się o ich pnie.

Miała też oczywiście ochotę po prostu zwolnić, ale Frankenstein uniemożliwiał jej to, przekrzykując: „Gaz! Gaz do dechy!” - ilekroć próbowała nieco popuścić pedał, i bezceremonialnie przydeptując jej prawą stopę swoją lewą, tak aby pedał był cały czas wciśnięty do oporu.

- Zabierz tę nogę, bo się pozabijamy! - krzyknęła Summer, dojrawszy w pewnej odległości czerwone światło.

Była to sygnalizacja zainstalowana u zbiegu cmentarnej alei i głównej drogi numer 231. Summer doskonale wiedziała, że na tej tranzytowej szosie przez całą noc utrzymuje się intensywny ruch ogromnych, wielotonowych ciężarówek, prawdziwych transportowych kolosów, z których każdy siłą swego impetu i masy mógłby zmiażdżyć ich pojazd niczym pudełko zapalek, a w najlepszym razie zmieść go, po prostu zdmuchnąć, na pobocze. Jeżeli więc wpadną na autostradę zniecka, na czerwonym świetle...

- Stańmy, na Boga, stop! - krzyknęła jeszcze głośniejsze.

- Zamknij się, głupia, gazu! - warknął w odpowiedzi jej nieubłagany prześladowca i z ogromną siłą przygniótł stopę Summer do pedału.

Przeżrana tym, co z największym prawdopodobieństwem powinno za chwilę nastąpić, zaczęła w duchu żegnać się z życiem i światem. „Już zostanę na tym cmentarzu... - pomyślała

- Ułożą mnie w gustownej trumnie u Harmonów. Jeśli w ogóle będzie co ułożyć, jeśli w ogóle będzie co pozierać!”

- Skręcaj w lewo! - polecił Frankenstein.

Posłusznie i, prawdę mówiąc, całkowicie odruchowo wykonała manewr. Było jej wszystko jedno, w lewo czy w prawo, czerwone czy zielone... Przekonana, że za chwilę zginie w straszliwej kraksie, potrzebowała dłuższej chwili, by uświadomić sobie coś zupełnie niesamowitego: katastrofa nie nastąpiła, szosa nr 231 jakimś cudem okazała się akurat pusta.

- Gaz, gaz do dechy, nie zwalnij! - przynaglił prześladowca.

Wiedział, co robi. Ledwie ujechali kawałek po autostradzie,

Summer dostrzegła we wstecznym lusterku światła samochodu wyjeżdżającego na szosę z bocznej, cmentarnej drogi. Trudno byłoby się spodziewać o tej porze żałobników, nawet najbardziej spóźnionych. Za rzecz więcej niż pewną należało uznać, że ścigają ich trzej dżentelmeni z pistoletami.

Pogoń, pościg... Summer nie miała pojęcia, czy powinna się martwić, czy cieszyć. Gdyby tak tamci faceci okazali się jej wybawcami, gdyby ją uwolnili z rąk siedzącego obok potwora... A co, jeśliby się okazali potworami znacznie gorszymi od niego, tyle że w eleganckich garniturach? Jak dogonią furgonetkę, będą strzelać bez namysłu, raz już przecież strzelali... Kiedy zaczną, będą celować przede wszystkim w kierowcę, żeby zatrzymać wóz i ująć zbiega, o którego im chodzi. Jego złapią, ale ją wcześniej zakatrupią, ot co, takie to będzie uwolnienie!

Kim on właściwie jest, ten pokiereszowany facet tuż obok, którego początkowo wzięła za nieboszczyka? A tamci trzej, co to za jedni? Jaka toczy się gra pomiędzy nimi a jej prześladowcą? I o co grają? Do licha, mniejsza z tym, jej stawka w tej przeklętej grze, w którą wplątała się mimowolnie i zupełnie niepotrzebnie, jest jednoznacznie określona i wyjątkowo wysoka - życie! Ona, Summer, gra o życie, prowadząc tę cholerną furgonetkę ciemną, opustoszałą autostradą w kierunku miasta, gra o życie, wciskając prawie do oporu gaz, kurczowo trzymając kierownicę i z duszą na ramieniu zerkając we wsteczne lusterko!

Mężczyzna zorientował się po minie Summer, że coś ją w tym lusterku niepokoi. Spojrzał w nie również, a ujrzawszy światła, szpetnie zaklął.

- Gaz do dechy! - wrzasnął i znów z całej siły przygniótł lewą nogą stopę Summer do pedału.

Szaleńcza prędkość, zakręt, zbyt gwałtowne szarpnięcie kierownicą, hamulec... Samochód wypadł z drogi na pobocze, przeskoczył rozpędem przez przydrożny rów, staranował drewniany płot, który oddzielał szosę od sąsiadującego z nią pola, wpadł w zboże i wreszcie oparł się z głuchym łoskotem na czymś, co było wielkie i żółte, i najwyraźniej wyjątkowo stabilne i masywne, skoro zdołało powstrzymać rozpędzoną furgonetkę. Na...

kombajnie, pozostawionym na noc w polu przez niefrasobliwego farmera.

ROZDZIAŁ 6

„Przeżyć zderzenie z kombajnem to wielkie szczęście. Przeżyć zderzenie z kombajnem i zginąć z rąk uzbrojonych w rewolwery elegantów w garniturach albo uzbrojonego w skalpel obszarpańca w skradzionym podkoszulku i szortach, to byłby wielki pech” - pomyślała Summer, kiedy oprzytomniała nieco po wypadku i zorientowała się, że nadal tkwi w kabinie furgonetki, przebywając wciąż na tym, a nie na tamtym świecie.

Ból głowy i trzepotanie serca - oto co odczuwała w pierwszym momencie po kraksie. Serce waliło jej jak młotem z przejęcia. Głowa bolała w wyniku zderzenia z przednią szybą furgonetki. Na szczęście była cała, znaczy głowa. Summer stwierdziła to z ulgą, kiedy ocknąwszy się z chwilowego zamroczenia i puściwszy ścisną przez cały czas kurczowo kierownicę obmacała ją sobie dokładnie ze wszystkich stron. Cała była również szyba samochodu, Summer przekonała się o tym otworzywszy oczy i rozejrzawszy się uważnie dookoła. A Frankenstein, jej prześladowca? Tkwił nadal, tak jak przed wypadkiem, w fotelu dla pasażera, tuż obok, ale robił wrażenie bezwładnego i nieprzytomnego. Ręce luźno zwieszone, oczy przymknięte, rozchylone usta, głowa odrzucona do tyłu... Śmiercionośnego skalpela nigdzie nie było widać, wstrząs pewnie odrzucił go w jakiś ciemny kąt kabiny.

Summer poczuła, że wracają jej siły. Skoro potwór został szczęśliwie unieszkodliwiony, to znaczy, że ona jest... wolna! Hura!!! Może natychmiast wysiąść z unieruchomionej furgonetki i pójść sobie, dokąd zechce. Prześladowca już jej przecież nie zatrzyma!

Dźwignęła się lekko na siedzeniu, odblokowała drzwi i sięgnęła ręką do klamki, żeby je otworzyć. Otworzyć, wyskoczyć i uciec!

- Stop, powoli! - oszołomiony Frankenstein wymamrotał te słowa wprawdzie dość niewyraźnie, ale chwycił Summer za włosy z taką siłą, że syknęła z bólu i nie zdołała wyrwać się na zewnątrz przez zachęcająco uchylone drzwi.

Ból i rozczarowanie wprawiły ją we wściekłość. Do tej pory przez cały czas raczej uległa i potulna, zapomniała nagle o wszelkich obawach i lękach. Z desperacją i kompletną pogardą dla niebezpieczeństw, jakie mogły jej grozić ze strony prześladowcy, podjęła z nim walkę. O swoją wolność, o własny honor! „Jeśli już muszę zginąć tej nocy, to przynajmniej pokażę najpierw draniowi, że umiem się bić!” - myślała rozgorączkowana.

Pchnęła go całym ciałem tak mocno, że aż wypadł z fotela i łupnął plecami i głową o drzwi po swojej stronie kabiny. Z furią wbiła mu paznokcie w szyję, zęby w ramię, a kolano

w podbrzusze.

- Ty suko! - krzyknął z bólu, ale jej włosów z garści nie wypuścił.

Summer straciła równowagę, zwała się z rozpędu na opartego o drzwi przeciwnika, te pod gwałtownym naporem się otworzyły, po czym oboje, prześladowca i przemieniona tymczasem w napastnika ofiara, bezwładnie wypadli z kabiny na zewnątrz, prosto w zboże. On wylądował na plecach, ona na nim. Znów trafiła go kolanem w podbrzusze.

- Ty zmijo! - krzyknął tym razem dla odmiany, ale nadal nie wypuścił z ręki jej włosów.

Rozwścieczona Summer chciała poprawić kopniaka następnym. Nim zdążyła, odebrała od leżącego przeciwnika tak potężny cios w szczękę, że na pewien czas utraciła zdolność nie tylko do walki, ale w ogóle do czegokolwiek. Padła nieprzytomna na wznak. To był prawdziwy nokaut, po którym na dobrą chwilę po prostu urwał jej się film.

Gdy się ocknęła i otworzyła oczy, ujrzała nad sobą piękne gwiazdzone niebo i... upiorne oblicze prześladowcy. Nie zastanawiając się, dlaczego się nad nią pochylił, czy będzie próbował ją dusić, czy cucić, czy chce tylko udzielić jej pomocy, czy też ma w planie jakieś lubieżności - zaczęła krzyczeć.

Zamknij jadaczkę! - burknął i zatkał jej usta dłonią.

- Precz z łapami! - syknęła, odpychając jego rękę i dźwigając się do pozycji siedzącej, by się odsunąć do tyłu.

Niestety, tuż za sobą miała samochód, więc nie mogła zbyt daleko się cofnąć. Z przodu czyhał jej prześladowca. Znalazła się w pułapce. Zrozumiała to i natychmiast utraciła całą dotychczasową odwagę i energię, przestała myśleć o oporze i walce. Przycupnęła apatycznie na ziemi, spodziewając się najgorszego - gwałtu i śmierci.

Frankenstein przysiadł nie opodal, naprzeciwko niej.

- Wolnego, laluniu, nie chciałem zrobić ci krzywdy - odezwał się w miarę spokojnym i dobrodusznym tonem. - Tamten klaps był konieczny, a hałasować też nie powinnaś, bo jeszcze ściągniesz na nas jakieś nieszczęście. Musiałem cię uciszyć, dla twego własnego dobra...

- Idź do diabła! - burknęła nadąsana Summer.

- Złego diabli nie wezmą! - odparował żartobliwie, po czym natychmiast poważniejąc dodał: - Ci faceci, którym wpadłem w łapy, byli gorsi od diabłów, urządzili mi prawdziwe piekło, ale się im wyrwałem i nie zamierzam tam wracać. Ci twoi przyjaciele, wiesz... Swoją drogą, co z nich za kumple! Kiedy strzelali do mnie, to wcale się nie przejmowali, żeby ciebie przy okazji nie trafić! Jakby nas teraz razem dopadli, najpewniej by nas razem ukatrupili,

pomyśl o tym i raczej nie rób mi więcej takich numerów... Jak mnie wystawisz, nic nie zyskasz, a możesz sporo stracić. Rusz głową i zrozum, że przyjaźń z nimi absolutnie ci się chwilowo nie opłaca.

- Człowieku, co ty, do licha, pleciesz? - obruszyła się Summer. - Jaka przyjaźń, jacy kumple? Przecież ja wcale tych facetów nie znam!

- Powiedzmy...

- Nigdy w życiu ich przedtem nie widziałam!

- Powiedzmy...

- Skończ z tym „powiedzmy”! Mówię ci prawdę.

- Powiedzmy...

- Do licha, co takiego zrobiłam, że mi nie wierzysz? Chciałam udzielić ci pomocy, tam, w trupiarni... Jak się ruszyłeś, to pomyślałam, że może nie jesteś umarlakiem, podeszłam, żeby sprawdzić, a ty cap! Jakie masz prawo tak mnie prześladować? Jakie masz prawo mnie przy sobie więzić tyle czasu?

- Zapewniam cię, że prawo jest po mojej stronie.

- Bo niby co?

- Bo jestem stróżem prawa, policjantem. Dokładnie... no, kimś w rodzaju policjanta.

- Wolne żarty!

- Nie kłamię. Dlatego nie próbuj czasem zrobić mi jakiejś krzywdy! Za zabójstwo policjanta w naszym pięknym stanie Tennessee grozi czapa, konkretnie krzesło elektryczne. A kim ty jesteś, laluniu, że się tak płaczesz w nocy po trupiarni?

- Ja? Sprzątaczką!

- Wolne żarty!

- Nie kłamię. Dokładnie to jestem kimś w rodzaju sprzątaczkki. Prowadzę firmę „Daisy Fresh - usługi porządkowe”. Moi ludzie sprzątają na zlecenie tu i tam, między innymi w domu przedpogrzebowym braci Harmon. Wczoraj wieczorem ekipa mi nawaliła, no to musiałam sama zasuwać przez pół nocy, żeby nie stracić kontraktu. Bracia Harmon to dobrzy, stali klienci...

- Nieźle, sprzątaczkka! Powiedzmy, że to prawda.

- Do licha, człowieku, po co miałabym łąć? I po co miałabym cię wtedy ruszać, gdybym ci chciała zaszkodzić? Zostawiłabym cię na tym stole i tyle, tamci trzej już by cię umieli porządnie zabalsamować! Mam rację?

- Nnno, może... Ale przecież jak cię pytałem o resztę bandy, wiedziałaś, co odpowiedzieć?

- Plotłam ze strachu byle co, żebyś tylko przestał się czepiać i grozić mi tym skalpelem.

- Powiedzmy...

- Tak było, przysięgam, że tak było! Myślałam, że jesteś stuknięty, to znaczy, że pod wpływem szoku zbzikowałeś, że miałeś jakiś wypadek samochodowy czy inny, coś z głową, wiesz... Mówiłam ci to, co chciałeś usłyszeć, żebyś się uspokoił, udobruchał... Taka gra, z wariatami podobno inaczej nie można, jak chcą się bawić, trzeba przyjąć ich reguły...

- Tłumaczysz się nawet logicznie, bystra jesteś. Sprzątaczką, Daisy Fresh... Masz jakieś dokumenty?

- Mam. W torebce.

- A torebka została tam, na cmentarzu, w tamtym domu, w hallu, za zamkniętymi drzwiami. Torebka, dokumenty, kluczyki od samochodu... Nieźle kombinujesz.

- Łatwo możesz mnie sprawdzić. W książce telefonicznej Murfreesboro jest mój numer, jeżeli zadzwonisz, to się do ciebie odezwę z automatycznej sekretarki jako Daisy Fresh. Poznasz mnie po głosie...

- Laluniu, ja faktycznie nielecho oberwałem, co chyba po mnie widać, ale zgłupieć to jeszcze nie zgłupiałem, zaręczam!

Nie mam zamiaru na razie się stąd ruszać, tamci już pewnie czekają na nas w mieście, już rozstawili, gdzie trzeba, swoich szpicli. Nie będziemy się pchali prosto na odstrzał, już wolę ci tymczasem uwierzyć! Powiedzmy, że jest tak jak mówisz. Cholera, mogliśmy się roztrzaskać o ten kombajn przez ciebie, wygłupiłaś się, ale na szczęście nie zapomniałaś o hamulcu, impet był trochę słabszy... I tamci na szczęście nie zauważyli z szosy, że nas tu zarzuciło.

- Skąd wiesz, że nie zauważyli?

- Jakby zauważyli, już by zdążyli nas wykończyć, ci twoi kumple...

- Nie są żadnymi moimi kumplami, nie mam z nimi absolutnie nic wspólnego! Ile razy mam ci powtarzać?

- Powtarzaj sobie, ile razy chcesz, może mnie w końcu przekonasz... Ale zastrzegam, jestem z natury nieufny!

- Do licha, nie musisz mi ufać! Rób, co chcesz, daj mi tylko święty spokój. Dojdę do szosy, może ktoś rano podrzuci mnie do domu. A ty baw się dalej w podchody...

- Już ci mówiłem, oberwałem, ale nie zgłupiałem! Nigdzie nie pójdziesz, to wykluczone.

- Niby dlaczego?

- Bo jesteś... aresztowana!

- Że co?

- Nie udawaj głuchej. Jesteś aresztowana i tyle!

- Aresztowana? Przecież ty nie możesz mnie aresztować!

- Mogę, mogę, czemu by nie... Już cię aresztowałem.

- Bez przesady, człowieku! Nie masz prawa mnie aresztować. Po pierwsze, nic nie przeszkrobałam, po drugie, nie wolno ci tego zrobić bez nakazu, po trzecie, nie możesz okazać legitymacji ani żadnych innych dokumentów. Taki pewnie z ciebie policjant jak ze mnie gwiazda filmowa! Policjant bez munduru, bez dowodu, bez broni, cały pokiereszowany, najpierw goły jak święty turecki, teraz w kradzionych ciuchach... Przebieraniec! Widzieliście go, najpierw udawał trupa, a teraz udaje gliniarza... I będzie mnie tu jeszcze straszył aresztem!

- Skończyłaś? To zamknij buzię i posłuchaj: jestem policjantem i tyle, stróżem prawa, gliniarzem! A ty jesteś aresztowana.

- Pokaż legitymację!

- Nie rozśmieszaj mnie! Gęba mnie trochę boli, jak się śmieję.

- Fakt. Ale i tak ci nie wierzę! Policjant...

- Sprzątaczką... Też ci nie wierzę, możemy sobie dać buzi! No, nie... Może innym razem, jak już trochę wyładnieję.

Zaśmiała się chrapliwie. Summer również zachichotała. Mimo całego dramatyzmu sytuacji musiała przyznać, że ten facet nie jest aż takim potworem, na jakiego początkowo wyglądał. Po pierwsze, to nie żaden zombie, tylko człowiek, po drugie, nawet nie wariat, po trzecie, może nawet nie rzezimieszek, wplątany w gangsterskie porachunki, tylko policjant... Policjant nie policjant, złych zamiarów chyba nie ma, gdyby chciał ją skrzywdzić, ktoś by mu w tym teraz przeszkodził, mógłby zrobić, co tylko by mu przyszło do głowy, a on tymczasem siedzi sobie spokojnie po turecku i wdaje się z nią w dyskusję... „Właśnie, diskutujmy dalej - pomyślała - poszukajmy nowych argumentów!”

- Jeśli naprawdę jesteś policjantem, to złożę na ciebie skargę - oświadczyła. - Ewidentne przekroczenie uprawnień! Groziłeś mi skalpelem, uderzyłeś mnie... Będziesz się musiał z tego wszystkiego nieźle tłumaczyć przed przełożonymi!

- Trzęsę portkami na samą myśl...

- Nie kpj sobie i nie bądź taki chojrak! Mój teść jest szefem policji w Murfreesboro.

- Teść szefem policji? A to ciekawe! Powiedzmy...

- Do licha, mówię poważnie!

- No to jak się szanowny teściulek nazywa?

- Rosencrans. Samuel T. Rosencrans - odparła Summer z triumfem.
- Każdy głupi w mieście może znać nazwisko szefa policji. Z radia, z telewizji, z gazety. Wielka rzecz, nazwisko...
- No to powiem ci więcej, niedowiarku! Mój teść, Samuel T. Rosencras, szef policji w Murfreesboro, ma pieprzyk pod lewym okiem i namiętnie pali cygara. A jego „T.” przed nazwiskiem to inicjał drugiego imienia - Tyneman. Jeszcze ci mało? Posłuchaj dalej; stary Rosey ma jednego syna...
- A, właśnie... Tu cię mam! O ile wiem, syn Roseya ożenił się z jakąś szalową laską z Nowego Jorku, modelką czy striptizerką...
- Z prezydentką bielizny, mój panie! To właśnie ja.
- Bardzo mi miło, jestem Mister America!
- Nie kpj. Ślub był jedenaście lat temu, parę kilo mi od tamtego czasu przybyło, odeszłam oczywiście z zawodu...
- I zostałam sprzątaczką?
- Właśnie!
- Specjalistką od brudnej roboty?
- Bez aluzji. Zresztą żadna praca nie hańbi...
- No jasne! Może to nawet przyzwoitsza robota szorować kible, niż paradować na pokaz w majtkach i staniku.
- Zamknij się, człowieku! Znalazł się obrońca moralności, co to sam jeszcze niedawno zmuszał mnie, żebym zdejmowała stanik...
- Stan wyższej konieczności, szanowna pani Rosencrans albo Fresh, jak wolisz... Stan wyższej konieczności, tak to się fachowo nazywa. Stanik zamiast kajdanek... Nadal jesteś aresztowana, pamiętaj!
- Strasznie zawzięty z ciebie facet.
- Zwłaszcza na baby. Żadnej nie popuszczę, chociaż prawdę mówiąc, same na mnie lecą. Robi się to wrażenie na kobietach...
- Piorunujące! Chyba się zaraz porzygam.
- Rzygać możesz, bylebyś tylko nie próbowała uciekać. Ostrzegam: złapię cię, biegam nieźle, ma się jeszcze trochę kondycji, w szkole grywałem w futbol...
- W jakiej szkole? - rzuciła Summer podchwytliwe pytanie.
- W Trinity - Frankenstein bez zająknięcia wymienił nazwę znanego katolickiego liceum w odległej od Murfreesboro o mniej więcej czterdzieści mil stolicy stanu, Nashville.
- Naprawdę? Znałam kiedyś paru chłopaków z tej budy.

Faktycznie mieli drużynę futbolową. Może i o tobie miałam okazję usłyszeć... Jak się nazywasz?

- Ja? Steve...

- A dalej?

- Calhoun. Nazywam się Steve Calhoun. I co, słyszałaś kiedyś o mnie?

ROZDZIAŁ 7

A kto nie słyszał! Jesteś sławny w całym Tennessee...

„Sławny, a może raczej niesławny” - pomyślała Summer, przypominając sobie skandaliczną historię, którą mniej więcej trzy lata wcześniej usilnie rozdmuchiwała lokalna prasa i telewizja, i o której wspomniał nawet w swoim czasie „National Enquirer”. Steve Calhoun, funkcjonariusz policji stanowej, dokładnie - oficer śledczy, uwikłał się w romans z żoną swego najlepszego przyjaciela, również policjanta, nieźle się zapowiadającą piosenkarką country. Ta kobieta popełniła samobójstwo, kiedy próbował z nią zerwać, powiesiła się... w jego gabinecie, w komendzie policji w Nashville! Na dodatek, zamiast listu pożegnalnego, zostawiła kasetę wideo; były tam ostre sceny erotyczne w jej i Calhouna wykonaniu, zarejestrowane... w tym samym biurze policyjnym, w którym później odebrała sobie życie! Kasetę wpadła w niepowołane ręce, ktoś ją skopiował, przekazał lokalnej stacji telewizyjnej...

- Nie wierz we wszystko, co na mój temat słyszałeś! - przerwał Steve Calhoun rozmyślenia Summer. - Połowa tych sensacji to były zwykłe wymysły...

- Aha, to znaczy druga połowa - fakty?

- Nie bądźmy tacy zgryźliwi, pani Rosencrans! Nie trawię zgryźliwych bab.

- Nie jestem zgryźliwa i nie jestem Rosencrans. Nazywam się McAfee, Summer McAfee. Rosencrans junior rzucił mnie po paru latach małżeństwa.

- Wiedziałem, że mądry z niego chłopak...

- Nie bądźmy tacy złośliwi, panie Calhoun! Nie trawię złośliwych facetów. Ale, ale... Jeżeli dobrze pamiętam, wylali cię z policji po tej całej aferze. Żaden z ciebie gliniarz, Steve, z tym aresztowaniem to bujda! Jestem wolna. Mogę sobie pójść, kiedy tylko mi na to przyjdzie ochota.

- Proszę bardzo. Spróbuj. Najlepiej zaraz.

Spojrzała na niego, on na nią. „Westchnęła ciężko i... nie ruszyła się z miejsca.

- Cieszę się, że nie jesteś taka głupia, na jaką wyglądasz - mruknął.

Wzruszyła ramionami.

- Nie wysilaj się na docinki, człowieku! Lepiej powiedz, skądś się wziął żywy na stole do balsamowania zwłok w środku nocy?

- Nie słyszałeś o promocji usług braci Harmon? Kto się sam zgłosi za życia, płaci połowę kosztów pogrzebu.

- Bardzo śmieszne!

- Uwielbiam, jak się dziewczyny śmieją z moich dowcipów.
 - To schowaj sobie dowcipy dla dziewczyn, a mnie wyłóż sprawę serio. Miałeś wypadek czy co?
 - Owszem, wypadek, przy pracy... Możemy to tak nazwać, jeśli chcesz! - zachnął się. - Za nieostrożność dostało mi się parę klapsów. Tamci faceci, twoi kumple, próbowali mi to i owo wybić raz na zawsze z głowy, na szczęście łeb mam trochę twardszy niż myśleli.
 - To nie są żadni moi kumple! Ile razy mam ci powtarzać?
 - Do skutku. Kumple nie kumple, sponiewierali mnie, wysmarowali jakimś smrodliwym świństwem...
 - A ja myślałam, że zalatujesz trupem!
 - Tfu, wypłuj to słowo. Ciągłe jeszcze żyję. Wysmarowali mnie czymś smrodliwym i pewnie łatwopalnym, rzucili na tę sympatyczną leżankę... I zaczęli hajcować w krematorium! Chcieli mnie przyrumienić na żywca, rozumiesz, przyrumienić, upiec, spalić na popiół, rozsypać. Najdrobniejszy ślad by nie został...
 - Do licha, teraz wiem, czemu chodziła klimatyzacja! To przez ten piec.
 - Cieszę się, że nie jesteś taka...
 - Nie popisuj się! Powiedz lepiej, co to za jedni... Kim są ci ludzie, którzy chcieli cię tak urządzić?
 - To raczej ty mi powiedz...
 - Proszę bardzo, już mówię! - zirytowała się Summer. - Pocziwe muszą być z nich chłopcy, skoro akurat ciebie chcieli wykończyć. Mają u mnie za to po plusie. Cześć, idę do domu!
 - Szerokiej drogi! - mruknął na pozór obojętnie.
- Summer dźwignęła się z ziemi. On również wstał. Był wyjątkowo atletycznie zbudowany, jak przystało na eks - futbolistę. Summer nie mogła sobie nie uświadomić, że droga w żadnym razie nie będzie wystarczająco szeroka, jeśli barczysty facet o błyskawicznym refleksie zechce jej ją zastąpić. Próbowała nadrabiać tonem głosu i miną.
- Przepuść mnie, Frankenstein! - syknęła.
 - A czy ja cię trzymam? - spytał kpiąco, przestępując z nogi na nogę. - Frankenstein, mówisz?
 - Tak wyglądasz. To znaczy, jak ten typek, co go Frankenstein stworzył, ten jego potwór...
 - Dzięki za komplement.
 - Na zdrowie. Przepuść mnie!

- Nie chcę cię zatrzymywać, ale... Nadstaw tylko ucha!

Summer wsłuchiwała się w ciszę. Wychwyciła jakiś buczący odgłos, coś jakby...

- Helikopter - potwierdził jej domysły Steve Calhoun. – Do szoferki, jazda! Zaraz może pokropić ołowiany deszczyk.

Chwycił Summer w pól, dosłownie wrzucił do kabiny i sam wskoczył za nią.

- Trochę ważysz, kobieto... - stęknął, zatrząskując drzwi.

- Dzięki za komplement.

- Na zdrowie. Kładź się na podłozie, raz, dwa, trzy!

Summer, gramoląc się dość niezgrabnie na czworakach po niespodziewanym locie i dość bezwładnym, twardym lądowaniu, zsunęła się w szczelinę pomiędzy fotelami a maską samochodu. Steve bezceremonialnie ułokował się na niej, przygniatając ją swym ciężarem.

- Ty też nie jesteś lekki jak piórko - mruknęła.

- Rozum musi sporo ważyć, to pewne. Muskuły też są cięższe niż tłuszcz.

- Powiadasz? O Boże, co to?

Kabinę samochodu wypełniło nagle oślepiające światło.

- Nic takiego, po prostu szperacz. Taki specjalny reflektor.

Helikopter ze szperaczem? To może policyjny? Może ktoś usłyszał strzały na cmentarzu albo zauważył zderzenie furgonetki z kombajnem i zawiadomił policję? Jeżeli to policja, to trzeba wysiąść i pomachać, trzeba dać znać o sobie. Wreszcie nastąpi koniec tych wszystkich przeklętych kłopotów.

- Steve, może to policja, trzeba im się pokazać! – krzyknęła Summer.

Calhoun przygniótł ją do podłogi jeszcze mocniej.

- Może, ale nie trzeba... - mruknął lakonicznie.

Zaczęła się z nim szarpać, usiłując spod niego wyczołgać się w stronę drzwi. Ani drgnął. Wciąż była unieruchomiona.

- Steve, trzeba sprawdzić!

- Nie trzeba! - warknął.

Ściągnął z fotela rozłożony na nim zamiast pokrowca koc i nakrył szczelnie siebie i Summer.

- Lepiej nie patrzeć na to, co tu się zaraz będzie...

Nim dokończył zdanie, wokół rozszalało się piekło. Helikopter, sądząc po ogłuszającym hałasie, zawisł w powietrzu tuż nad unieruchomionym w polu samochodem. Jakby basowy ryk silnika latającej maszyny nie był wystarczająco potworny, zawtórowała mu po chwili seria trzasków i świstów. Karabin maszynowy! Z helikoptera ktoś strzelał! Ktoś

ostrzeliwał furgonetkę z broni maszynowej!

Po pierwszych seriach rozprysnęła się przednia szyba, odłamki szkła rozsypały się wokół niczym drobiny gradu, scena jak z filmu. Summer przypomniała sobie zakończenie „Butcha Cassidy'ego i Sudance'a Kida”! Kolejne serie waliły po blasze szoferki... Summer przestała żałować, że nie udało jej się pomachać ludziom z helikoptera. Przestała sobie wyobrażać, że mogą być policjantami. Przestała się wrywać Steve'owi, nie miała już do niego pretensji, że ją przygwoździł do podłogi, przygniótł własnym ciałem i jeszcze przyduśił kocem. Uświadomiła sobie, że Steve Calhoun, Frankenstein, żywy trup, jej prześladowca - osłania ją od kul!

Po dłuższej chwili kanonada ustała, a helikopter odleciał. Steve ostrożnie uchylił koc, żeby się rozejrzeć. Wokół panowała ciemność, nikt już nie oślepił ich szperaczem. Ciemność i cisza.

- W porządku, Summer? - spytał troskliwym tonem.

- W..w...w p...p...po...rząd...k...ku - odpowiedziała, szcękając ze strachu zębami.

- Nie bój nic, na razie mamy spokój! Musimy się stąd czym prędzej zmywać.

- Zmywajmy się, Steve! - przytaknęła skwapliwie, porzuciwszy najwyraźniej zamiar odłączenia się od Calhouna i podjęcia samotnej wędrowki do domu, do Murfreesboro.

Steve dźwignął się i pomógł jej wstać, a nazywając rzeczy po imieniu - uniósł ją w górę za pasek od spodni i bezceremonialnie cisnął na fotel kierowcy. Rozejrzała się z przerażeniem dookoła. Wszędzie w kabinie było pełno szkła, oprawa przedniej szyby ziała pustką.

- Spróbujemy uruchomić ten złom - mruknął Steve. - Jeżeli się uda, ty poprowadzisz.

- A niby dlaczego nie ty? - Summer powoli zaczynała odzyskiwać rezon.

- Bo na razie nie najlepiej widzę, już ci mówiłem. Zresztą świetny z ciebie kierowca, prawdziwy rajdowiec...

- Dzięki za komplement.

- Na zdrowie. Spróbuj zapalić. Przedtem wrzuć na luz.

Summer ustawiła jałowy bieg, przekręciła kluczyk. Silnik zarzęził, ale zaczął działać.

- Dobra nasza! Teraz wrzuć wsteczny.

Posłusznie wykonała polecenie. Samochód z wolna zaczął się cofać.

Widzisz, jak tylko jesteś grzeczną dziewczynką, to nawet nieźle nam idzie. Zgrany zespół, Frankenstein i modelka... Piękna i Bestia, prawda?

Summer uśmiechnęła się w odpowiedzi. Już wiedziała, że tajemniczy facet siedzący obok niej strasznie wygląda, ale jest przyzwoity i na pewno nie zrobi jej krzywdy. Co nie

znaczy, że jeśli będzie miała pecha, nie zostanie skrzywdzona przez innych tajemniczych facetów o gładkich, czystych twarzach, ale o brudnych rękach. Jeśli oboje będą mieli pecha...

- Jedyńka i gaz!

Wrzuciła pierwszy bieg i nacisnęła pedał.

- Dwójka... Trójka... Do dechy!

Steve przydepnął razem z nią pedał gazu. Samochód ruszył ostro do przodu. Znow mógł się zderzyć z gigantycznym kombajnem, gdyby nie wykonała w ostatniej chwili zamaszystego obrotu kierownicą.

- Gratuluję refleksu. Czwórka!

- Człowieku, zabierz tę nogę!

- Gaz, gaz do dechy, pamiętaj, bo będę cię musiał znowu przydepnąć...

Z desperacją wcisnęła pedał do oporu. Furgonetka potoczyła się przez pole, tnąc zbożem jakąś oszalała kosiarka. Summer prowadziła wóz w stronę szosy, mając nadzieję, że trafi w miejsce, w którym drewniany parkan został przez nią przedtem staranowany.

Trafiła. To znaczy częściowo, bo znow kawałek płotu posypał się w drzazgi. „Mniejsza z tym - pomyślała - niech się martwi farmer! Mam dość zmartwienia z Frankensteinem, helikopterem, zdezelowaną furgonetką i...”

I z tą ogromną osiemnastokołową ciężarówką, pędzącą drogą numer 231 prostopadle do nich i zbliżającą się z impetem do miejsca, w którym właśnie powinni wyjechać z pola na szosę!

- O Boże, trzaśnie nas! - zawołała przerażona Summer, instynktownie próbując zwolnić.

- Gaz! - wrzasnął Steve i znow przygwoździł jej stopę do pedału.

Wpadli na szosę dosłownie o kilkanaście metrów przed rozpędzonym gigantem. Ryk klaksonu, zgrzyt hamulców... Na szczęście nie mogli usłyszeć przekleństw tamtego kierowcy, zagłuszył je warkot silnika.

- Ależ zadziorny szofer z ciebie, kobieto! Prawdziwy pirat drogowy - zakpił Steve.

Summer zignorowała całkowicie jego bezczelną prowokację. Nie odezwała się ani słowem, zerknęła tylko nieśmiało w lusterko wsteczne, które jakimś cudem nie ucierpiało podczas ostrzału. Ciężarówka tkwiła na poboczu, dziwacznie przekrzywiona, platforma wyżej, a szoferka niżej, w przydrożnym rowie. Kierowca stał obok i wygrażał pięściami.

- Coś ty narobił, Steve, ten biedny facet będzie miał teraz mnóstwo kłopotu! - burknęła oskarżycielskim tonem.

- Jego kłopot - jego problem! To my bylibyśmy naprawdę biedni, gdybyśmy się nie

zmyli wystarczająco szybko. Jeżeli nas namierzyli z helikoptera, to pewnie już są tam, przy kombajnie... Gaz, Summer, gaz do dechy! Pokaż, że z ciebie prawdziwy rajdowiec!

ROZDZIAŁ 8

Po kilku minutach znaleźli się na skrzyżowaniu autostrad. Jadąc dalej prosto, można było dojechać drogą numer 241 do Murfreesboro, skręcając w lewo, na północny zachód - drogą numer 41 do Naslville, skręcając w prawo, na południowy wschód - do Chattanooga, zawracając - do granicy stanu Tennessee i dalej do Alabamy.

- Dawaj w lewo, Summer - rzucił Steve. A więc Naslville, nie Murfreesboro... Pędzili blisko sto pięćdziesiąt na godzinę, wzięcie zakrętu było w tej sytuacji autentycznie kaskaderskim manewrem, na szczęście skrzyżowanie, na którym obowiązywało ograniczenie szybkości do siedemdziesiątki, okazało się akurat puste.

- Stęskniłeś się za domem, Calhoun? - spytała Summer nie bez odrobiny złośliwości, gdy już udało jej się wyprowadzić furgonetkę na prostą.

- Ale dowcipne! Nie dopytuj się tak, Rosencrans, tylko rób, co ci mówię, dobrze?

- Niech będzie, ale zabierz tę nogę z gazu, dobrze? Umówiliśmy się, że to ja prowadzę...

- Prowadź, wodzu, byle prędko! - zgodził się z lekkim uśmiechem Steve. - Nie zapominaj - dodał, natychmiast poważniejąc - że zwiewamy przed uzbrojonymi facetami, którzy noszą czasem eleganckie garnitury, ale nie zawsze umieją się elegancko zachować, nawet wobec dam.

- Ech, nie strasz już, Steve - westchnęła Summer. - Samochodem bez przedniej szyby jedzie się w ogóle fatalnie, a im szybciej, tym gorzej. W uszach szumi, oczy łzawią, a całe to fruujące paskudztwo rozbija się człowiekowi o głowę, zamiast o szkło. Nigdy bym nie pomyślała, że nawet nocą lata tyle owadów. Do licha, aż trudno wypatrzeć szosę przed sobą!

- Nie marudź, Rosencrans. Zaraz będzie jeszcze trudniej, musimy znaleźć tu niedaleko taką polną drogę, po prawej.

- Może by włączyć światła?

- Oszalałaś? Skoro te typy nas nie znalazły nas tam, w polu, przy kombajnie, to pewnie znowu się za nami rozglądają z helikoptera. Lepiej nie pchać się im niepotrzebnie w oczy! Zresztą, światła mamy pewnie tak samo poszatowane, jak szybę.

- Pewnie tak - zgodziła się z rezygnacją Summer. - Co ty właściwie robisz, Calhoun, odkąd cię wylali z policji? - zapytała.

- Powiedzmy, że robię od czasu do czasu kogoś na szaro, wystarczy?

- Kogo na przykład?

- A cóż to dla ciebie za różnica? Jeżeli już weszliśmy w spółkę, to ten, kto jest przeciwko mnie, jest też przeciwko tobie, i tyle!

- Do Ucha, coś mi się zdaje, że to spółka z nieograniczoną odpowiedzialnością!

- A mnie się zdaje, że jak będziemy tyle gadać, to przegapimy tę boczną drogę... Przymknij buźkę i uważaj. Cholera, już słyszę ten pieprzony helikopter, mogą nas w każdej chwili namierzyć!

Summer umilkła. Na wspomnienie helikoptera ciarki przeszły jej po plecach. Teraz i ona już słyszała monotonne basowe buczenie, coraz głośniejsze i coraz bliższe. Steve nie odzywał się, wpatrzony swym jedynym jako tako sprawnym okiem w ciemność. Nagle wrzasnął:

- Jest!!! Widzisz?

Z trudem spostrzegła niepozorną dróżkę prowadzącą poprzez porośniętą wysoką trawą pustkowie w stronę ogrodzenia z drucianej siatki. Ogrodzenie było wysokie i pozbawione jakiegokolwiek bramy. To, co rzekomo miało być traktem ku wolności, wyglądało więc raczej na ślepą uliczkę.

- Czy to na pewno tu? - zapytała z niedowierzaniem.

- Nie marudź, tylko skręcaj! Bez przekonania zjechała na prawo. Zauważyła z bliska, że przed podskakującą na wybojach furgonetką rozciąga się nie tylko ogrodzenie, ale i rów.

- Nie da rady tędy przejechać, Steve!

- Nie przejmuj się, wal naprzód! W siatce jest przerwa, a przez wykop będą przerzucone belki. Taki prowizoryczny mostek, o ile dobrze pamiętam...

Istotnie, dróżka, wijąc się trochę, powadziła do miejsca, w którym samochód mógł pokonać obydwie przeszkody i potoczyć się dalej. Trasa była równie fatalna jak przedtem, pełna nieprawdopodobnych wprost nierówności. Furgonetka to zapadała się, to znów wyskakiwała w górę, pokonując odkryty trawiasty teren, najwyraźniej użytkowany jako pastwisko, i kierując się w stronę widocznych w oddali zarośli, w tym kierunku bowiem prowadziła droga.

- Dokąd my się właściwie pchamy po tych manowcach? – zapytała zde gustowana Summer.

- Jedziemy w pewne miejsce, Rosencrans. Wystarczy?

- W jakie miejsce?

- W dobre miejsce, Rosencrans, przestań niepotrzebnie wypytywać.

- A ty przestań mi mówić po nazwisku, do tego jeszcze po mężu. Jestem teraz znowu McAfee.

- Rozumiem, rozumiem, nie marudź, Rosencrans.
- Uparł się i będzie tak pieprzył...
- Może będę, ale trochę później. W spokojniejszej chwili.
- Niedoczekanie!
- A jak się doczekasz?
- Chyba że ci się przyśni.
- W snach, Rosencrans, to przywożą mi towar z trochę świeższą datą produkcji.

Rozumiesz, same świeżutkie bułeczki...

- Żebyś się nimi czasem nie udławił, stary byku!
- A ty żebyś czasem nie wjechała na krowę, Rosencrans. Uważaj!

Summer gwałtownie wcisnęła hamulec. Faktycznie, w poprzek drogi, w ciemnościach, leżała sobie wygodnie krowa i jak gdyby nigdy nic oddawała się najpoważniejszemu krowiemu zajęciu, przeżuwananiu pokarmu. Krowa, całkiem czarna, rasy Black Angus, w ciemności była prawie niewidoczna, tylko oczy jej połyskiwały.

- Człowieku! I ty mówisz, że jesteś w tej chwili ślepy? – nie kryjąc podziwu i zapominając o niedawnej utarczce słownej, odezwała się Summer.

- Ślepy, ale czujny, Rosencrans, ot co!
- McAfee...

- Jak zwał, tak zwał... Omijaj - stwierdził filozoficznym tonem Steve, widząc, że zwierzę nie ma najmniejszego zamiaru usunąć się z drogi.

- O, nie! Jeszcze się wpakujemy w jakąś dziurę. Lepiej wysiądź i przegnaj to bydlę.
- Ani mi się śni. Ja wysiądę, a ty pryśniesz tą dryndą.
- W takim razie muszę na tę krowę zatrzeć.
- Zgłupiałaś czy chcesz im dać sygnał, Rosencrans?
- McAfee!

- Jak zwał, tak zwał... Objeżdżaj.

- No, niech ci będzie - westchnęła Summer z rezygnacją. - Najwyżej tu utkniemy.

Szerokim łukiem po dość grząskiej łące furgonetka szczęśliwie ominęła obojętną na wszystko krowę i wróciła na trasę. Zbawcze zarośla znajdowały się coraz bliżej, ale morderczy helikopter również! Kiedy wjeżdżali z odkrytej przestrzeni w gęstwinę, Summer miała wrażenie, że bucząca machina wisi już bezpośrednio nad nimi.

- Zatrzymaj wóz. W ruchu mogą nas zauważyć.

Summer wykonała polecenie bez sprzeciwu. Helikopter opuścił się nisko nad drogę, którą jeszcze przed chwilą sunęła ich furgonetka. Snop ostrego światła szperacza metodycznie

przesuwał się trasą jej niedawnego przejazdu, aby wyłowić z ciemności ruchomy cel do odstrzału. Wyłowił tylko krowę, która, najwyraźniej zirytowana, że ktoś świeci jej w oczy i nie pozwala spokojnie przeżuwać, dźwignęła się, zaryczała donośnie i leniwym truchtem przebiegła w inne miejsce. Faceci z helikoptera oświetlali teren dalej, kierując swój reflektor to tu, to tam... Wszędzie jednak odnajdywali tylko porykujące z zaniepokojenia czworonogi, prawowitych użytkowników pastwiska, a nie parę intruzów w furgonetce, którym mieli zamiar sprawić z powietrza krwawą łaźnię, a ściśle biorąc - prysznic. Helikopter dłuższą chwilę uparcie krążył nad odsłoniętym trawiastym obszarem, w końcu odleciał na północ...

- Krzyżyk na drogę - mruknął Steve. - Dobra nasza, Rosencrans! Byli cholernie blisko...

- Aż za blisko! - westchnęła ciężko Summer. - Tylko że McAfee, zapamiętaj wreszcie, McAfee!

- Jak zwał, tak zwał... Jazda dalej!

Ruszyli. Droga przecięła pas zarośli i kolejne pastwisko, i doprowadziła ich w pobliże jakichś wiejskich zabudowań. Z wyboistego polnego traktu przeszła w dosyć gładki, chociaż wąski asfalt. Była całkowicie opustoszała, na szczęście, bo po' historii z ciężarówką i krową Summer nie miała już ochoty na żadne bliskie spotkanie z obiektem naziemnym. Z obiektem napowietrzny oczywiście również!

- W lewo - rzucił Steve.

- Do., Tfu! - Summer chciała powiedzieć „dobra!”, ale że w rozchyłone usta wpadła jej śma, potwierdzenie przekształciło się w splunięcie.

- A fe! Dama by raczej przełknęła. Gdzie twoje dobre maniery? - zakpił Steve.

- Olewam dobre maniery, jak mam w ustach takie paskudztwo!

- Teraz już wiem, że naprawdę jesteś sprzątaczką...

Summer nie zareagowała na kpinę. Odezwała się dopiero po kilku minutach milczenia.

- Steve, nie powinniśmy się gdzieś tutaj zatrzymać i zadzwonić na policję? Ktoś chyba nam pozwoli skorzystać z telefonu...

- Nie wątpię, ale po co dzwonić? Jak myślisz, Rosencrans, któż to taki depcze nam po piętach? Święty Mikołaj w towarzystwie krasnoludków?

- Myślisz, że gliny...

- Jasne.

- Człowieku, ty chyba bredzisz! Policjanci mieliby do nas strzelać, tak w ciemno, do bezbronnych uciekinierów? Powinni nas tylko zatrzymać, wylegitymować, ewentualnie przymknąć do wyjaśnienia sprawy...

- Może i powinni, ale czy nigdy nie słyszałeś o brutalności policji? Trach - trach i po kłopotcie, sprawa odfajkowana, po co zawracać głowę adwokatom, prokuratorom i sędziom!

- Chyba żartujesz.

- Jasne. Mam dzisiaj wspaniałą melodię do żartów.

- Człowieku, za dobrze znam Sammy'ego Rosencransa, synalka może wychował na palanta, ale na pewno nigdy by nie kazał swoim ludziom strzelać bez ostrzeżenia do dwojga niewinnych... Znaczy, do niewinnej kobiety - poprawiła się. - A nawet do takiego podejrzanego typu jak ty!

- Stary Rosencrans może o niczym nie wiedzieć...

- Jak to? W takim razie zadzwońmy do niego, do domu, znam przecież numer, niech powstrzyma tych...

- Hola, laluniu! Nie podniecaj się, to wszystko nie jest takie proste, jak myślisz. Sprawy ułożyły się w ten sposób, że nikomu nie możemy zaufać, nawet twojemu szanownemu teściowi. Widzisz, ktoś, paru ludzi, próbuje mnie załatwić... Nie jestem nawet do końca pewien, kto i dlaczego! Wiem za to, że jak mnie dopadną, będą chcieli, żebym się przeniósł na tamten lepszy świat bez świadków. Rozumiesz, co ci chcę powiedzieć? Jeżeli capną nas oboje, ciebie wyprawiają na łono Abrahama razem ze mną! Tu czy tam, musimy się tymczasem trzymać razem. Nie masz wyboru.

- Człowieku, ty chyba bredzisz! - Summer nie była w stanie ukryć zdumienia. - Ktoś do ciebie strzela, a ty nawet nie wiesz kto?

- Zgadza się, tak do końca to nie wiem - kiwnął głową Steve. - Widzisz, kilka lat temu wyniuchałem coś... śmierdzącego, dużego i śmierdzącego jak wielkie gówno. Zacząłem się koło tego kręcić, ale że wyniknęła inna afera, znasz ją z gazet, to... Na jakiś czas zapomniałem o wszystkim. Potem wylali mnie z policji, miałem sporo wolnego czasu, zacząłem rozmyślać o tym i owym... Cholera, o mało nie zwariowałem przez to myślenie! Nieważne... Przypomniała mi się w końcu tamta historia, zacząłem co nieco sprawdzać, wiesz, właściwie z nudów, zamiast układać puzzle próbowałem dla zabicia czasu składać do kupy niektóre fakty, kręcić się tu i tam... Dzisiejszej nocy byłem trochę nieostrożny... Już wiesz, co próbowali ze mną zrobić!

- Ale kto?

- Przecież ci mówiłem, nie jestem do końca pewien. Może gliniarze, może nie. Znaczy... Jeżeli gliniarze, to pewnie nie służbowo, tylko prywatnie. Słyszałeś o skorumpowanych policjantach, no nie? W każdym razie w grę wchodzi gruby interes... Gruby i brudny, cholernie brudny interes! Paru facetów umówiło się na cmentarzu, żeby go ubić, a ja

wszedłem im w paradę... No to próbowali mnie upiec!

- Do licha, Steve!

- Nie podniecaj się, Summer, skręcaj tutaj - wskazał na boczną, gospodarczą drogę.

Tym razem Summer bez oporów, a nawet całkiem ochoczo, sprowadziła samochód z asfaltu na wertepy. Skoro nie można nikomu ufać, nawet policji i własnemu eks - teściowi, to lepiej w ogóle trzymać się z dala od ludzi... Przez jakiś czas furgonetka toczyła się polem, potem znowu wjechała na bitą drogę.

- Skręć w lewo.

Wspięli się na wzniesienie, skąd widać było w dolinie połyskującą w świetle księżyca tafłę jeziora w obramowaniu wysokich sosen.

- Ależ tu cudnie! - zachwyciła się Summer - Jak się nazywa to jezioro, Steve?

- Cedar Lake. Nie podniecaj się, skręć w prawo na najbliższej krzyżówce, podjedziemy bliżej tego cuda.

Ujechali jeszcze kawałek przez pustkowie i nagle natknęli się na niewielką nadbrzeżną oazę cywilizacji; był tu motel,

McDonald, stacja benzynowa, parking, na parkingu jakiś pojedynczy samochód, dalej rozpoczęta budowa czegoś tam, może drugiego parkingu czy motelu... Minęli to wszystko, droga biegła dalej wzdłuż brzegu jeziora.

- Tutaj, skręcaj - Steve wskazał po chwili szeroki, wybetonowany podjazd, który prowadził ku parterowym zabudowaniom z blachy falistej, wyglądającym na magazyny czy hangary, otoczonym wysokim, na oko trzymetrowym ogrodzeniem z siatki, zwieńczonym trzema zwojami kolczastego drutu. Brama dorównywała ogrodzeniu wysokością i też była dodatkowo zabezpieczona drutem kolczastym.

- Zatrzymaj wóz!

Summer posłusznie wykonała polecenie.

- Powoli podjedź bliżej bramy, tam jest taka klawiaturka na specjalnym słupku, wychyl się, wybierz dziewięć - jeden - dwa - osiem... No, ruszaj! Widzisz już? Dziewięć - jeden - dwa - osiem, nie zapomnij.

Summer podjechała do ufortyfikowanych podwoi, dostrzegła słupek, przyhamowała obok niego, wybrała na klawiaturce przypominający czterocyfrowy numer telefonu szyfr. Potężna brama uchyliła się.

- No, na co jeszcze czekasz? - mruknął Steve. - Ruszaj, pakujemy się do środka!

ROZDZIAŁ 9

Wjechali. Brama automatycznie zamknęła się za nimi. Steve rozejrzał się. Nic się tu nie zmieniło przez trzy lata. Te same stare łodzie, niektóre oznakowane optymistycznie tabliczkami „DO SPRZEDANIA”, te same stare opony nagromadzone w stertach na dziedzińcu w nie określonym bliżej celu, te same porzewiałe blaszane beczki zestawione szeregiem przy wjazdowej bramie, ta sama zdezelowana furgonetka wyładowana po brzegi rozmaitymi gratami... Nic nowego, żadnych zmian, zupełnie jakby czas się zatrzymał. Steve miał wrażenie, że nawet pusta puszka po coli, którą kiedyś cisnął w kąt podwórka, nadal tam leży, dokładnie w tym samym miejscu. Wszystko wyglądało tak jak dawniej, zanim Deedee odebrała sobie życie. Zanim sobie odebrała życie, a przy okazji i jego prawie że wykończyła! Utracił przecież w jednej chwili wszystko: ją, pracę, żonę, córkę, najlepszego przyjaciela... Utracił miłość rodziców i sympatię prawie wszystkich wokół. Utracił ojca, który zmarł na atak serca w sześć miesięcy po samobójstwie Deedee, Utracił szacunek dla samego siebie, poczucie własnej wartości i godności. Utracił kontrolę nad samym sobą i omal nie zapił się na śmierć!

Z Deedee, uroczą, filigranową blondyneczką, znali się od szczenięcych lat. Kiedy spotkali ją z Mitchem po raz pierwszy w cukierni „Dairy Queen”, ulubionym miejscu spotkań nastolatków z całej okolicy, mieli wszyscy troje po trzynaście lat. Oni zajęli dwa wysokie stołki przy barku, ona siedziała obok, zjadając lody z owocami i czekoladą, takie, jakie sam uwielbiał. Musiał zerkać łakomie na jej deser, bo w którymś momencie uśmiechnęła się i zaproponowała, żeby skosztował. Zbaraniał zupełnie, kiedy spojrzała tymi swoimi świetlistymi oczami cherubina i rezolutnie zagadnęła. Nie wykrztusił ani słowa, nie zdobył się nawet na podziękowanie, rozdziawił tylko gębę, w którą ona wsunęła mu łyżeczkę z lodami. I zaczęła rozmawiać z Mitchem. Ledwie dziewczynę poznał - i natychmiast ją stracił na rzecz najlepszego przyjaciela!

Nawet go to zbytnio nie zdziwiło... Każda dziewczyna, którą we dwóch poznawali, wybierała Mitcha, a nie jego! Mitch był wyższy, smuklejszy, przystojniejszy, dowcipniejszy, bardziej wygadany. Bez porównania lepiej radził sobie z dziewczynami. Na Mitcha one po prostu leciały, a na niego, Steve'a, niespecjalnie...

Z czasem przyzwyczał się do tego i nie miał do najbliższego kumpla żalu czy pretensji. Nigdy nie miał, z wyjątkiem sprawy z Deedee. Z Deedee było inaczej, bo Deedee była inna niż wszystkie! Nie żeby najładniejsza. Raczej - najdziksza! Tak, Deedee była dzika

z natury, jak dzikie zwierzę, odważna i niezależna; kiedy wypija parę drinków, te cechy jeszcze się w niej potęgowały, a on to lubił, to go fascynowało... Przez to go do niej tak ciągnęło i przez to nigdy nie mógł jej darować Mitchowi!

On, ten „pocziwy Steve”, „porządny kumpel”, jak Mitch często mawiał, poklepując go protekcjonalnie po ramieniu. On, który szalonego, pełnego fantazji Mitcha podziwiał, który chodził za nim niby cień i cierpliwie, z poświęceniem i oddaniem wyciągał go z tarapatów, w jakie tamten popadał raz po raz. Kto zawiesił z powrotem flagę Stanów Zjednoczonych, którą Mitch zwędził z masztu na dachu szkoły? I kto o mało przy tym nie wpadł? Porządny kumpel, pocziwy Steve! Kto ślęczał przez całe niedziele nad zadanymi na poniedziałek pracami domowymi, które Mitch, kiedy się już wyspał do oporu po sobotniej balandze, tylko bezczelnie zrzucał? Oczywiście, porządny kumpel, pocziwy Steve! Kto krył Mitcha przed Deedee, kiedy ten romansował na boku z innymi kobietami? Porządny kumpel, pocziwy Steve, ma się rozumieć!

Pocziwy Steve, który wstąpił do piechoty morskiej i cholernie się przejął hasłem tej formacji „Semper fidelis” - zawsze wierny... Wierny w przyjaźni, w pracy, w małżeństwie. Lojalny, pocziwy Steve!

Zawsze wierny? Nie, wierny do czasu. Do czasu, kiedy wdał się w miłosną aferę z zaniechaną, znudzoną nieudany małżeństwem żoną Mitcha. Z Deedee. Z żoną swego najlepszego przyjaciela.

To był początek końca. To był początek ślepej ulicy, początek drogi bez powrotu. Chociaż... Przecież jednak wrócił, tutaj, w to samo miejsce, żeby z powrotem skleić swoje złamane życie, żeby się jakoś pozbierać, dogadać z samym sobą. Musiały minąć trzy lata, zanim uwierzył w możliwość powrotu. Musiały minąć trzy lata, zanim uwierzył w siebie i zanim przestał przejmować się całą tą wrzawą, całym tym świętym oburzeniem, że Deedee skończyła ze sobą przez niego.

Skończyła ze sobą, powiesiła się... W niedzielę rano, w jego policyjnym biurze, w służbowym gabinecie oficera śledczego, zamkniętym przez niego osobiście w sobotę po południu na klucz, skrupulatnie i dokładnie, jak zawsze. Zamknął pokój na klucz, a Deedee nie miała tego klucza. W jaki więc sposób dostała się do środka, żeby się powiesić? Jak się wtedy znalazła w tamtym miejscu?

- Człowieku, gdzie myśmy się znaleźli, co to za dziwne miejsce?

Zadane zdziwionym tonem pytanie oderwało go od wspomnień. Przez kogo właściwie zadane? Aha, przez tę kobietę, przecież razem tu przyjechali... Przez jedną czy przez dwie kobiety? Nie, nie, przez jedną, te dwie to przecież jedna i ta sama, to tylko w oczach wciąż

mu się dwoi, no bo w końcu zdrowo oberwał. Dwoi się albo i troi, cholera, żeby to czasem nie był wstrząs mózgu... No, tak czy inaczej, ona jest jedna, szatynka, piwne oczy, niezłe cycki... Jedyny przypadkowy świadek kabały, w jaką się tej nocy wpakował. Świadek, któremu wciąż groziło to samo co jemu - śmierć z rąk tamtych parszywych typów. A może ich sprytna współniczka, którą przyskrzypił i która bezczelnie próbowała się wyłgać? Żadnej z dwu wersji nie był w stu procentach pewien... Tak czy owak, chwilowo jechali na tym samym wózku. Dokładnie - tą samą potrzaskaną furgonetką. Chcąc nie chcąc musieli się trzymać razem, chwilowo, przez jakiś czas...

- Pytałam, co to za miejsce, nie słyszysz?

- Słyszę, słyszę, to magazyn łodzi.

- Jak to magazyn łodzi?

- A tak to: magazyn, gdzie trzyma się łodzie. Że też ty wciąż musisz o coś wypytywać...

- A że też ty musisz tak wyczerpująco tłumaczyć! Magazyn łodzi, gdzie trzyma się łodzie... Już wszystko wiem.

- No, trzyma się tu łodzie po sezonie, żeby nie stały na okrągło na jeziorze. Teraz powinno tutaj być pusto, ludzie zabrali swoje łajby na wodę.

- Ty też tu trzymasz łódź?

- Kumpel trzyma. W zimie. Teraz cumuje ją na przystani przy swoim letnim domku na działce nad jeziorem.

- To o tym miejscu mówiłeś, że jest dobre? Ten twój przyjaciel nam pomoże?

- Kobieto - Steve skrzywił się zniecierpliwiony - zrozum wreszcie, że ja w tej chwili naprawdę nie wiem, czy w ogóle mam jeszcze jakichś przyjaciół, czy już tylko samych wrogów. No i na dodatek ciebie... Podjedź pod ten ostatni budynek, jeżeli będziemy mieli szczęście, znajdziemy tam klucz, wiem, gdzie był zawsze ukryty. Może nie zmienili dotąd schowka.

Wysiedli z samochodu. O Boże, dopiero teraz poczuł, jaki jest obolały. Wszystko poobijane, każdy mięsień, każda kość, głowa, twarz, całe ciało, wszystko! Na szczęście złamań nie ma, skoro jakoś może się ruszać. Cholera, żeby to tylko nie był wstrząs mózgu! Cholera, żeby tylko znaleźć klucz tam gdzie zawsze...

Powinien być, przecież tutaj nic się chyba nie zmieniło od czasu, kiedy jakieś pięć lat temu Mitch kupił łajbę. Sześciuosobowy jacht z kabiną mieszkalną, prawie dziewięć metrów długości, cymes, jak się przechwalał, i to za psie pieniądze, półtora tysiąca dolców, okazja, interes stulecia! Dopiero po ubiciu transakcji okazało się, że jacht ma trzydzieści lat i bez

generalnego remontu nie nadaje się do spuszczenia na wodę... Kto przez bite półtora roku spędzał tu wszystkie weekendy i pomagał Mitchowi doprowadzić wrak do porządku? Jasne, że poczciwy Steve! Porządny kumpel, było nie było.

Poczciwy, porządny... Podczas pogrzebu Deedee wszyscy patrzyli na niego jak na zbója, ostatniego łotra, mordercę! Gdyby mogli, zlinczowaliby go pewnie, zdeptali niczym robaka. Sam, prawdę mówiąc, tak właśnie się chyba czuł tamtego dnia... Jak nędzny, plugawy robak! Nie był w stanie spojrzeć nikomu w oczy, ani załamane, zapłakanemu Mitchowi, ani jego matce, uczonej ramienia syna tak kurczowo, jakby nie była w stanie samodzielnie utrzymać się na nogach... Był styczeń, zimny, ponury, wietrzny. Nad cmentarzem kłębiły się na niebie stalowoszare chmury. Na cmentarzu kłębił się istny tłum żałobników, bo głośno rozdmuchany skandal przyciągnął na pogrzeb setki ludzi. Przypadkowy, obcy, niezyczliwy tłum... I on, Steve, znękany żalem i poczuciem winy! Kiedy opuszczono trumnę do wykopanego w przemarzniętej ziemi grobu i zebrani zaczęli się rozchodzić, skierował się w stronę najbliższych Deedee, chcąc złożyć im kondolencje, a może nawet wygłosić coś w rodzaju przeprosin... Mimo że w głębi serca nie czuł się winien tej śmierci!

Podszedł do Mitcha, wyciągnął do niego rękę. Zawisła w próżni. Najlepszy przyjaciel popatrzył na Steve'a lodowato obojętnymi oczyma, całkowicie zignorował jego pojednawczy gest i pełne skruchy słowa. On chciał się pokajać, choć nawet nie był pewien, czy istotnie musi. Mitch potraktował go jak powietrze. Po prostu odwrócił się i odszedł, prowadząc matkę, kobietę, która знаła Steve'a od niemowlęctwa i przez wiele lat uważała właściwie za domownika, niemal za drugiego syna!

Tak się rozstali, od tamtej pory więcej nie widział Mitcha... W dwa dni po pogrzebie został dyscyplinarnie zwolniony ze służby w policji. Za naganne prowadzenie się, niegodne oficera... Zaraz potem, gdy zwał się rano z łóżka, znalazł w kuchni przyklepioną do drzwi lodówki kartkę od żony, że odchodzi, zabiera dziecko i występuje o rozwód. Tak oto w ciągu jednego tygodnia stracił wszystko, czego się dorobił, co osiągnął w życiu.

Myślał, żeby ze sobą skończyć, niejedną raz. Wetknąć sobie lufę pistoletu w usta, pociągnąć za cyngiel i mieć ze wszystkim spokój raz na zawsze! Proste i skuteczne wyjście... Jeśli go coś powstrzymywało, to tylko myśl o córce. Była jeszcze dzieckiem, bał się, że kiedy dorośnie, „zyczliwi” przedstawią dziewczynce ojca jako drania, rozpustnika i na dodatek samobójcę, a on nie będzie miał żadnej, absolutnie żadnej możliwości wyjaśnienia jej czegokolwiek, przemówienia na swoją obronę.

Nie zabił się więc, ale kompletnie przestał się troszczyć o własne życie. Biernie, pokornie poddał się losowi, nie podjął walki o nic, ani o pracę, ani o żonę, ani o dziecko.

Zgodził się bez oporu na rozwód, na całkowitą utratę praw do opieki nad córką. Skrupulatnie płacił alimenty, a resztę pieniędzy, jakie miał, przeznaczał na alkohol. Zalewał robaka dzień w dzień przez dobre dwa i pół roku, próbował utopić w ginie, brandy, whisky i w czym się tylko dało swój ból, poczucie klęski i winy.

Uwiódł żonę najlepszemu przyjacielowi, tak się nie robi, tak przecież nie postępują ludzie „poczciwi” i „przyzwoici” Zachował się niegodnie, pojął to bardzo szybko, kiedy więc minęła chwila słabości, próbował przekonać Deedee, że powinni natychmiast zakończyć całą aferę. Co się stało, już się nie odstanie, trudno, wygłupiliśmy się, powiedział, ale nie przeciągajmy tego ani chwili dłużej. A wtedy ona wpadła w istny szal. Dość często jej się to zdarzało, łatwo traciła panowanie nad sobą, była z natury strasznie narwana, impulsywna. Nie przebierała w słowach i pogroźkach, straszyla tym i owym, ale żeby miała naprawdę targnąć się na swoje życie? Deedee? Przez niego? Nie, tego poważnie nie brał pod uwagę!

A jednak... Powiesiła się, dobry Boże, powiesiła się i koniec, w jego policyjnym gabinecie, w styczniową noc, z soboty na niedzielę. Powiesiła się w zamkniętym pokoju, do którego nie miała klucza...

Klucz od hangaru był schowany w tym samym miejscu co zawsze. Steve znalazł go bez trudu, pewien wysiłek musiał włożyć tylko w otwarcie przerdzewiałych rozsuwanych drzwi. W środku było tak samo jak dawniej. Wsunąwszy się do wnętrza baraku, Steve odniósł wrażenie, że cofnął się w czasie. Że za chwilę wyjdzie mu naprzeciw Mitch i razem wezmą się do roboty przy łodzi. Że za chwilę zjawi się Deedee, która często przyjeżdżała tutaj razem z mężem.

Nie pokazała się. Nie było jej w hangarze, w hangarze nie było nikogo. Chociaż... Przez krótką, przelotną chwilę, przez ułamek sekundy miał wrażenie, że ją widzi. Że widzi jej twarz, nie tylko twarz, całą smukłą postać. Pomachała mu ręką, jak zawsze. I zniknęła. Zniknęła? Co za bzdury, przecież wcale jej tu nie było, jak mogłaby tu być, jak mogłaby być gdziekolwiek. To tylko jemu roіło się coś w poobijanej głowie, zwidywało mu się coś w zapuchniętych, na pół oślepyłych oczach. Majaki, halucynacje, cholera, pewnie wstrząs mózgu, masz ci los!

Los, zrządzenie losu... Zagadka największa ze wszystkich.

ROZDZIAŁ 10

Kiedy Frankenstein gmerał przy drzwiach hangaru, mogła w zasadzie wrzucić wsteczny bieg, wyjechać za bramę, pognać dalej drogą, dokąd oczy poniosą, a jego zostawić własnemu losowi. Mogła? Chyba nie całkiem... Brama była zamknięta, chcąc ją otworzyć, musiałaby wystukać na klawiaturze kod, którego zapomniała. Mhm, nawet gdyby pamiętała, potrzeba by na to trochę czasu, a pewnie by go jej zabrakło, Frankenstein przytrzymałby ją za włosy i tyle. Jest pokiereszowany, ale szybki! A zresztą, gdyby nawet wyrwała mu się z rąk, wpadłaby w łapy tamtych, ten samochód już znają, wypatrzyliby go szybko i załatwili ją na cacy. Za cudze winy, a w każdym razie na cudzy rachunek!

Frankenstein otworzył drzwi hangaru i pokiwał na nią, żeby wjeżdżała do środka. Sam pierwszy tam wszedł. Wjechała za nim. W hangarze było ciemno, choć oko wykol, jak w komórce na węgiel. Kiedy za samochodem zasunęły się drzwi, odważyła się włączyć światła. Nie wszystkie żarówki były przestrelone, coś tam jeszcze z przodu furgonetki błysnęło, rozjaśniając pustawę wnętrza, wysokie mniej więcej na półtora piętra, a przestronne niczym pół boiska futbolowego. Parę łodzi mniejszych i większych stało na kozłach tu i tam. Było ponuro i trochę tajemniczo, ale... bezpiecznie! Tak, to dziwne, ale w tym ogromnym, opustoszałym hangarze, za szczelnie zasuniętymi drzwiami, Sum - mer po raz pierwszy od paru godzin poczuła się bezpieczna.

Zgasiła silnik, wyjęła kluczyk ze stacyjki. Frankenstein włączył nawet jakieś górne światło, pojedynczą żarówkę zawieszoną na dość długim kablu u sufitu. Uff, co za ulga! Nareszcie nie trzeba się kryć. Nareszcie nie trzeba uciekać.

Rozparła się wygodnie w fotelu. Z błógiego zamyślenia wytrąciły ją słowa:

- I co też my tu wieziemy?

Po zadanym głośno pytaniu nastąpił zgrzyt otwieranych tylnych drzwi furgonetki. Potem chwila ciszy. A potem przeciągły gwizd zadziwienia.

- Fiu, fiu... Trumny, jak pragnę zdrowia, trumny! – krzyknął Steve.

Summer zerwała się na równe nogi, wyskoczyła z szoferki, zajrzała od tyłu pod blaszaną, podziurawioną tu i ówdzie kulami budę samochodu. W środku, przykryte jakimiś płachtami, które Steve zdążył już pościągać, stały dwie trumny. Dwie połyskujące metalicznie trumny.

Dobry Boże! Trumny? Dlaczego trumny? Zaraz, zaraz, spokojnie... Co w końcu mógł przywieźć samochód do zakładu pogrzebowego, jeśli nie trumny? Przywiózł je, a oni je

wywieźli i tyle. Tamten kierowca, którego Frankenstein ukatrupił, a może tylko ogłuszył, po prostu nie zdążył z rozładunkiem! Dwie trumny... Przymocowane parcianymi pasami do specjalnych zaczepów w burcie samochodu... Siląc się na makabryczny żart, można by powiedzieć - trumny podróżne!

Steve wsunął się do wnętrza furgonetki, zaczął odpinać pasy.

- Na litość boską, człowieku, co ty robisz?

- Niucham.

Uchylił pierwsze wieko. Zawołał:

- Rosencrans, zobacz, co my tu mamy!

Wspięła się na platformę, zerknęła i... natychmiast przerażona odwróciła wzrok. Dobry Boże, nieboszczyk! Młody mężczyzna w ciemnym garniturze, z rękoma splecionymi w modlitewnym geście na piersi.

Summer poczuła, że robi jej się niedobrze.

- Sprawdźmy jeszcze tę drugą - rzekł Frankenstein, zamykając pierwsze wieko.

Druga trumna kryła zwłoki młodej, dwudziestoparoletniej kobiety. Długie włosy, piękna kwiecista suknia z koronkowym kołnierzem... Dobry Boże!!!

- Słuchaj, Steve, my przecież powinniśmy ich... odwieźć... Mieli być pochowani... To chyba świętokradztwo czy co, tak z nimi jeździć! - Summer wpadła z wrażenia w stan bliski hysterii, tracąc zdolność rozsądnej oceny rzeczywistości.

- Spoko, Rosencrans, będą musieli trochę poczekać na pogrzeb...

- Człowieku, przecież to zmarli!

- Ale my jeszcze żyjemy!

- No to co proponujesz?

- Meksyk.

- Myślałam o nieboszczykach.

- Im już nic nie pomoże ani nie zaszkodzi.

- Drań z ciebie, Frankenstein! Najpierw ukradłeś te zwłoki...

- My ukradliśmy, Rosencrans! - nie pozwolił jej dokończyć zdania. - Nazwijmy rzecz po imieniu. Kto ukradł dwa trupy? My razem. Ja i ty! Więc nie marudź. Wyskakuj stąd i wracaj do szoferki!

Summer posłusznie wypełniła polecenie. Spodziewała się, że on zamknie tylne drzwi furgonetki i też za moment wsiądzie do kabiny. Ale on nie wsiadł. Nie pokazał się przez dłuższy czas.

„Co tam robi tak długo? - zaczęła się zastanawiać zaniepokojona. - Mocuje z

powrotem trumny? Nakrywa je płachtami? A jeśli... Zbecześcił zwłoki, więc może duchy tych zmarłych wzięły teraz na nim odwet i porwały go do Krainy Cieni? A jeśli... Jeśli za chwilę przyjdzie kolej na nią? O Boże! Co też jej się roi, jakie duchy, jaka Kraina Cieni, za dużo się naoglądała horrorów i naczytała książek Stephena Kinga, żadnych duchów nie ma, zmarli to zmarli, trupy i tyle... Boże! Nie ma duchów, ale są... jak im tam... nekrofile!!!”

- Już jestem.

Aż podskoczyła, usłyszawszy nagle słowa Frankensteina i ujrzawszy go w otwartych drzwiach kabiny. Popatrzyła na niego uważnie. Wyglądał tak samo potwornie jak przedtem, ale chyba nie zdradzał żadnych złych zamiarów wobec niej.

- Człowieku, gdzieś ty był tak długo? Już myślałam, że cię diabli wzięli...

- Złego diabli nie wezmą, już ci mówiłem! Zew natury... Byłem za potrzebą. Wysiadał, znalazłem dla nas nową brykę.

- Że co?

Nie bawiąc się w wyjaśnienia, chwycił ją za rękę i po prostu wyciągnął z szoferki.

- Poczekaj, Steve! Przecież nie możemy tego tak zostawić!

- Czego zostawić? Tego wraka?

- Do diabła z wrakiem! Chodzi o nieboszczyków.

- Do diabła z nieboszczykami!

- Steve, nie bluźnij...

- Przecież nie zabierzemy ich ze sobą do Meksyku. Niezły numer, randka w ciemno w towarzystwie dwójki truposzy! Chcesz ich pochować? Spróbuj. Podobno robota grabarza to cholernie ciężki kawałek chleba.

- Nie pleć, Steve, zamknij się!

- Już się zamykam, już milczę. Będę już milczał... jak grób!

- Cha, cha, cha... Świetny dowcip. Uśmiełam się, że hej! - mruknęła z przekąsem Summer.

- Prawda? Uwielbiam, jak dziewczyny śmieją się z moich dowcipów.

- Steve, nie błaznuj. Przecież musimy coś zrobić, przynajmniej gdzieś zatelefonować i powiedzieć, że oni tutaj są, to znaczy zwłoki...

- Gdzie proponujesz dzwonić?

- No... Może na policję? Albo do braci Harmon, bo ja wiem...

- Rosencrans, ta sympatyczna para baluje już na tamtym, lepszym świecie. Czy koniecznie chcesz, żeby ktoś nam pomógł się do nich przyłączyć?

Summer zamyśliła się i pokręciła głową.

- No widzisz! Ja też nie chcę. Dlatego nie mam zamiaru nigdzie wydzwaniać. Wolę wziąć tylek w garść, a ciebie pod pachę i czym prędzej stąd pryskać. Chodź, mamy nową brykę.

Wyszli na zewnątrz przez niewielkie metalowe drzwi znajdujące się w końcu hangaru. Opuszczając przepaściste wnętrza Steve zgasił światło. Na dworze wciąż było całkiem ciemno.

- Nie możemy tu zostać do świtu?

- A co, myślisz, że za dnia tamte upiory z helikoptera nie będą nas straszyć? Mylisz się. To nie upiory, tylko ludzie, zli ludzie, działają na okrągło, poranne pianie kogutów ich nie płoszy, Rosencrans...

- Dlaczego się uparłeś, żeby mnie tak nazywać? Jestem McAfee, Summer McAfee...

Zbył te wyrzekania milczeniem. Przyśpieszył kroku. Musiała podbiegać, by ciągnąc ją za sobą nie wyrwał jej ręki. Po chwili zatrzymał się przy staromodnej czarnej limuzynie.

- A cóż to za wehikuł? - zapytała, nie kryjąc rozbawienia.

- Chevrolet, rocznik 1955. Można powiedzieć - antyk. Jeździłem czymś takim w liceum. Tamten wóz kupiłem na cmentarzysku samochodów...

- A ten chcesz zwędzić?

- Mam inne wyjście?

Summer umilkła.

- Tak trzymać, Rosencrans, buzia na kłódkę. Poczekaj chwilę, muszę tutaj połączyć ze sobą to i owo. Znalazłem przewód w hangarze...

Uniósł maskę silnika.

- Jak to miło, Rosencrans, kiedy o nic nie pytasz. Błagam, wytrzymaj jeszcze chwilę, muszę się nad tym skupić, więc lepiej ani mru, mru...

- Człowieku, ja przecież nic nie mówię! - oburzyła się Summer. - Za to ty gadasz jak najęty...

Steve pogrzebał chwilę w milczeniu w archaicznej maszynerii samochodu, zaklął przy tym parę razy pod nosem. Wreszcie mruknął:

- Siadaj za kółkiem.

- A ty?

- Ja za chwilę. Muszę się najpierw trochę wysilić, ruszymy na pych.

- Niby jak?

- Po prostu, bez kluczyka. Teraz samochód jest na luzie, siądziesz za kółkiem, ja cię popchnę, na szczęście teren tu trochę opada, to będzie mi lżej. Jak się bryka rozbija, wrzucisz

jedynkę, silnik powinien załapać... Musisz wyczuć odpowiedni moment.

- Steve, ja nie umiem... Nie mam pojęcia, jak to wyczuć.

- Nie umiesz załapywać na pych? Kobieto, w takim razie ja wsiądę, a ty będziesz pchała, nie ma wyjścia!

- Co to, to nie!

- No więc?

- Już raczej spróbuję.

- Grzeczna dziewczynka. Wsiadaj. Jak się rozbuja - jedynka. Uważaj, powiem ci, kiedy będzie już...

Summer stremowana usiadła za kierownicą, Steve zaczął pchać. Powoli, stopniowo samochód nabierał prędkości.

- Jedynka, już!

Wrzuciła pierwszy bieg, silnik zarzęził, kaszlnął i... zaczął miarowo pracować. Udało się. Załapała na pych!

ROZDZIAŁ 11

Śmierć - wieczny sen? O nie!

Wieczyste przebudzenie...

Walter Scott

Być duchem to wcale nie taka znów frajda.

Deedee miała wrażenie, że porywa ją i niesie, dokąd chce, nurt bystrej rzeki. Gnana tą tajemniczą, nieokiełznaną siłą, przemknęła z prędkością światła ponad miejscami, które wiązały się z jej minionym ziemskim życiem. Nie żeby z własnej chęci. To ją po prostu pchało, to coś, może fatum, może przeznaczenie, jeżeli jego władzy podlegają również duchy... Nieduży, skromny dom, w którym mieszkała jako mała dziewczynka. Gmach liceum, gdzie się uczyła jako nastolatka. Studio nagrań, w którym na dwa miesiące przed śmiercią dano jej szansę, życiową szansę podłożenia drugiego głosu pod wokal Reby McEntire, kiedy rozchorowała się dziewczyna śpiewająca z nią na stałe.

Nagle zastępstwo, życiowa szansa dla początkującej wokalistki! Ludzie w studiu mówili po przesłuchaniu, że jest niezła. Że czuje bluesa...

Gdyby żyła, mogłaby śpiewać z gwiazdą. A może sama byłaby już gwiazdą, gdyby żyła? Gdyby...

Miała głos, miała talent, przez całe życie żałowała, że go marnuje, chciała wypłynąć, chciała być na topie, niektórzy nawet jej mówili, że śpiewa jak anioł...

Cóż, teraz naprawdę była aniołem, może nie całkiem, ale kimś w rodzaju anioła, istotą uduchowioną. I była naprawdę na topie. Unosiła się lekko, bez wysiłku, w górze, spoglądała na tamten, właściwie na ten świat z góry. Anioł w obcisłych dżinsach, z długimi, wylakierowanymi na czerwono paznokciami? Kto wie, chociaż podobno te prawdziwe, te anielskie anioły wyglądają całkiem inaczej...

Tylko czy duch w ogóle jakoś wygląda? Przecież już jako mały dzieciak dobrze wiedziała, jak to jest. Duchy są niewidzialne, na tym polega zabawa, nie widać ich, więc mogą wciskać się, gdzie chcą, i straszyć. Człowiek coś czuje, czasem coś słyszy, ma pietra, a duch się świetnie bawi! Jako dzieciak zawsze myślała, że to straszna frajda być duchem... Teraz wiedziała, że z duchami jest trochę inaczej. Nie mogą się materializować, kiedy chcą. Nie zależą od siebie. Co nimi rządzi, co je gna? To coś jest jak nurt bystrej rzeki...

Dom rodzinny. Widzi go z góry, widzi swoją matkę, która siedzi na sfatygowanej kanapie w zagraconym salonie i ogląda telewizję. Poznaje matkę, poznaje nawet serial, to

„Roseanne”. Wpada, wlatuje do matczynego pokoju, przemyka pod sufitem, matka spogląda w górę, oczy robią jej się okrągłe jak spodki, usta otwierają się do krzyku...

Jak to się tam u nich mówi? Że ktoś miał taką minę, jakby zobaczył ducha...

Teraz Steve, jej stary przyjaciel. Nawet dość często się przedtem tam widywali, w tym hangarze dla łodzi nad brzegiem Cedar Lake... Teraz spotykają się znowu, Steve przynajmniej nie robi takiej miny, nie robi żadnej miny, jego twarz przypomina maskę, jest cała opuchnięta, oblepiona zakrzepłą krwią! Miny nie robi, tylko patrzy na nią, chyba ją widzi, chociaż kto wie, ale na wszelki wypadek nie zaszkodzi mu pomachać...

Pomachała, poszybowała dalej. Nie miała pojęcia dokąd, nie miała pojęcia dlaczego, w jakim celu tak pędzi, tak się miota po świecie. Wiedziała tylko jedno: jest jakaś siła, są jakieś więzy, które trzymają ją w pobliżu ziemi. Musi je przerwać, żeby się dostać do nieba.

Chociaż nie, musi je raczej rozwikłać!

ROZDZIAŁ 12

Wrzuciła dwójkę, powoli podjechała do bramy. Gdyby pamiętała szyfr, może i dałaby radę wychylić się z wozu, wybrać na umieszczonej na specjalnym słupku klawiaturze odpowiednie cyfry, otworzyć sobie gigantyczne wrota i... pojechać prosto do domu, zostawiając Frankensteina własnemu losowi! Nie pamiętała jednak, musiała więc na niego poczekać. Dogonił ją, podbiegając niezgrabnie na obolałych nogach, przezornie najpierw wsiadł do samochodu. Dopiero potem przypomniał jej numery:

- Dziewięć - jeden - dwa - osiem. Rosencrans, na szczęście masz kiepską pamięć!

Wychyliła się, wcisnęła odpowiednie klawisze. Brama stanęła otworem. Wiekowy chevrolet majestatycznie wytoczył się z dziedzińca na drogę. Rzut oka we wsteczne lustro przekonał Summer, że brama niemal natychmiast automatycznie się zamknęła.

- Dawaj w lewo! - rzucił Steve.

Droga wzdłuż brzegu jeziora, miasteczko... Jakiś nieduży sklep oznakowany podświetlonym napisem „CZYNNE CAŁĄ DOBĘ!”

- Włącz wskaźnik paliwa. Ile tam jest? Cholera, mniej niż ćwierć baku, tyle co nic! Masz przy sobie jakąś forszę? Aha, wiem, nie masz, forsa została w torebce, a torebka tam, na cmentarzu... Cholera, tego paliwa starczy najwyżej na osiemdziesiąt, dziewięćdziesiąt mil, trzeba by się postarać o parę dolców i dokupić.

Zerknął z ukosa na wystawę sklepu.

- Zatrzymaj tutaj, dobra?

- Nie ma mowy! - zaproponowała Summer, domyślając się, o co mu chodzi. - Człowieku, co za dużo, to niezdrowo, najpierw kradzież jednego samochodu, potem drugiego, w końcu napad na sklep! Trochę za wiele, jak na jedną noc. Nie wchodzę w coś takiego, ani mi się śni!

Dodała gazu. Wyjechali z osady. Tuż za rogatekami Summer zauważyła tabliczkę identyfikacyjną z numerem drogi: 266. Zorientowała się po tym numerze, gdzie są.

- Skręć w prawo - mruknął nadąsany Steve przed najbliższym skrzyżowaniem.

Skręciła... w lewo!

- Co ty robisz? Mówiłem: w prawo.

- A ja wolę w lewo! Jadę do domu.

- Coś ty powiedziała, Rosencrans?

- To, co słyszałeś.

- Jedziesz do domu?

- Właśnie.

- Znaczy do Murfreesboro?

- Otóż to.

- Chyba oszalałaś, kobieto!

- Chyba nie. Jadę do domu i tyle!

- Jeżeli nie oszalałaś, to chyba szukasz guza. Nie pamiętasz, kto czeka na nas w Murfreesboro? Ci eleganccy dżentelmeni z pukawkami!

- Trochę może czekali, ale się nie doczekali. I teraz pewnie węszą za nami po całej okolicy, ale w samym mieście już nie będą nas szukać. Rozumiesz, najciemniej pod latarnią... Zresztą oni polują na tę cmentarną ciężarówkę, nie zwrócą nawet uwagi na nasz zabytkowy wehikuł.

- Nie kombinuj, Rosencrans, tylko zawracaj i jedź, jak ci powiedziałem.

- McAfee, rozumiesz? McAfee! Nigdzie indziej nie pojedę, tylko do domu. Nie wiem, w co jesteś wplątany, i nie chcę wiedzieć, bo to nie moja sprawa. Byłam w pracy, po prostu odwalalam swoją robotę. A ty sterroryzowałeś mnie, porwałeś... I wykończyłeś tego faceta, tam na cmentarzu, tego kierowcę. Ukradłeś mu ubranie. I samochód. Z dwoma trupami. Potem ukradłeś drugi samochód, nie wiadomo czyj, pewnie jakiegoś młodzika, bo przecież poważni ludzie nie jeżdżą takimi fikuśnymi landarami. Raz po raz łamiesz prawo. Nie wchodzę z tobą w spółkę. Jeśli chodzi o prawo, zawsze byłam w porządku, nigdy nie miałam na pieńku z policją ani w ogóle z nikim, najwyżej z byłym mężem. Nie mam żadnego powodu się bać, że ktoś zechce mnie ścigać, a tym bardziej - zabić! Nie mam się kogo bać, rozumiesz?

- A ja? - zapytał Steve dziwnie spokojnym tonem.

- Co ty?

- Mnie też się nie boisz?

- Że niby co?

- Że mogę cię na przykład zaraz udusić gołymi rękami, jak nie będziesz grzeczna?

- Proszę bardzo, duś, nie krępuj się!

- Nie blefuj. Myślisz, że nie jestem do tego zdolny? Może się mylisz...

- No to duś mnie! Na co jeszcze czekasz?

- Ostro pogrywasz, Rosencrans...

- McAfee!

- Jak zwał, tak zwał... Posłuchaj! Oni cię znajdą, nie schowasz się im w domu. Zostawiłaś na cmentarzu torebkę z dokumentami, z adresem. Mnie będą szukali, ale trafią

prosto do ciebie!

- To im powiem, że mnie zmusiłeś, żebym wywiozła cię z miasta, a potem wypuściłeś. Że nie mam pojęcia, co się z tobą dzieje. To nawet nie będzie kłamstwo. Jak tylko się rozdzielimy, natychmiast zapomnę o twoim istnieniu, spróbuję sobie wmówić, że to był tylko zły sen, jakiś koszmar...

- Prawdziwy koszmar to się dla ciebie zacznie dopiero wtedy, Rosencrans, jak oni cię dopadną. Uwierz mi! Za dużo wiesz, ci faceci nie pozostawią cię przy życiu.

- Nie dopadną mnie. Wezmę tylko z domu parę rzeczy i zaraz się zrywam. Polecę do Kalifornii pierwszym samolotem, z Knoxville, nie, z Nashville... Moja matka pojechała akurat do Kalifornii, do mojej siostry, w odwiedziny.

- Jak się dostaniesz na lotnisko? Samochodu przecież już nie masz, zapomniałaś?

- Wezmę taksówkę. Albo pojedę autobusem. Dam sobie radę.

- Myślisz, że w Kalifornii ci panowie już cię nie znajdą? Tacy jak oni miewają długie ręce...

- Zgłoszę się w Kalifornii na policję, poproszę o ochronę! Zresztą nie strasz mnie... To ciebie ktoś tam ściga, to ciebie ktoś tam chce zabić. Nie wiem dlaczego. I nie chcę wiedzieć. Nie życzę ci źle, słowo daję, ale już dłużej nie chcę mieć z tobą nic wspólnego. Wracam do domu. A ty radź sobie, jak umiesz!

- Jak sobie może poradzić człowiek w takim stanie, cały poobijany i na pół ślepy? Nie pomyślałaś o tym?

- Frankenstein, nie weźmiesz mnie na litość... Jak sobie poradzisz, to już twój problem. No... - zawahała się -... jak chcesz, to możesz u mnie zostać dzień czy dwa. Aż trochę wy - dobrzejesz...

- Wielkie dzięki! Przecież natychmiast mnie wygarną.

- To możesz wsiąść w Murfreesboro w autobus. Albo w pociąg. W cokolwiek. Nie obchodzi mnie, co zrobisz. Wracam do domu i tyle!

Steve milczał przez dłuższą chwilę. Summer też nie kontynuowała swoich wywodów. Była piekielnie zmęczona, strasznie śpiąca. Nic dziwnego, minęła noc, zbliżała się pora świtu... „Która to może być godzina? - zastanowiła się Summer. - Czwarta, wpół do piątej? Coś koło tego, najwyższy czas do łóżka!”

- Masz w domu trochę forsy? - zapytał nagle Frankenstein.

- A bo co?

- Chciałem cię prosić o pożyczkę. Na paliwo.

- Ze trzydzieści dolców się ueziera, trzymam drobniaki w takim kubeczku w kuchni.

Dam ci.

- Dzięki. Tylko pożycz. Oddam.

W myśli dodał: „Jak przeżyję!” Nie wypowiedział tych słów. Nie musiał. I tak w jakiś telepatyczny sposób dotarły do Summer. Poczula coś w rodzaju współczucia. Zerknęła na niego w bok. Twarz jak maska. Patrzył prosto przed siebie.

- Mam kartę kredytową - bąknęła.

- Kartę?

- Tak, można pobrać jednorazowo dwieście dolców. Dam ci tę forszę.

- Nie zostawiłaś kart w torebce? Coś ty! Trzymam je w bezpieczniejszym miejscu. -

Ciekawe gdzie?

- W lodówce! W zamrażalniku, na tacce z lodem. Są tam wmarznięte. Trzeba rozpuścić lód, żeby je wyjąć i pobrać forszę. To mnie hamuje przed szaleństwem w wydatkach. Mam czas pomyśleć, zanim lód się stopi.

- Niezły system. Krucho u ciebie z forszą, cieniutko przedziesz, no nie?

- Bywa krucho, ale jakoś sobie radzę.

- Wszystko, co mi pożyczysz, oddam, obiecuję! Jeśli tylko... - urwał zdanie w połowie.

- Jeśli tylko... przeżyjesz? - dokończyła za niego drżącym z lekka głosem.

- Oddam, nawet jak wykorkuję! Z samego rana zadzwonię do adwokata, żeby tę spłatę umieścił w moim testamencie. Widzisz, solidny facet ze mnie, oddam ci forszę z za grobu - roześmiał się.

- Zabawne! - stwierdziła Summer z przekąsem.

- Lubię, jak dziewczyny śmieją... No dobra, bez przesady. Jak mnie wykończą, będziesz stratna. Jak się uchowam - oddam. Możesz mi wierzyć.

- Wierzę. Na naciągacza nie wyglądasz. Porywacz, złodziej, morderca - owszem. Ale uczciwy w drobiazgach.

- Dzięki za uznanie.

- Nie ma za co.

Summer skrzyła chevroletem w drogę numer 231 prowadzącą prosto do Murfreesboro. Nie dalej jak za piętnaście minut powinni dotrzeć do jej domu.

- Steve, jesteś pewien, że nie chcesz pogadać z moim eks - teściem? Stary Rosencrans jest w porządku, niemożliwe, żeby siedział w jakichś brudnych interesach, daję za niego głowę!

- Ale ja swojej nie dam. Na wszelki wypadek wolę się trzymać od Roseya...

Wtoczyli się na wzniesienie, z którego widać już było oświetlone Murfreesboro. Kiepsko oświetlone, jak to małe miasteczka. Zjechali w dół. Zatrzymali się na skrzyżowaniu na światłach. Było akurat czerwone. Dokładnie po drugiej stronie przecznicy stał... policyjny samochód.

Summer zdrętwiała ze strachu. Kim jest ten gliniarz za kierownicą? Uczciwym stróżem prawa czy skorumpowanym rzezimieszkiem? Przyjacielem czy wrogiem? Włączyło się zielone. Policyjny wóz ruszył i jak gdyby nigdy nic pojechał w swoją stronę. Summer odetchnęła z ulgą. No, czym prędzej do domu...

Jej dom był usytuowany w niedużym osiedlu Albemarle Estates, około mili w bok od głównej szosy tranzytowej. Osiedle nic specjalnego, takie sobie małe skromne domki z czerwonej cegły, ciałniutko ustawione przy wąskich uliczkach. Ale Summer na ten swój domek sama zaciągnęła kredyt hipoteczny i sama go co miesiąc spłacała. No i sama zbierała pieniądze na pierwszą wpłatę. Dlatego była strasznie dumna. Z tej swojej samodzielności, z tego swojego domeczku. Chałupka ciasna, ale własna. Najbardziej zadbana w okolicy. Najpiękniej ukwiecona. Chociaż dość stara, jak całe osiedle, z początku lat pięćdziesiątych, z okresu powojennego boomu. Krzewy w ogródku bujnie zdążyły się rozrosnąć. I piękna rozłożysta wierzba...

Wjechali w cichą uliczkę. Summer miała wrażenie, że archaiczny chevrolet pracuje głośno niczym traktor. Podkołowali przed dom. Brama garażu zamknięta, tak jak ją zostawiła, światło na werandzie zapalone, tak jak je zostawiła, w oknach ciemno, jak było, zasłony zaciągnięte... Wszystko w porządku, spokój i cisza.

- Summer, bądź tak dobra i zaparkuj za rogiem, dobra? - poprosił Frankenstein. - Wrócimy tu na piechotę, odrobina ostrożności nie zawadzi.

Bez przekonania kiwnęła głową. Minęła swoje ukochane gniazdko, wzięła zakręt. Przyhamowała przed opuszczonej posesją, oznakowaną tablicą „DO SPRZEDANIA”. Wprowadziła wóz na podjazd przed tym domem, zaciągnęła hamulec ręczny i odruchowo sięgnęła ręką do stacyjki, żeby wyłączyć silnik.

- Zapomniałaś, że nie mamy kluczyków? - zaśmiał się Steve. - Zresztą i tak lepiej zostawić brykę na chodzie. Odrobina ostrożności nie zawadzi.

- Mógłbyś już dać sobie z tym spokój?

- Z czym?

- Z tą... ostrożnością. Nie strasz mnie! Naprawdę myślisz, że ktoś się może czaić w moim domu?

Steve zastanawiał się przez dłuższą chwilę, nim odpowiedział:

- Naprawdę myślę, że nie. Jeszcze nie! Mniej więcej przez dobę będą za nami węszyć po okolicy, zanim się tutaj zjawią.

Tak przypuszczam. Ale mogę się mylić. Niektóre pomyłki są kosztowne. Na niektóre człowiek może sobie pozwolić tylko raz w życiu, jak saper. Odrobina ostrożności...

„Ładna pociecha, nie ma co!” - pomyślała Summer i z ciężkim westchnieniem wysiadła z samochodu. Zostawiając go, ma się rozumieć, na chodzie.

ROZDZIAŁ 13

Cholera, ciągle nie jestem pewien, czy dobrze robię. Gdyby człowiek nie posłuchał baby... - mamrotał Frankenstein sam do siebie, kiedy szli szybko chodnikiem w stronę jej domu.

Blady księżyc wisiał nisko nad ziemią po wschodniej stronie nieba, rozjaśniając mrok srebrzystym, zimnym blaskiem. Wiał dosyć ostry wiatr. Temperatura mocno spadła, jak to bywa przed świtem, nawet w czerwcową noc. Grały cykady. Gdzieś w podwórku pomiaukiwał kot.

- Jakbyś mnie nie posłuchał, daleko byś nie zajechał bez forsy na paliwo! - obruszyła się Summer.

- Z ust mi to właśnie wyjął, Rosencrans. Bez ciebie bym po prostu zginął. Ale z tobą też mogę, cholera. Lepiej się dobrze rozejrzyj, czy wszystko jest w porządku. Stańmy na chwilę tutaj. - Zatrzymał Summer przy dużym krzaku bzu, rosnącym na skraju podwórka jej sąsiadów. - Wyjrzyj, dobrze popatrz. Żadne dodatkowe światło się nie świeci? Żadne nie zgasło? Zasłony tak jak były? Wszystko tak jak było?

- Dokładnie.

- Dobra, w takim razie daj mi klucz i zaczekaj.

- Klucz? Nie mam klucza! - Summer uświadomiła sobie nagle kłopotliwą prawdę.

- Został w torebce?

- Właśnie.

- Cholera, że też baby tak się muszą lubować w tych torebkach! Jakby kieszeń nie była praktyczniejsza. Przynajmniej nie można jej zostawić, chyba że razem z portkami...

Summer milczała.

- Nie trzymasz zapasowego klucza w jakiejś skrytce w ogródku? - zapytała! Frankenstein.

- Też coś!

- A może zostawiłaś uchylone okno?

- Nigdy nie zostawiam. To zaproszenie dla złodzieja.

- Przewrotność godna pochwały. Co w takim razie proponujesz? Zaprosiłaś mnie...

- Mam zapasowy klucz u sąsiadki, właśnie w tym domu - Summer wskazała na budynek przesłonięty krzakiem bzu.

- No to cudownie! Zastukasz, przeprosisz za tak wczesne najście i go odbierzesz.

Tylko wyjaśnij w jakiś sensowny sposób sąsiadce, dlaczego masz podartą bluzkę, obitą szczerkę i tylko jeden but! Coś musisz zmyślić na jej plotkarski użytek.

- Ona wcale nie jest plotkarką! - obruszyła się Summer. - Ale ona jest... - przypomniała sobie - mhm... ona jest na Florydzie!

- To już przesada!

- Czego chcesz, są wakacje, mąż wziął ją i dzieciaki na Florydę, przez dwa ostatnie lata nie było ich stać na urlop...

- W takim razie wesołych wakacji! Nie będziesz miała pretensji, jeśli ci wybije szybę?

- A jest inne wyjście?

- Raczej wejście... Chyba nie ma.

- No to wybij, nie krępuj się.

- Zaczekaj na mnie tutaj.

Zniknął za krzakiem, nim zdążyła się zgodzić albo nie. Pomyślała: „Nawet rycerski z niego gość, ma stracha, ale idzie na zwiady, sam, żeby mnie nie narażać. Idzie na pierwszy ogień...”

Minęła minuta, dwie, trzy, odkąd poszedł... Czy dostał się już do środka? Cztery, pięć, sześć, siedem minut... Sama by się już chyba zdążyła włamać do tego czasu. Osiem, dziewięć, dziesięć... Chyba nie myśli, że będzie tkwiła do rana przy tym krzaku! Jedenaście minut, dwanaście, trzynaście... Na ile można było się dopatrzeć, w domu nic się nie działo. Nie błysnęło żadne nowe światło... Gdzie on, u licha, się podział? Może utknął w tym oknie? Jest taki szeroki w ramionach...

A może plądruje jej dom? Może przez pomyłkę wtarabanił się do sąsiadów? Może dopadli go tamci faceci?

A może... „Morze jest szerokie i głębokie! - pomyślała Summer z irytacją. - Czekam jeszcze pięć minut, jak się nie zjawi, wracam do samochodu i jadę prosto do Sammy'ego. Trudno, wszystko ma swoje granice!”

Wiatr wiał, cykady cykały. Krzew bzu kołysał się szarpany ostrym powiewem. Blade, dziwnie upiorne światło księżyca wzmagało wrażenie chłodu. Summer dostała gęsiej skórki, trochę pewnie ze strachu, a trochę z zimna. Paskudna pora te godziny przed świtem. Paskudny nastrój. Niepokój i przygnębienie. Coś się zaczęło roić uparcie w jej głowie, coś zaczęło ją męczyć. Jakieś słowa, jakaś melodia, jakiś rytm... Do licha, jak to się nazywało, ta piosenka, kto to śpiewał? Chyba Patsy Cline, tak, właśnie, to jest to, „Walking After Midnight”! Spacer po północy...

Nastrojowa muzyka, atmosfera jak z filmowego horroru... Świetny moment na

nadejście potwora, na pojawienie się jakiegoś monstrum. Chociażby Frankensteina!

Zanim Summer zdążyła uśmiechnąć się w duchu z własnego dowcipu, spostrzegła go. Mignął jej tylko w oczach przez ułamek sekundy, kryjąc się za narożnikiem domu. A więc jeszcze nie dostał się do środka! Jakoś widocznie nie może sobie poradzić, pewnie nie chce hałasować po nocy, a forsowanie zamkniętego okna po cichu to wcale nie taka prosta sprawa. Zamiast tu sterczeć bezczynnie i rozmyślać o bzdurach, powinna ruszyć za nim i jakoś mu pomóc!

Zaczęła skradać się ostrożnie wzdłuż domu sąsiadów. Trawnik, siatka... Niewysoka, ale w jednym bucie trudno przejść, goły duży palec u nogi trochę boli, jak się go wtyka w oczka z dość cienkiego drutu. Do góry, teraz okraczyć płot i skok na drugą stronę, już na własne podwórko. Boże, tak wypieściła te rabatki, a teraz wali się na oślep prosto w swoje ukochane kwiaty, łamie swoje najpiękniejsze cynie! Trudno, stało się...

Trzeba podejść bliżej domu, ominąć maleńką sztuczną sadzawkę dla lili wodnych, którą własnoręcznie wykopała i urządziła poprzedniego lata, minąć grządkę wysokopiennych pomidorów... O, właśnie, taki palik może się przydać, jest cienki, ale mocny, coś jak skautowska laska, tak na wszelki wypadek, odrobina ostrożności nie zawadzi...

Summer widziała, jak Steve obiegał dom dookoła, doszła więc do wniosku, że pewnie chce sforsować któreś okno od tyłu, od strony niewidocznej z ulicy części podwórka, gdzie w intymnym zaciszu zasadziła sobie wiosną wzdłuż płotu przepiękne krzewy wysokopiennych róż odmiany Zephyrine. Bładoróżowe kwiaty, ciemnozielone liście... A jaki słodki zapach! Cudowne są te róże, trzeba je będzie w przyszłym roku nasadzić wokół całego ogrodu...

Do licha! Co też ten Frankenstein wyprawia? Zamiast zająć się oknem, przepycha się do ogrodu, łamie krzewy... Zeplirine to odmiana bez kolców, biedne róże nawet go nie pokłują, trzeba drania chociaż dźgnąć w tyłek kijem!

- Człowieku, odpieprz się od moich róż! - syknęła, szturchając go patykiem w pośladek.

- Co jest, do cholery! - burknął i odwrócił się gwałtownie.

Summer zmartwiała. To nie był Frankenstein! Jak mogła się tak pomylić, ten mężczyzna nie miał na sobie nawet szortów, tylko długie spodnie, powinna była lepiej mu się przyjrzeć, odrobina ostrożności nigdy...

Opuściła kij końcem w dół, tamten facet uniósł swój koniec w górę, na wysokość jej piersi, uniósł kij, nie, nie kij, uniósł karabinek, wycelował Summer prosto w serce! Warknął:

- Rzuć tę tyczkę, kobieto, ale już!

Bez słowa sprzeciwu wykonała polecenie. Ton głosu uzbrojonego mężczyzny

wskazywał jednoznacznie, że nie warto się z nim spierać.

- Witam i proszę do środka. Jazda! - Nuta kpiny i błazenady w jego głosie błyskawicznie zamieniła się w nutę brutalności i agresji.

- Ja tylko... - pomimo śmiertelnego przerażenia Summer usiłowała jakoś wybrnąć z podbramkowej sytuacji -...nie mogłam usnąć. Sąsiadka wyjechała, zauważyłam, że ktoś się kręci po podwórku, ale pan pewnie jest z agencji, już sobie przypomniałam, miała wynająć kogoś na czas wyjazdu do ochrony, przepraszam bardzo, już wracam do siebie...

- Stul pysk! W tył zwrot i naprzód marsz! Jazda!

Roztrzęsiona Summer natychmiast zrozumiała, że typ z bronią nie kupił jej historyjki. Ruszyła wolno przed siebie na uginających się nogach. Róże tak pachną, że aż brakuje tchu... Spróbować uciec? Chybaby jej nie strzelił w plecy z zimną krwią? Nie, chybaby strzelił! A może... To przecież gęsto zaludnione osiedle, huk wszyscy wokół usłyszą, ktoś przybiegnie na pomoc, ktoś wezwie policję, ten typ nie odważy się strzelić, nie zechce ryzykować! A jeżeli nikt nie przybiegnie, nikt nie zadzwoni? Jest noc, ludzie śpią, jeden odgłos, pojedynczy huk, ktoś pomyśli, że mu się przyśniło, ktoś inny, że przejeżdżał samochód i strzeliło mu w gaźniku... Ten typ zaryzykuje, wiele mu nie grozi! Zresztą, po co ma strzelać, złapie ją gołymi rękami, nim ona zdoła się przedostać przed płot, niby nie taki wysoki, ale zawsze, metr dwadzieścia, specjalnie, żeby pies sąsiadów nie przeskakiwał i nie tratował rabatek. Cholerny kundel, jak na złość nawet nie biega z ogrodzeniem, żeby po - szczekać! Jakby był, może spłoszyłby tego typa, ale on czeka sobie spokojnie w psim hotelu na powrót państwa z wakacji. Do licha, a tyle razy ją piekielnik budził ujadaniem w środku nocy! Ironia losu, jak tyle razy w jej życiu...

- Jazda! Co się tak wleciesz? - Uzbrojony typ wyrwał Summer z zamyślenia, trącając ją w plecy lufą karabinu.

Podeszli do tylnych drzwi domu, oszklonych, wychodzących z pokoju stołowego wprost na obsadzone różami ustronne podwóreczko, które Summer lubiła nieco górnolotnie określać jako patio.

- Stój! Tyłem do mnie. Nie ruszaj się! - mruknął typ.

Broń trzymał przez cały czas w pogotowiu, dźgając Summer końcem lufy między łopatkami. Kopnął parę razy w drzwi nogą. Nikt nie otworzył, typ najwyraźniej zirytował się, wymamrotał jakieś przekleństwo i zaatakował drzwi z większym rozmachem. Zaszurały kroki, ktoś podszedł, odsunął przesłaniającą drzwi kotarę i wyjrzał. Po chwili odblokował zamek i otworzył.

- Do środka! - polecił typ, odsuwając się o pół kroku razem ze swoją straszną spluwą.

Summer na trzęsących się nogach przekroczyła próg własnej jadalni. Nie tak wyobrażała sobie powrót do domu! W pokoju było mroczno, ciemność rozjaśniał tylko nikły odblask zza uchylonych drzwi kuchni. Summer mimo wszystko zdołała się zorientować, że nieproszeni goście niczego nie zniszczyli. Meble stały na swoich miejscach: stół, krzesła, stylowa serwantka „prawie antyk” z odrobiną chińskiej porcelany, nawet szklany wazon z kwiatami na stole.

- Co to za jedna? - spytał facet, który otworzył drzwi.

- Cholera wie! Pałętała się po ogrodzie, mówi, że sąsiadka - odpowiedział ten z bronią.

- Sprowadź ją na dół!

- Ależ panowie, ja muszę wracać, mąż będzie się denerwował - usiłowała blefować Summer. - Jak się obudzi i zobaczy, że mnie nie ma, zaraz zacznie...

- Stul pysk i ruszaj! - Typ z bronią przerwał jej wywód w pół zdania.

Czując lufę na plecach, przestała się ociągać i szukać forteli. Weszła do kuchni. Tu również nie paliło się światło. Nikły odblask sączył się z dołu, z piwnicy, służącej jako pralnia i rupieciarnia. Schodziło się tam wąskimi, drewnianymi schodkami. W piwnicy stała pralka, suszarka, kosz na brudną bielizną, dwa drewniane krzesła, rower treningowy i stara kanapa, wykwaterowana mniej więcej przed rokiem z saloniku, do którego Summer sprawiła sobie nową.

Zeszli na dół, Summer przodem, tamci dwaj za nią. Na kanapie leżał... Frankenstein! Ręce miał związane kablem, z kącika ust sączyła mu się krew. Pilnował go facet z rewolwerem, smagły, łysawy, z czarnym wąsem, na oko dobrze po czterdziestce, ubrany w luźne dzinsy i niebieską sportową koszulę.

- Znasz tę panią, Calhoun? - spytał ujrzawszy Summer.

- Widzę ją pierwszy raz w życiu!

- Ciekawe, ani tej nie znasz, ani tamtej...

Tamtej? Summer podejrzliwie rozejrzała się dookoła. W odległym, słabiej oświetlonym kącie pomieszczenia spostrzegła przywiązaną mocno do krzesła rudowłosą kobietę, sądząc po opuszczonej bezwładnie głowie, nieprzytomną, a po kałuży krwi na podłodze - być może nawet martwą... Boże, to była Linda Miller, jedna z dwu niesumiennej sprzątaczek, które zawiodły ją poprzedniego dnia i nie zgłosiły się do pracy w domu przedpogrzebowym braci Harmon!

ROZDZIAŁ 14

Pałętała się po ogrodzie - wyjaśnił typ, który zatrzymał Summer i przyprowadził ją do domu.

- Ciekawe... - odezwał się ten z wąsem i pistoletem. - Mówisz, Calhoun, że jej nie znasz? A nie z nią czasem bryknąłeś nam furgonetką?

- Już powiedziałem, widzę tę kobietę pierwszy raz w życiu.

- Dobrze się przyjrzyj, pomogę ci! - warknął typ z pistoletem i z rozmachem uderzył Steve'a kolbą w twarz.

Głowa mu odskoczyła i z policzka popłynęła świeża krew. Steve skrzywił się z bólu, ale nie krzyknął, ani nawet nie jęknął. Krzyczeć na cały głos zaczęła za to przerażona Summer:

- Nie bij go, draniu! Prawda, byłam w furgonetce...

- A widzisz, Calhoun, nie warto łąać. - Gęba zbira skrzywiła się w jadowym uśmiechu satysfakcji. - Mieszkamy tutaj, prawda? - siląc się na coś w rodzaju galanterii zwrócił się do Summer. - Pani McAfee?

Nie potwierdziła ani nie zaprzeczyła. Milczała, rozmyślając gorączkowo: „Musieli znaleźć moją torebkę, tam, na cmentarzu, to chyba ci sami faceci, w garniturach nie wyglądali na zbirów, ale teraz pokażą, kim są. Na co ich stać, już pokazali; zakatrupili Lindę, skatowali Steve'a, niedługo pewnie jego też wykończą, jego i mnie, będę trzecia w kolejce, Boże, już nie ma szans, żeby ten koszmar skończył się inaczej, już po wszystkim, trzeba szykować się na śmierć...”

- Gadaj, pindo, jesteś McAfee czy nie? - wrzasnął zbir, nie bawiąc się już dłużej w dżentelmena.

Steve rzucił Summer znaczące, ostrzegawcze spojrzenie, zauważyła je, ale nie miała odwagi wyprzeć się własnej tożsamości. W torebce było przecież jej prawo jazdy, ze zdjęciem, ci straszni ludzie mogli łatwo sprawdzić...

- McAfee - przyznała. - Jestem Summer McAfee. Mieszkam tutaj!

- No to jesteśmy w domu! - ucieszył się typ z pistoletem. - Tamta ruda lala nas nie bujała - zwrócił się do swoich dwóch kompanów, stojących za plecami Summer. - Chociaż niby była podobna do zdjęcia...

- Podobna albo i nie - odezwał się jeden z nich, sądząc po głosie, ten, który otwierał drzwi.

Summer obejrzała się przez ramię. Facet - nieduży, przysadzisty, szpakowaty, już starszawy, pewnie koło pięćdziesiątki, ubrany w szare spodnie i granatową, impregnowaną wiatrówkę z syntetycznego włókna - mówił dalej:

- Od razu dziwne mi było, że taskała gdzieś po nocy z własnej chałupy telewizor! Niby do reperacji, czy jak?

- Znaczy, że naprawdę się tu włamała, złodziejskie nasienie? - włączył się do debaty typ z karabinem, wysoki i barczysty jak Frankenstein, i również ubrany w czarną koszulkę, ale poza tym mało do niego podobny, bo rudawy, brzuchaty i kiepsko umięśniony. - Że nie próbowała nas zbijać? Cholera, nie warto było sobie z nią robić tyle kłopotu!

- Tak wychodzi - przyświadczył ten z pistoletem.

- Trzeba było sprzątnąć toto od razu, nie bawić się w ceregiele. Człowiek się tylko zmachał bez potrzeby, twarda była sztuka, że hej!

- Wystarczyło babę postraszyć i przytrzymać, aż się czegoś więcej dowiemy. Przebajnowałeś, brachu! - mruknął do typa z pistoletem ten od drzwi.

- Zdarza się, wypadek przy pracy, nie? Napluła mi w gębę, to mnie nerwy wzięły.

- Ale zawsze szkoda kobity...

- Nie szkoduj, mamy drugą. Z nią też może być niezła zabawa. To twoja lala, Calhoun?

- Cholera, nie! - zaprzeczył energicznie Steve. - Nawet nie jest w moim typie, to sprzątaczką, sprzątała akurat w tej trupiarni, postraszyłem ją nożem i zmusiłem, żeby mnie wywozła tą pieprzoną furgonetką...

- Chrzanisz, Calhoun, trzeba ci będzie dokopać, żebyś nie wciskał kitu - warknął typ z pistoletem. - Ty, gadaj, kręcisz z nim czy nie? - zwrócił się do Summer.

- No... t...tak - potwierdziła trochę niepewnie.

Żeby zaoszczędzić Frankensteinowi dodatkowych cierpień, gotowa była potwierdzić wszystko, w końcu niewiele już miała do stracenia, skoro te zbiry szykowały jej los nieszczęsnej Lindy Miller, niesumiennej sprzątaczką i pechowej złodziejki. Ta Linda i jej kumpelka Betty Kern zjawiły się w Murfreesboro stosunkowo niedawno, w firmie „Daisy Fresh” pracowały od paru tygodni, wczoraj pewnie nawaliły z robotą u braci Harmon specjalnie, żeby obrobić dom szefowej, jak będzie odwaliała nagłe zastępstwo; mogły się słusznie spodziewać, że w sobotę wieczorem już nikogo do pracy nie znajdzie. Plan był w porządku, tylko Linda miała pecha. Biedna Linda... No dobrze, a co z Betty? Jeśli były we dwie, to może zwała i sprowadzi jakąś pomoc!

- Grzeczna dziewczynka - mruknął bez entuzjazmu typ z pistoletem, najwyraźniej

rozczarowany brakiem pretekstu do zabawy z Summer. - Siadaj koło swojego amanta! Będzie wam dobrze razem...

Zrezygnowana Summer wykonała polecenie. Cała trójka zbirów rechocąc obstała kanapę.

- No, Calhoun - odezwał się ten z pistoletem - gadaj, gdzie furgonetka, bo uszkodzimy twoją cizię!

- To nie jest żadna moja cizia, mówiłem przecież, to sprzątaczką, róbcie z nią, co chcecie, gównu mnie to obchodzi!

- Nie chrzań, ciebie też możemy uszkodzić! - warknął tamten i znów uderzył Steve'a kolbą pistoletu, tym razem w czoło.

- Zabijesz go, nie!!! - krzyknęła Summer.

Steve wytrzymał cios. Może miał mocną głowę, a może zbir celowo nie uderzył wystarczająco silnie, żeby mu ją roztrzaskać? Summer coś nagle oświeciło, mianowicie myśl, że tym facetom bardziej zależy z jakichś powodów na furgonetce niż na Frankensteinie, i, ma się rozumieć, na niej, i że w takim razie nie wykończą ich, póki się nie dowiedzą, gdzie zostawili samochód. Nie można im więc ujawnić miejsca postoju furgonetki, nawet na najgorszych mękach, nie wolno puścić pary z ust na ten temat, to jedyna szansa, żeby przeżyć! Ale może szybka śmierć byłaby lepsza od powolnego konania w czasie tortur? Nie, przecież to grzech tak myśleć, wszystko jest w ręku Boga, wychowanka szkółki niedzielnej Kościoła baptystów nie powinna myśleć inaczej! Panu Bogu trzeba ufać, a w miarę możliwości pomagać, jak często powtarza matka, ufać i pomagać, czyli spokojnie, ale i uparcie szukać wyjścia z najtrudniejszych nawet sytuacji życiowych. Liczyć na siebie, liczyć na cud... Może przybędzie ni stąd, ni zowąd na ratunek sam Terminator, Schwarzenegger?

Zbir z wąsem ujął dłoń Summer w szorstkie, sękaty paluchy, zaczął obsypywać ją pocałunkami. Dwaj jego kompani za rechotali, a on z jadowitym uśmiechem wymamrotał:

- Zobacz, kochanie, jak ja umiem pieścić, ale umiem też robić coś innego, powyłamuję ci te śliczne paluszki, jeżeli nie wyśpiewasz tego, co chcemy wiedzieć, powyłamuję wszystkie po kolei, zacznę od tego najmniejszego...

Ścisnął dłoń Summer dla postrachu trochę mocniej. Nie miała żadnych wątpliwości, że byłby w stanie połamać jej palce jak zapałki. Że jest wystarczająco silny i wystarczająco okrutny, żeby spełnić swą groźbę!

Zbir rozluźnił tymczasem uścisk, dłoni Summer jednak z ręki nie wypuścił. Krygując się zapytał:

- Kochanie, gdzie jest ta furgonetka?

- Ona nic nie wie, przecież już mówiłem... - zaczął Steve.

- Morda w kubeł, chłoptasiu, ale to już! - warknął typ z karabinem i nacisnął spust jak do strzału.

- Spokojnie, panowie, już wam mówię - odezwała się Summer beznamiętnym tonem zawodowego hazardzisty.

Sama aż się zdziwiła, skąd się u niej wzięło takie niezwykle opanowanie, pozorne oczywiście, bo w środku cała się trzęsała, ale zawsze... Spojrzała facetowi z wąsem prosto w oczy. Dodała:

- Powiem wam wszystko, co was interesuje, tylko nie róbcie mi krzywdy, dobrze? Ani jemu - wskazała oczami na Frankensteina.

- Milcz, głupia! - syknął.

- Morda w kubeł, palancie! - syknął zbir i zarepetował broń.

- Ależ panowie, spokojnie... No to jak? Umowa stoi?

- Nie chrzań, mała, gadaj, gdzie furgonetka! - Typ z karabinem najwyraźniej nie lubił bawić się w konwenanse.

- Już mówię, panowie... Widzicie... ktoś nas ostrzelał w czasie jazdy i trafił tak pechowo... że coś się zepsuło w samochodzie. I wtedy... wtedy Steve zostawił tę furgonetkę...

- Gdzie? - wykrzyknęli chórem wszyscy trzej bandyci.

- No... tam... w polu...

- W jakim polu?

- Ja... nie wiem... To znaczy... nie wiem, jak się to pole nazywa, mogę pokazać, zgoda? Ale pod jednym warunkiem! Ja wam pokażę, a wy dacie mi spokój. I jemu też. Umowa stoi?

- Stoi, stoi jak wiesz co, no nie? - zachichotał ten z wąsem. - Pokazujesz i stoi.

Cała trójka zbirów wybuchnęła śmiechem. Summer zrobiła demonstracyjnie obrażoną minę, była niezłą aktorką, w swoim czasie nawet myślała o tym, żeby pójść na scenę. Zadeklamowała z oburzeniem:

- No wiecie, panowie! Ja wam składam poważną propozycję, a wy stroicie sobie żarty!

- Żarty na bok, kochanie - mruknął typ z wąsem, nagle poważniejąc. - Jedziemy, pokażesz nam co trzeba. On - wskazał na Steve'a - niech zostanie, jeszcze by się nam biedak wykończył w podróży...

- Lepiej niech się wykończy tutaj - mruknął z cicha ten z karabinem.

Summer udała oczywiście, że tego nie słyszy, tak jak nakazywała jej odgrywana z

przejęciem rola, rola pierwszej naiwnej albo słodkiej idiotki, rola odgrywana doskonale, wręcz brawurowo. Rola życia. W prawdziwej grze o życie!

- W takim razie jedziemy - zaszcebiotała - zobaczycie to miejsce, a potem wracamy i puszczacie nas wolno, Steve'a i mnie, prawda?

- Prawda, kochanie, prawda - przyświadczył facet z wąsem.

Wciąż trzymając Summer za rękę, pomógł jej wstać. Zgromił spojrzeniem swego koleśia z karabinem, który znów coś wymamrotał pod nosem. Pociągnął Summer w stronę schodów.

- Jedziemy!

Zaczęła się opierać.

- Zabierzmy go jednak ze sobą! - poprosiła, wskazując na Frankensteina.

- Przecież uzgodniliśmy...

- A jakbym sama tam nie trafiła?

Zbir z wąsem zawahał się. W końcu machnął ręką i rzucił do swych kompanów:

- Bierzcie go, chłopcy, faktycznie może się nam przydać.. -

Summer odetchnęła z ulgą. Będą razem, będzie ich dwoje...

Lepszy układ sił. Zwycięstwo w grze? Na razie tylko w grze na zwłokę, ale to zawsze coś. Więcej czasu na cud, pomoc udzielona Panu Bogu. Więcej czasu dla Arnolda - Terminatora...

Summer ruszyła za wąsatym zbirem w górę po schodach. I nagle usłyszała jakiś stukot. Tupot nóg, tuż nad głową, najwyraźniej w kuchni.

Ktoś tam był, ktoś się zbliżał w kierunku wejścia do piwnicy.

Terminator?

Policjant?

Betty Kern?

Summer odruchowo stanęła w pół kroku i wstrzymała oddech. Zbir z wąsem też się zatrzymał. Dwaj pozostali, włokący Frankensteina, również.

ROZDZIAŁ 15

W ułamek sekundy później Summer poczuła szorstką, śmierdzącą piwskim i tytoniem łapę wąsatego zbira na ustach, a gładką lufę jego pistoletu na skroni. Facet, który otwierał drzwi, wyciągnął z zanadru wiatrówki pistolet i przyłożył jego lufę do skroni Frankensteina. Typ z karabinem wycelował prosto w piwniczne drzwi usytuowane w połowie schodów.

- Trzeba to sprawdzić - syknął ten z wąsem i dał kumplowi znak ruchem głowy.

Typ z karabinem zaczął się skradać schodami do góry. Kroków nie było już słychać. Ucichły równie nieoczekiwanie, jak się rozległy.

Summer zaczęła gorączkowo rozmyślać: „Kto to mógł być? Policjant? Jak na mężczyznę, kroki chyba trochę za lekkie, więc nie... Terminator? Też mężczyzna, i to nie byle jaki, odpada... Betty Kern? Jeśli nawet, co z tego, przecież nie poradzi sobie z tymi trzema, chyba żeby coś ją natchnęło i żeby sprowadziła pomoc. Pomoc, cud...”

Typ z karabinem podsunął się pod same drzwi i jednym energicznym ruchem, jak gangsterzy i policjanci na filmach, otworzył je na całą szerokość. Tupotanie rozległo się znowu. Gdzieś blisko, coraz bliżej... Bezruch, napięcie, wycelowana wprost w ciemną czeluść otwartych drzwi broń, mniej więcej na wysokość głowy tajemniczego przybysza!

Głowa ukazała się dużo niżej, jakieś dwadzieścia centymetrów nad podłogą. Niewielka głowa z trochę wyłupiastymi czekoladowymi oczami, kosmaty łepok pekińczyka... Psiak, całkowicie ignorując uzbrojonych drabów, majestatycznie ruszył schodami w dół.

- Muffy?

Muffy, pekińczyk płci żeńskiej. Grand Champion Margie's Miss Muffet, ukochana suczka Margaret McAfee, matki Summer, jej największa duma, medalistka, wielokrotna zwyciężczyni najrozmaitszych wystaw, już na emeryturze, nieodstępna towarzyszką starszej pani McAfee. Kapryśna i ekscentryczna... Pozostawiona na przechowanie u córki tylko dlatego, że jeden z synków Sandry, mieszkającej w Kalifornii siostry Summer, do której pani McAfee wybrała się z wizytą, był alergikiem uczulonym na psią sierść.

Muffy! Żebyś ty chociaż była dobermanem!

Trzej bandyci w pierwszej chwili zdębieli, a później wy - buchnęli śmiechem.

- Hej, Charlie, o mało żeś się nie spompował ze strachu przy tych drzwiach! - zakpił facet w wiatrówce z rudzielca z karabinem.

- Nic nie cieknie po schodach, ale może narznął w portki na gęsto! - zawtórował mu

wąsacz.

- Olewam was, kretyni, sram na wasze głupie gadanie! - zdenerwował się Charlie.

- Spoko, spoko, dobry piesek, a może kotek, cholera wie, kici, kici, miau, miau - błaznował dalej typ w wiatrówce.

Puszysta, ufryzowana starannie Miss Muffet spłynęła po schodach aż do niego i...

- Psiakrew, ta paskuda naląła mi prosto na kapeć! - wrzasnął niedawny żartowniś.

Tym razem Charlie o mało nie pękł ze śmiechu, wąsacz również. Muffy podbiegła do Summer. Trzeci zbir zaczął otrząsać z psiej uryny but i nogawkę. Summer wzięła Muffy pod pachę, dwaj bandyci wciąż zaśmiewali się do rozpuku, trzeci kłął na czym świat stoi.

- W nogi! - ryknął nagle Frankenstein.

Skoczył ku wyjściu niczym wyrzucony z procy, pociągnął Summer z Muffy pod pachą za sobą. Po drodze, w biegu, nie w biegu, właściwie w locie, tak pchnął Charlie'ego, że ten razem ze swoim karabinem potoczył się w dół prosto na wąsacza, a potem razem z wąsaczem na obskanego typa w wiatrówce. Wpadł z piwnicy razem z Summer i Muffy. Nim trzech bandyci, którzy poprzewracali się jeden na drugiego niby strącone mistrzowskim rzutem kręgle, zdążyli pozrywać się na równe nogi, nim rozległy się pierwsze strzały karabinu i dwóch pistoletów - trzasnęły drzwi. Steve zamknął je i zaryglował na zasuwkę. Solidne drzwi, lata pięćdziesiąte, z litego drewna, nie do przestrzelenia! To znaczy przestrzelić można, można posiekać pociskami, ale nie sposób przez takie drzwi trafić! Tak to jest, człowiek strzela, Pan Bóg kule nosi. Tym razem chciał, żeby utkwiły w masywnym, litym drewnie. Tym razem stał się cud! Ufać Bogu i trochę mu pomóc... Sponiewierany, poturbowany i związany Steve zyskał w krytycznym momencie siłę i refleks Terminatora. Każdemu z nich trojga - i jemu, i Summer, i nawet małej Muffy - została dana szansa przyczynienia się do udanej ucieczki z rąk bandytów. Ba, żeby tylko do ucieczki... Również do unieszkodliwienia trójki zbirów w piwnicy!

- Niezłe te drzwi, Summer - mruknął Steve z uznaniem. - Nie powinni ich tak od razu wyważyć. Masz w domu jakąś broń?

- Zwariowałeś?

- Jeszcze nie... Cholera, szkoda!

- Wezwij my policję!

- Policja siedzi w piwnicy. Pomóż mi rozplatać ten kabel... No już, pryskamy!

Łomot! Przebiegli przez ciemną kuchnię w stronę drzwi prowadzących bezpośrednio do garażu. Steve odsunął nogą coś, co blokowało przejście. Coś dużego, bezwładnego, wydłużonego. Zwłoki. „Betty Kern jednak nie miała szczęścia - pomyślała Summer

rozpoznał drugą ofiarę trójki zbirów. - Kropnęła ją, jak próbowała uciekać. Z moim srebrem..." Obok martwej włamywaczki leżała na podłodze mahoniowa kasetka z kompletem srebrnych sztućców, które Summer i jej były mąż dostali od starszej pani McAfee w prezencie ślubnym.

Łomot! Wpadli do garażu, Steve błyskawicznie otworzył zewnętrzne drzwi. Samochód? Stał sobie jakby nigdy nic, granatowy lincoln Continental, najnowszy model. W porównaniu z anachronicznym chevroletem czy ze zdezelowaną toyotą Summer, pozostawioną na parkingu przed domem przedpogrzebowym braci Harmon - prawdziwa rakietka! Skąd się wziął, do kogo należy? Bóg raczy wiedzieć, zapewne do tych trzech typów. Kluczyki? Niestety, kluczyków w stacyjce nie było...

Steve wybiegł na podwórze. Gwałtowny łomot w piwniczne drzwi nie ustawał, to mogły być już ostatnie chwile ich oporu^ Summer zatrzymała się jeszcze na chwilę. Postawiła Muffy na posadzce. Na szczęście była zorientowana, jak lincoln wygląda w środku, jej matka miała taki sam wóz, tyle że żółty. Podniosła maskę silnika. Wyszarpnęła parę przewodów. W porządku, teraz już można uciekać. Złapała Muffy, wybiegła przed dom. Frankensteina nigdzie nie było. Na ulicę. Pusto. Pomyślała: „Zmył się, a mnie zostawił na pastwę tych drani. A to..." Czarny chevrolet wyskoczył zza rogu ulicy tak gwałtownie, że nie zdążyła określić Steve'a żadnym niepocholebnym epitetem.

- Do cholery, Rosencrans, jak długo można się guzdrać? Wskakuj.

Summer, z Muffy pod pachą, wskoczyła w otwarte drzwi od strony pasażera. Na pół ślepy Frankenstein za kierownicą? Nie było czasu się zastanawiać, czym to grozi, a tym bardziej - zamieniać się miejscami. Gwałtowne przyśpieszenie, pisk opon, ryk silnika. Summer mogła tylko mocno trzymać na kolanach suczkę Muffy i modlić się o szeroką drogę...

Zauważyła kątem oka, że trzech faceci akurat wypadli przed dom frontowymi drzwiami. Tamte, piwniczne, w końcu jednak puściły... Zakręt. Wyjazd z osiedla. Szersza ulica. Steve prowadził pewnie, najwyraźniej przejrzał już z grubszą na oczy. Zauważył nawet, że Summer ścisnęła coś w ręku. Zapytał:

- Co to jest?

Uśmiechnęła się chytrze i mruknęła, żeby lepiej pilnował drogi.

- Co tam trzymasz oprócz tego puchatka? - nie dawał za wygraną. - Jakies kable?

- I owszem. Przewody. Od świec lincolna, żeby nie mogli nas ścigać tak od razu. Widziałam podobny numer na filmie „Dźwięki muzyki”, starzyzna z sześćdziesiątego piątego, tam zakonnice wykręciły coś takiego hitlerowcom. Ech, kocham kino!

- Cholera. Bystra jesteś! - stwierdził z podziwem i pokręcił głową.

ROZDZIAŁ 16

Wyjechali z miasta na drogę numer 165, biegnącą na południe, ku górcom. Było już jasno, pełny dzień. Zamienili się miejscami. Summer prowadziła półprzytomna ze zmęczenia. Frankenstein siedział obok niej, wpatrując się w mapę, którą znalazł w jednej ze skrytek chevroleta. Zastanawiał się nad dalszą trasą ucieczki. Mamrotał ni to do Summer, ni to do siebie:

- Trzeba jechać dalej na południe, minąć Tellico Plains...

Tam powinna być taka boczna droga, ze wschodu na zachód, na tej mapie jej nie ma, ale wiem, że powinna być...

Minęli Tellico Plains. Zaczęli wspinać się pod górę. Uhu, uhu... Czyżby stary chevrolet nagle dostał kaszlu? Uhu, uhu... A na dodatek jeszcze zadyszki, bo zaczął zwalniać? Uhu, uhu...

- Cholera, zapomnieliśmy z tego wszystkiego o benzynie! - jęknął Steve i złapał się za głowę.

- O benzynie i o pieniądzech! - zawtórowała mu Summer.

- Zjedź na pobocze.

Wysiedli. Pobocze wąskie, jak to na górskiej trasie, dalej opadająca w dół stromizna. Po drugiej stronie drogi zalesiony stok. W oddali wspaniałe i potężne szczyty Appalachów w śnieżnych czapach. Białawe chmurki na niebie i samotny jastrząb krążący w powietrzu. Wokół żywego ducha. Jedynym pojazdem, jaki wyprzedzali po drodze, była ciężarówka z węglem w Tellico Plains. Z przeciwka też nikt nie jechał.

- I co dalej? - odezwała się Summer.

- Dalej na piechotę...

- Chyba żartujesz. Ledwo się trzymam na nogach.

- Jeśli potrafisz, możesz polecieć, jak ten tam - Steve wskazał w górę na jastrzębia.

Summer nic na to nie powiedziała. Patrzyła tępo na Muffy, która obsikiwała kępę trawy, i na Frankensteina, który nachylił się nad czymś na poboczu drogi. Był to pordzewiały metalowy pręt, dość gruby, metrowej mniej więcej długości. Frankenstein podniósł go z ziemi.

- Po co ci to? - zapytała Summer.

- Żeby otworzyć kufer. Może znajdziemy coś, co nam się przyda?

Wetknął koniec pręta pod klapę bagażnika. Zaczął nim operować niczym włamywacz

brysztangą. Summer mimo zmęczenia z przyjemnością popatrzyła na pracę jego wspaniałej muskulatury. Napinał się, natężał. Kłapa wygięła się, ale nie chciała puścić. I... rrraz... Jeszcze jeden wysięk. I jeszcze jeden! Summer musiała przyznać w duchu, że sylwetka Frankensteina prezentuje się doskonale, a jego pokiereszowana twarz też nie jest już taka straszna jak przedtem. Kwestia przyzwyczajenia? Kto wie... Summer uśmiechnęła się do własnych myśli.

- Z czego się cieszysz?

- Miło spojrzeć, jak kto inny się męczy - zażartowała.

- Cholera! Pręt mi się wygiął, a to dziadostwo trzyma - zirytował się Steve i odrzucił bezużyteczne narzędzie.

Poszybowało w dół z boczka jak bumerang.

- Cholera! - wrzasnął jeszcze raz i łupnął pięścią w kłapę bagażnika.

Odskokczyła.

- Czego się wściekasz? Przecież ci się udało - zdziwiła się Summer.

- Ta kudłata paskuda naląła mi na nogę - warknął Steve, wskazując na Muffy. - Przecież już sikała przed chwilą, chyba specjalnie sobie trochę zostawiła...

Summer wybuchnęła śmiechem.

- Masz się z czego cieszyć... - mruknął z wyrzutem.

- Pewnie, że tak! Przez to sikanie Muffy najpierw wymknęliśmy się tamtym łotrom, a teraz otworzyliśmy bagażnik...

- Otworzyliśmy, no pewnie... To bydlę często tak robi? Często sika ludziom po nogach?

- Tylko facetom. Jakoś nie przepada za mężczyznami.

- Feministka, psiakrew, niezły charakterek - zrzędził Steve, wycierając but o trawę. - Ale fakt, przysłużyła się nam. Z wdzięczności nawet jej nie ukatrupię.

Pochylił się nad otwartym bagażnikiem. Muffy zaczęła ujadać.

- O co znów chodzi? Ta kosmata lady nie lubi, żeby się facet na nią wypinał? - zdziwił się Steve, zerkając przez ramię.

- Bez przesady. Muffy mówi nam, że jest głodna. Tak mi się zdaje.

- Mówi nam, że jest głodna, coś takiego! - zakpił Steve. - Nie wyglądałaś mi na jedną z tych zbzikowanych bab, co to traktują swego psa jak, nie przymierzając, dzieciaka, Rosencrans!

- To nie mój pies. Matki. I nie pies, tylko suka.

- Chyba nie bardzo jesteś do niej podobna, co? Znaczy do matki... Mieszkasz z nią?

- Z matką? Nie... Kiedy tata przeszedł na emeryturę, starszycy przeprowadzili się do Santee, w Południowej Karolinie. Pięć lat temu ojciec zmarł. Mama dalej mieszka w Santee, ale właściwie to ciągle podróżuje. Podrzuciła mi Muffy na przechowanie. Wybrała się w odwiedziny do Sandry, mojej siostry, do Kalifornii, jej najstarszy synek jest alergikiem, przynajmniej Sandra tak mówi, żeby mieć spokój. Wiesz, Muffy nie przepada za Willem, moim szwagrem...

- Rozumiem. Pewnie z wzajemnością?

- Pewnie tak.

Frankenstein znowu pochylił się nad bagażnikiem. Pogrzebał w nim przez chwilę, w końcu wyciągnął sporą turystyczną torbę pełną jakichś różności. Postawił ją na poboczu. Dorzucił pokaźną łyżkę do opon. Przymknął klapę, rozprostował się.

- Teraz musisz mi pomóc - rzucił w kierunku Summer.

- Niby w czym?

- Musimy zepchnąć wóz ze zbocza. Jasne?

- N...no... Nie bardzo!

- Rusz głową, Rosencrans. Tamci faceci go widzieli. Lepiej, żeby zniknął. Łatwo to pudło zidentyfikować, niewiele takich jeździ po świecie. Wpadlibyśmy przez tego chevroleta prędzej czy później, cynk pewnie już poszedł, gdzie trzeba. Widzisz, ci trzej faceci to gliniarze, przynajmniej jeden, ten z wąsem. Znam go z nazwiska, Carmichael, służy w policji okręgu County. On też mnie zna z nazwiska...

- Pamiętam. Brr...

Na wspomnienie tego, co działo się w piwnicy, Summer aż się otrząsnęła.

- No to pchamy?

- Skoro nie ma innego wyjścia...

- Zaczekaj.

Steve zwolnił ręczny hamulec i przrzucił chevroleta na luz. Zatrzasnął drzwi.

- Pchniemy do tyłu. Będzie z górki. Rozbije się na najbliższym zakręcie... Rozumiesz? To może być nawet niezły lot! Gotowa?

- Zaraz.

Summer chciała się jeszcze upewnić, czy Muffy nic nie grozi w trakcie karkołomnej operacji. Rozejrzała się za nią. W porządku, pupilka matki była w bezpiecznym miejscu, powyżej samochodu. Przysiadła na trawie na poboczu drogi, obok torby wyjętej przez Frankensteina z bagażnika chevroleta, pełna godności, choć najwyraźniej zaniepokojona. Jakby się spodziewała, że za chwilę wydarzy się coś niezwykłego, a równocześnie chciała

podkreślić, że tak czy inaczej jest ponad to.

- Pilnuj, Muffy, bądź tak dobra, pilnuj - poprosiła ją uprzejmie Summer. - Możemy pchać - zameldowała Steve'owi swoją gotowość i oparła się o maskę samochodu.

- Przesuń się troszkę w lewo. Będę go pchał jedną ręką za słupek, a drugą przypilnuję kierownicy, żeby się toczył dokładnie tam, gdzie trzeba. No to razem! Do biegu... gotowi... Start!

Pchnęli oboje równocześnie, samochód - masywny, ciężki - ruszył z miejsca powoli, ale szybko zaczął nabierać rozpędu.

- Jeszcze trochę, pchamy, biegiem... Już!

Summer zatrzymała się zasapana, Frankenstein wykonał ostatni manewr kierownicą i uskoczył w bok. Rozpędzony chevrolet wypadł z zakrętu, stracił grunt pod kołami, na ułamek sekundy zawisł pomiędzy niebem a ziemią niczym olbrzymi czarny nietoperz i zaraz potem runął w dół zbocza. Spadł z łoskotem gdzieś niżej, odbijając się kilkakrotnie od stromej pochyłości. Łup, łup, łup... Summer spodziewała się, że po serii głuchych uderzeń nastąpi efektowna eksplozja, jak na filmach. Nic z tych rzeczy, stara bryka skończyła swój żywot bez salwy honorowej. Nie miało co w niej wybuchać, w baku nie było ani kropli benzyny...

- W porządku, z szosy nic nie widać - mruknął Steve.

Oboje, i on, i Summer, byli mocno zmachani. Poczłapali krok za krokiem pod górę w stronę Muffy, która cierpliwie warowała, tam gdzie przedtem, obok wyjętej z bagażnika chevroleta torby. Samochód nadjeżdżający z przeciwka, białą hondę, zauważyli oboje równocześnie. Summer zmartwiała. Skoro „cynk poszedł, gdzie trzeba”, to może jadą już im na spotkanie jacyś...

- Steve, a jeśli to są... - zaczęła niepewnie, lecz nie zdołała skończyć, bo Frankenstein wziął ją nieoczekiwanie w ramiona i zamknął jej usta namiętym pocałunkiem.

ROZDZIAŁ 17

Namiętym? Bez przesady, wszystko było od początku do końca udawane, wiedziała o tym równie dobrze jak on. Gra aktorska, występ przed publicznością, którą stanowili pasażerowie białej hondy. Ledwie samochód ich minął i zniknął za zakrętem, Steve oderwał usta od ust Summer i mruknął:

- Klaps! Koniec ujęcia. Nawet nieźle to zagrałaś, kinomanko. Czułaś trochę pietra?

Wzruszyła ramionami. Nie miała ochoty odpowiadać na tak mało romantyczne pytanie. Przestraszyła się, i to nieźle, owszem, ale też... mhm... rozczarowała... Miała wrażenie, że Steve całuje ją tak, jakby była manekinem sklepowym. Na zimno, bez odrobiny ognia. Gej? Sądząc po tamtej aferze z żoną przyjaciela, raczej nie wchodziło to w grę. Summer poczuła się odrobinę urażona w swojej kobiecej dumie. Nie był gejem. Był po prostu obojętnym facetem. Facetem całkowicie obojętnym na jej wdzięki!

- To byli tylko turyści - kontynuował Steve, nie doczekawszy się odpowiedzi. - Zwykła rodzinka, tatuś z mamusią z przodu, kupa drobiazgu i zabawek na tylnym siedzeniu. Jak ojczulek zobaczył, że tu sobie gruchamy, dodał gazu, żeby nie zgorszyć mamuśki i dzieciaków.

Summer wzruszyła ramionami po raz drugi. Takie gruchanie nie mogłoby zgorszyć nawet małej Shirley Tempie!

Frankenstein pochylił się nad torbą z bagażnika chevroleta. Ponieważ Summer nie zdradzała ochoty do rozmowy, zaczął mamrotać sam do siebie:

- I co my tu mamy? O, coś dobrego do jedzenia!

Wyciągnął dużą paczkę krakersów orzechowych i położył ją na trawie. Wyglodniała Muffy natychmiast zaczęła obwąchiwać barwny pakiecik.

- A pójdziesz ty stąd! - przegnał ją. - I co jeszcze? O coś dobrego do picia!

Obok krakersów ułożył kontener z czterema puszkami piwa. Potem kolejno dorzucił: paczuszkę dropsów miętowych, czapkę - baseballówkę, pomarańczową koszulkę gimnastyczną, czarne spodenki gimnastyczne, białe skarpety, trampki i tenisówki niebywałych rozmiarów, długą sportową kurtkę, piłkę do koszykówki i podniszczony koc.

- Widzę, że obrobiliśmy jakiegoś sportowca - mruknął. -

No, trudno...

Odbił parę razy piłkę o jezdnię i z nie ukrywanym żalem cisnął ją w dół urwiska. Czapkę - czarną, z czerwonym napisem BULLS z przodu - nasadził sobie na głowę. Resztę

r2eczy zapakował z powrotem. Zarzucił torbę na ramię, w garść wziął. masywną metalową łyżkę do opon i jak gdyby nigdy nic ruszył w kierunku lasu. Zatrzymał się na jego skraju.

- Idziesz czy nie? - rzucił przez ramię do Summer. Odpowiedziała wymijająco, jakkolwiek zgodnie z prawdą.

- Nie mam buta.

Zignorował jej słowa. Skrył się wśród drzew. Słyszac z daleka warkot kolejnego samochodu, Summer przestała się ociagać, wzięła Muffy pod pachę i ruszyła w ślad za nim.

Las był prastary, tajemniczy i trochę straszny. Poprzez korony potężnych liściastych drzew docierało niewiele słonecznego światła, jego złociste smugi rozpraszały głęboki, mroczny cień tylko w niektórych miejscach, tam gdzie listowie było górami rzadsze. Grube pnie i sękaty dolne konary drzew fantazyjnie oplatała gęstwa bujnych pnączy. Monotonny, nieprzerwany poszum wiatru w gałęziach głużył wszelkie inne odgłosy. Summer nie mogła się oprzeć wrażeniu, że wkroczyła oto - po kłującej ściółce, w jednym bucie - do jakiegoś niezwykłego, odrębnego świata, który rządzi się własnymi prawami i żyje własnym życiem, we własnym, osobliwym czasie. Taki świat po drugiej stronie lustra... Summer miała wrażenie, że ona, Frankenstein i Muffy wtargnęli tu jako trójka intruzów, gdyż ten świat jest w istocie przeznaczony dla całkiem innych istot. Śmigłych i nieufnych jak przeskakujące z gałęzi na gałąź wiewiórki. Zwinnych i nieprzeniknionych jak jaszczurki wygrzewające się leniwie na skałkach w plamach słońca, lecz znikające błyskawicznie nie wiadomo gdzie na widok przybyszów. Summer nigdy nie była wielbicielką przyrody, ale ten las naprawdę robił na niej wrażenie. Gdyby jeszcze poszycie nie było takie kłujące...

- Mógłbyś na mnie zaczekać, Steve? - jęknęła, nie mogąc nadążyć za Frankensteinem, który - choć nadal lekko utykał - parł przez las wyjątkowo szybko.

Zwolnił tylko na moment, aby go zdołała dopędzić i usłyszeć z jego ust słowa wypowiedziane z nutą przygany, natomiast bez odrobiny współczucia:

- Kobieto, ależ ty się wleciesz!

Była zbyt zmordowana, żeby się w jakikolwiek sposób odciąć. Szli cały czas pod górę, Muffy, na oko tak niewielka, zdawała się ważyć tonę. Summer postawiła ją w końcu na ziemi, żeby pobiegła chociaż trochę sama. Powędrowali dalej kawalkadą: Steve przodem, ona za nim, naburmuszona Miss Muffet z tyłu.

- No i co teraz? - zagadnęła w pewnej chwili Summer.

- Teraz idziemy - odparł lakonicznie Steve.

- Ale dokąd? Masz jakiś plan? Może będziemy szli przed siebie tak długo, aż okrążymy kulę ziemską?

- Kobieto, ależ ty dużo gadasz!

- Powiedz mi chociaż jedno: czy muszę się ciebie trzymać? Może na własną rękę byłabym bezpieczniejsza?

Frankenstein zatrzymał się na chwilę. Summer i Muffy również, skwapliwie korzystając z okazji do złapania oddechu.

- Twój wybór, Rosencrans - rzekł dobitnie Steve. - Nic nie musisz, do niczego cię nie zmuszam! Jeżeli myślisz, że na własną rękę lepiej sobie poradzisz w tej głuszy - wolna droga.

Skoro uważasz, że na własną rękę lepiej sobie poradzisz z tymi trzema typami - proszę bardzo, spróbuj. Tylko nie zapomnij, jak skończyły tamte biedaczki!

Wspomnienie Lindy Miller i Betty Kern przyprawiło Summer o dreszcz. Milczała pośpiesznie. Frankenstein mówił dalej:

- Czy tobie się zdaje, Rosencrans, że ja cię ciągnę dla przyjemności? Jeśli tak, to się grubo mylisz. Sam pedałowalibyśmy o wiele szybciej, zwłaszcza na piechotę. Ciebie holuję z obowiązku, rozumiesz? Wiem, że wdepnęłaś w całe to gówno przeze mnie, więc czuję się zobowiązany w końcu cię z niego wyciągnąć. Odpowiedzialność, rozumiesz? Ale skoro chcesz odpowiadać sama za siebie, wolna droga, idź w swoją stronę, nie krępuj się!

Skończył przemowę i natychmiast ruszył dalej. Summer zawahała się przez chwilę i pomaszerowała za nim. Dogoniła go. Zapytała:

- Mógłbyś mi przynajmniej powiedzieć, dokąd idziemy?

Zaczął wyjaśniać, nie zwalniając kroku:

- Często szwendałem się po tych górach z moim ojcem, jeszcze jako chłopak, wiesz? Mieliśmy metę, takie obozowisko w jednym miejscu, łowiliśmy tam pstrągi, myślałem, że dojedziemy chevroletem, ale może i dobrze się stało z tą benzyną, na piechotę bezpieczniej, tamci nie pomyślą... No wiesz, będą obstawiać raczej drogi, nie bezdroża... To miejsce, moje i staruszka, będzie mniej więcej o trzy dni marszu stąd, cały czas na wschód. Przyczaimy się tam na parę dni, przeczekamy, aż hałas trochę ucichnie, odpoczniemy. Taki mam plan... To chyba jest jakieś wyjście, no nie? Jeżeli oczywiście tam dojdziemy!

Ruszył przed siebie jeszcze szybciej. Summer zacisnęła zęby i skoncentrowała się wyłącznie na tym, żeby dotrzymać mu kroku. Czuła się do tego zmuszona przez sytuację i... ambicję. Iść, tylko iść, po prostu iść, stale na wschód, przez trzy dni, żeby ukryć się i odpocząć w bezpiecznym miejscu. Iść przez las po kłującym, szorstkim podłożu, bosą nogą, coraz dalej i dalej... To chyba niemożliwe!

Summer zaczęła utykać. Steve zauważył, że kuleje, i zaczekał na nią.

- Co ci się stało?

- Przecież mówiłam. Nie mam jednego buta!

- Serio? Nie zwróciłem uwagi.

- Chyba jesteś ślepy i głuchy...

Steve wzruszył ramionami. Pomaszerował dalej.

- Stój, Muffy nie chce iść! - zawołała za nim Summer, spostrzegłszy, że pupilka jej matki padła jak długa i ani myśli o tym, żeby biec dalej na swoich krótkich nóżkach.

- Jak nie chce, to niech nie idzie!

- Nie pleć bzdur. Ona już nie ma siły. Nie mogę jej zostawić.

- To ją nieś!

Cóż było robić! Summer rada nierada wzięła suczkę pod pachę. Powędrowała dalej z żywym, puszystym balastem. Stopy bolały ją z każdym krokiem coraz bardziej, zwłaszcza ta bosa. Kiedy w końcu pokaleczyła ją sobie o szorstką skalną płytę, zamaskowaną warstwą liści i przez to tym bardziej zdradziecką, zrozumiała, że dłuższego marszu już nie wytrzyma i po prostu usiadła. Przestała myśleć o tym, czy Frankenstein na nią zaczeka, czy nie, przestała myśleć o czymkolwiek. Po prostu usiadła, opierając się plecami o pień drzewa i prostując obolałe nogi.

Zaczekał. Wrócił nawet, podszedł do niej. Pochylił się i zapytał:

- No, co z tobą?

Westchnęła ciężko i zaczęła wyliczać, wykrzykując trochę histerycznym tonem:

- Po pierwsze, obtarłam nogę! Po drugie, zasypiam na chodząco, bo nie spałam od dwudziestu czterech godzin! Po trzecie, jestem głodna, po czwarte, nie mam siły, po piąte, nie mam buta. Starczy?

- Weź się w garść, Rosencrans - mruknął obojętnie.

I ruszył dalej. Poszedł sobie. Zostawił ją i poszedł. Nie zaproponował chwili odpoczynku, nie poczęstował krakersami, nie wziął psa. Kazał jej tylko wziąć się w garść i poszedł! A niech sobie idzie do diabła! Niech go piekło pochłonie!

Już zniknął jej z oczu za jakąś skałą, kiedy uświadomiła sobie, że jeśli zostanie sama w leśnej głuszy, to raczej jej życie stanie się piekłem. Zginie w tych górskich ostępach, a jeśli się cudem z nich wydostanie - zginie również. Wzięła Muffy pod pachę, dźwignęła się z wysiłkiem, ruszyła za Frankensteinem, którego już nie było widać. Zbliżyła się do skałki, dość wysokiej, sterczącej ponad poziom gruntu na mniej więcej dwa metry, minęła ją... Z drugiej strony było zagłębienie, tworzył się rodzaj kamiennego daszku czy nawet rodzaj płytkiej groty, osłoniętej od frontu płataniną krzaków i pnączy. Okazało się, że Frankenstein siedzi tam i grzebie w swojej torbie.

Spojrzał na Summer i stwierdził:

- Tu możemy odpocząć i zjeść. Nie wiem, jak ty, Rosencrans, ale ja padam już ze zmęczenia i konam z głodu.

Miała chęć mu powiedzieć: „A niech cię diabli wezmą, Calhoun!”, ale znużenie i wyczerpanie sprawiło, że usiadła bez słowa. Steve wyjął z torby krakersy i koc. Zapytał:

- Chcesz najpierw jeść czy spać? Zdziwiła się:

- Spać? Niby gdzie?

- No, tutaj! Przecież nie w „Holiday Inn” - odparł z uśmiechem politowania.

- Tutaj? W lesie, pod gołym niebem? Przecież tu mogą być niedźwiedzie albo wilki, albo...

- Takie zbiry, jak tamci faceci, są znacznie gorsi od niedźwiedzi i wilków. Tak myślę... Zresztą tu, w Appalachach, raczej nie ma żadnych niebezpiecznych zwierząt.

- Jest za to jedno głodne zwierzę - Summer wskazała na Muffy. - Może najpierw sami coś zjedzmy i podzielmy się z nią.

- Tą odrobiną żarcia mam się dzielić z psem? - obruszył się Steve.

- Człowieku, Muffy uratowała ci życie...

- Wielkie dzięki, Muffy. Daj łapę, żebym mógł ci ją uścisnąć, i leć zapolować na wiewiórki!

- Do licha, nie pleć głupstw! Muffy nie umie polować, to pies wystawowy, czempionka ze wspaniałym rodowodem, moja matka na nią chucha i dmucha, chyba nigdy jej nawet nie wyprowadza bez smyczy!

- Mhm... - westchnął Steve. - Mamy krakersy, cztery piwa i dropsy. Jak to cudo nam część z tego pożre, sami będziemy musieli zapolować na wiewiórki, żeby nie umrzeć z głodu. No trudno... - wzruszył ramionami i podał Muffy krakersa. - Z babą człowiek nie wygra - dodał sentencjonalnie. - Właściwie z dwiema, skoro to też pleć żeńska.

Zjadł parę krakersów, Summer również. Podzielili się sprawiedliwie, uwzględniając Muffy.

- Chcesz piwa? - zapytał w końcu Steve, wyciągając z torby kontenerek z czterema puszkami strohsa.

- Chcę pić, ale piwa nie cierpię. Mdli mnie już od samego zapachu tego świństwa.

- Nic innego nie marny... Źródła też tu nigdzie nie widzę.

- No to niech będzie.

Podał jej otwartą puszkę. Skrzywiła się i przełknęła ze wstrętem parę łyków.

- Więcej nie chcę.

Oddała Steve'owi napoczęte piwo.

- Jesteś pewna, że więcej nie chcesz? - zapytał.

- Tak, możesz wypić.

Spojrzał spod oka na puszkę.

- Nie mogę! - stwierdził. - Chociaż od piwa mnie nie mdli i pić mi się chce jak cholera!

Wylał w trawę zawartość puszkę, a potem ją zgniótł i ze złością cisnął w krzaki.

- Co z tobą? - spytała sarkastycznym nieco tonem Summer.

- Jesteś alkoholikiem na odwyku czy jak?

- A jeśli tak, to co? - mruknął. Speszyla się.

- Nic, tylko pytam...

- Jestem, nie jestem... Kiedyś za dużo piłem, ale wypilem swoje i stop. Teraz już ani kropli. Nawet piwa.

Rozpostarł koc na ziemi, ułożył się na jednej jego połowie i nakrył drugą. Wsunął sobie pod głowę torbę zamiast poduszki.

- Pora pospać... - mruknął i natychmiast przymknął oczy.

- A ja?

Otworzył oczy, spojrzał półprzytomnie na Summer. Zmarszczył brwi, chwilę pomyślał i w końcu rzekł, uchylając koca:

- Kładź się obok.

Czy miała inne wyjście? Chyba nie. Do takiego przynajmniej wniosku doszła, rozważywszy alternatywę: brak snu albo samotną drzemkę na gołej ziemi. Westchnęła więc z rezygnacją i wśliznęła się pod sfatygowany, niegdyś różowo - niebieski, ale po wielu praniach już tylko różowawo - niebieskawy, postrzępiony na brzegach i przetarty pośrodku koc prosto w ramiona Frankensteina. Z konieczności - bo przecież nie z własnego wyboru ani własnej chęci - przyłgnęła plecami do jego szerokiej piersi. Z konieczności ułożyła głowę na tej samej co on poduszce, nie, na torbie, która poduszkę udawała. Okryła się tym samym co on skrawkiem koca. Poczwała ciepło jego ciała. Wsłuchała się w równy rytm jego oddechu. I doznała dziwnego, nieodpartego, choć z pewnością absurdalnego w jej sytuacji wrażenia, że jest całkowicie bezpieczna.

ROZDZIAŁ 18

Steve usnął, gdy tylko się położył. Spał głęboko, nie śniąc o niczym. Kiedy się w końcu obudził i otworzył oczy, spostrzegł... Deedee.

Była ubrana w kowbojskie buty, obcisłe, sprane dżinsy i skórzaną kurtkę motocyklisty. Miała rozpuszczone włosy i dość jaskrawy makijaż, jak zwykle. Blondynka, niebieskie oczy, promienny uśmiech... Z całą pewnością Deedee. Patrzyła na niego z pewnej odległości, machała mu ręką. Ten sam co zwykle gest, ten sam czerwony lakier na paznokciach. Deedee, nikt inny...

„Ale przecież ona nie żyje! - uświadomił sobie nagle. - Nie żyje - pomyślał gorączkowo - nie ma jej, a ja wyraźnie ją widzę! Na Boga, jak to możliwe?”

Chciał się upewnić, chciał sprawdzić, chciał zerwać się na równe nogi, podbiec do niej, dotknąć jej, spojrzeć na nią z bliska. Uniósł się gwałtownie na posłaniu.

- Co się stało, zły sen? - spytała leżąca obok kobieta, którą niechcący obudził.

Deedee zniknęła, jakby spłoszyły ją te słowa.

- Tak, tak, śpij, coś mi się tylko przyśniło - mruknął.

Ta kobieta, Rosencrans, to znaczy Summer, Summer McAfee, natychmiast znów usnęła. On nie mógł spać, poruszony, przejęty tym, co widział, widział we śnie, ma się rozumieć, przecież Deedee nie żyła, nie było jej wśród żywych, nie było jej na jawie, mogła się tylko przyśnić, jakżeby miała pokazać mu się naprawdę, to musiał być sen...

Sen? Cholera, przecież najpierw się obudził, a potem dopiero ją zobaczył, przecież tam, w hangarze, wcale nie spał, nawet nie leżał, a też ją widział! Może nie sen, może przywidzenie, urojenie uszkodzonego mózgu, chorobliwy, maniacki wytwór skołatanych nerwów? A może jakaś nawracająca upiorna wizja, która będzie go prześladowała do końca życia?

Kara? Przecież w ciągu trzech lat od swojej śmierci Deedee nie ukazała mu się ani razu. Miałaby zacząć go prześladować dopiero teraz? Kto wie... Cholera, trzeba się napić, żeby coś takiego zrozumieć!

Nie! Tylko nie to. Przez ponad dwa i pół roku pił bez opamiętania, na umór, bo się łudził, że alkohol to lekarstwo dla zbolącej duszy i otepiatego umysłu. Pił, bo nie mógł się na trzeźwo uporać z własnymi problemami. Pił, bo nie potrafił na trzeźwo pojąć tego wszystkiego, co się stało z Deedee, z Mitchem, a przede wszystkim z nim samym i z całym jego światem. Pił dzień w dzień przez ponad dwa i pół roku, i pewnie zapiłby się na śmierć,

gdyby nie przestał. Gdyby pewnego dnia, sześć miesięcy temu, nie powiedział sobie - stop!

Od tego czasu nie wziął do ust ani kropelki. Nawet piwa. Ze strachu, że mógłby znowu pograć się w bagnie, z którego wyrwał się ostatkiem sił. Ani kropelki. Nawet piwa. Cholera, był dzisiaj tak potwornie spragniony, że chyba opróżniłby puszkę, gdyby nie sarkastyczny ton tej kobiety, jakim go zapytała, czy jest alkoholiczkiem...

Ta kobieta... Zасыpiając wypięła się na niego, ale teraz, przez sen, odwróciła się w drugą stronę, ufnie wsparła głowę na jego piersi... Cholera, powinien spać, zamiast się jej przyglądać, ostatnie czterdzieści osiem godzin to był prawdziwy koszmar, jaki tam koszmar, piekło, powinien spać, odpoczywać, dać wytchnienie zszarpanym nerwom i pokiereszowanemu ciału! Właśnie, ciało... Trzeba przyznać, że ciało to ona ma całkiem niezłe! Można powiedzieć - bujne, ale bez przesady. Wszystkiego tyle, ile trzeba, tu więcej, tam mniej, wszystko na swoim miejscu, wypukłości, okrągłości. Właśnie, cholera, nawet niezłe ma te cycki, całkiem jak Dolly Parton... Gdzie tam, niech się Dolly ze swoimi schowa, dużo lepsze!

Lubił kobiety postawne, przy kości, takie, co to mają na czym siedzieć i czym oddychać, a zwłaszcza czym oddychać! Jedni faceci gustują w zgrabnych nogach, inni w foremnych tyłkach, a on należał do tych, dla których najważniejszy jest biust. Cholera, niezłe cycki, warto było to zobaczyć, aż szkoda, że w takiej gównianej sytuacji, kiedy człowiek nie myśli o niczym innym, tylko żeby ocalić własną dupę!

Właśnie, teraz też raczej o tym powinien pomyśleć, nie o cyckach, zastanowić się, co jest naprawdę grane, kto za tym stoi i jak on ma z tego wybrnąć. On i ona... Cholera, ona jest taka kobieca, taka ponętna, że aż coś człowieka rozpycha od środka, no, może nie całego człowieka, ale dokładnie to, co trzeba i jak trzeba, na trzeźwo mu się coś takiego przytrafiło chyba pierwszy raz od trzech lat, od ponad trzech lat, może od śmierci Deedee... Deedee... Nie ma Deedee, Deedee umarła, mogła mu się tylko przyśnić, nic poza tym. Nikogo tu nie ma oprócz niego, tej śpiącej obok kobiety i pociesznego psiaka, co to leży sobie właśnie obok torby i patrzy uważnie, jakby się czemuś przyglądał w tamtym kącie z tyłu. Co też tam ciekawego widzi, trzeba spojrzeć, odwrócić głowę i przypatrzeć się. O Boże, to Deedee, stoi i macha ręką, Deedee, Boże... - Deedee!!!

Wykrzyknął jej imię głośno i ochryple, poderwał się gwałtownie. Zniknęła. Deedee zniknęła, nie, nie mogła zniknąć, żeby zniknąć, musiałaby tu być, a przecież jej tu nie ma, nigdzie jej nie ma, w ogóle jej nie ma na tym świecie, minęły trzy lata, odkąd nie ma Deedee, nigdzie, a więc tak samo tutaj, nawet pies już nie patrzy w tamtą stronę, tylko spokojnie się czochra. Cholerny psiak, nie miał się gdzie gapić! - Musimy już iść?

Kto, do diabła, o to pyta? Aha, Rosencrans... Zbudził ją, kiedy narobił rabanu przez Deedee. Rosencrans, ta kobieta, która leży tuż obok. Rozespane, ale cholernie ładne piwne oczy, prosty nosek, delikatna cera, kształtne usta leciutko, kusząco rozchylone, jak do pocałunku... Całkiem atrakcyjna kobieta ta Rosencrans, cholera, więcej niż atrakcyjna, piękna kobieta, niczego sobie nawet w takim stanie jak teraz, rozespana, rozczochrana i brudna, jasne, że niczego sobie, skoro po raz pierwszy od śmierci Deedee...

ROZDZIAŁ 19

Jasne, musimy iść, trzeba wstawać, dosyć tego dobrego! - przyświadczył, maskując oschłą stanowczością zakłopotanie. Summer przełękła się. Zaczęła go wypytywać:

- Czy coś się stało? Coś może zauważyłeś, coś usłyszałeś? Coś podejrzanego?

Ze strachu szybko rozbudziła się na dobre. Też poczuła się zakłopotana. Że on i ona razem, tak blisko siebie, na jednym pośłaniu... Wyplątała się z koca, zerwała na równe nogi.

- Nic nie widziałem, nic nie słyszałem - uspokoił ją Frankenstein. - Trzeba wstawać, bo musimy iść. I tyle!

Złożył koc. Nim wepchnął go do torby, wyjął z niej parę drobiazgów; koszulkę, spodenki, trampki. Mruknął:

- Włóż to, bo wyglądasz jak półtora nieszczęścia w tych swoich podartych ciuchach.

Summer przyjrzała się koszulce gimnastycznej. Męska, do tego rozmiar na wielkoluda. Jak na nią - dołem do kolan, za to górą! Dekolt po pępek, wycięcie pod pachami do bioder... Równie dobrze mogłaby wystąpić topless.

- Nie mogę tego włożyć! - jęknęła.

- Myślisz, że w tym kolorze ci nie do twarzy czy co? - zakpił Frankenstein.

- Ale śmieszne - odcięła się. - Nie chodzi o kolor, tylko o rozmiar i fason. Popatrz, zamiast się wygłupiać!

Przyłożyła koszulkę do siebie. Steve uśmiechnął się i pokiwał głową.

- Faktycznie, byłoby niezłe kino! - powiedział. - W takim razie zamiana, ja biorę tę, a ty weź moją.

Ściągnął przyciasny czarny T - shirt z nadrukiem przedstawiającym bulteriera i napisem RUDE DOG RULES. Summer musiała przyznać w duchu, że jego tors, mimo widocznych w wielu miejscach sińców i szram, prezentuje się imponująco. Szeroka, bujnie owłosiona klatka piersiowa, muskularne ramiona, płaski brzuch. Sylwetka atlety, uosobienie siły... A przecież zawsze jej się podobali silni, atletycznie zbudowani mężczyźni!

Włożył koszulkę gimnastyczną z napisem NIKE, nasadził czapkę na głowę. Wziął torbę w garść i wyszedł ze skalnego schronienia, w którym spali. Na odchodnym rzucił:

- Pośpiesz się, dobra? Czekam.

Muffy pobiegła za nim. Summer została sama. Ściągnęła sfatygowane dzinsy, przeznaczone specjalnie do sprzątnia, i włożyła czarne, gimnastyczne szorty, które na niej wyglądały jak bermudy. Zdjęła podartą bluzkę i biustonosz z rozerwanym ramiączkiem,

ramiączko zawiązała na węzeł i włożyła stanik z powrotem, wciągnęła przez głowę T - shirt.

- Długo jeszcze? - zawołał zniecierpliwiony Frankenstein.

- Już idę, moment! - odkrzyknęła.

Z braku grzebienia czy szczotki przeczesła ręką swoje długie włosy, całkowicie rozpuszczone, odkąd, za sprawą Frankensteina, rozleciał jej się koczek, i, prawdę mówiąc, nieźle skołtunione. Pomyślała: „Gdybym tak mogła teraz chociaż na kwadrans wejść do łazienki, wziąć prysznic, umyć zęby, umyć włosy i zrobić sobie jaką taką fryzurę, no i może jeszcze makijaż! Wtedy... Wtedy może by mnie pocałował z trochę większym zapalem niż tam na szosie!”

Machnęła ręką. Wszystko, co mogła zrobić dla urody, to spleść włosy w warkocz i przewiązać go kokardką z barwnego strzępka bluzki, żeby się nie rozlatywał.

- No już? - zrzędził Frankenstein.

- Jestem gotowa - odpowiedziała i wyszła na zewnątrz. - Jak wyglądam? - zapytała kokieteryjnie.

- Jak bosa baba w dynamówkach i podkoszulku - mruknął, nie bardzo się jej przyglądając. - Masz tu buty – podał jej parę czarnych trampek, z wetkniętymi do środka skarpetkami.

- Za duże - skrzywiła się. - Lepiej daj mi te swoje klapki.

- Chyba zgłupiałaś, Rosencrans! Mamy do przejścia ładnych parę mil, parę dziesiątek mil, w klapkach nie dasz rady, możesz skrócić nogę w kostce albo stąpnąć na węża...

Argument z węzem Summer uznała za przekonujący. Wciągnęła skarpety i zaczęła wiązać trampki. Steve włożył drugą parę sportowego obuwia, znalezione w bagażniku chevroleta, białe tenisówki. Summer zaczęła się głośno zastanawiać:

- A może tamte buty byłyby dla mnie lepsze?

- Nie marudź - burknął. - Jedne i drugie to kajaki, trampki możesz sobie przynajmniej obwiązać sznurowadłami dookoła kostek, żeby ci nie spadały, a te tenisówki zaraz byś zgubiła.

- Racja! - zgodziła się Summer.

Zasznurowała mocno gigantyczne trampki. Steve pozbierał w tym czasie wszystkie drobiazgi do torby, zarzucił ją sobie na ramię, wziął w garść łyżkę do opon...

- W drogę! - zarządził.

Nim ruszyli, spojrzała mu w oczy. Co chciała w nich wyczytać? Ciężkie zainteresowania? Odrobinę sympatii?

- Co się tak gapisz? - zapytał opryskliwie.

Speszyła się w pierwszej chwili.

- Nic, nic, ja... - zaczęła niepewnie, ale stopniowo odzyskując rezon dokończyła: -...ja po prostu myślę, że powinieneś obmyć twarz.

- Ty też, jak tylko nadarzy się okazja. Idziemy!

- Jeden moment.

Pobiegła za krzaki, załatwić pewną pilną sprawę. Nie była pewna, czy w tym czasie Frankenstein po prostu nie ruszy przed siebie, zostawiając ją samą i nie przejmując się, czy ona go dogoni i czy w ogóle zdoła go w lesie odnaleźć. Nie odszedł. Stał oparty o drzewo i czekał. Uznała to za miły gest z jego strony.

- Gotowa? - spytał, spoglądając spod oka i spod długiego daszka baseballówki.

- Tak jest, sir! - zameldowała po wojskowemu i udała, że salutuje.

Nie rozchmurzył się. Nie rozbawiła go jej błazenada.

- Zjedz po drodze - mruknął i podał Summer parę krakersów. - Idziemy.

ROZDZIAŁ 20

Przybita gwoździem do drzewa drewniana tabliczka na rozwidleniu leśnego szlaku informowała, że idąc prosto i pod górę można osiągnąć szczyt HAW KNOB, 1668 m n.p.m. Frankenstein wybrał jednak drugą drogę, biegnącą na wschód stokiem wzniesienia i nie wymagającą dalszej wspinaczki. Co za ulga! Szli bez odpoczynku od wielu godzin, zapadał już zmierzch, Muffy zdawała się ważyć tonę, komary cięły bez litości. Summer bolały nogi od długiego marszu w niewygodnych butach i ręce od dźwigania psiaka, który jak na swój lilipuci wzrost był, zgodnie z wzorcem rasowym pekińczyków, wyjątkowo masywny. Do tego kręcił się od jakiegoś czasu, wrywał i skomlał.

Summer domyślała się, o co chodzi. Muffy chciała jeść. Cóż, ona również była piekielnie głodna, ale Frankenstein schował resztkę krakersów do torby jako żelazny zapas na następny dzień. Zdrowy rozsądek Summer przyznawał takiemu rozwiązaniu słuszość. Pusty żołądek nakłaniał ją jednak do buntu. Rozsądek oczywiście brał górę, ale żołądek cierpiał.

Muffy zdawała się być jednym wielkim cierpieniem. Chciała jeść i już, żadne rozumowe argumenty nie pomagały jej w cierpliwym znoszeniu głodu. Od jakiegoś czasu skomlała coraz częściej i wierciła się coraz bardziej, zupełnie jakby coś ją drażniło i dodatkowo pobudzało jej apetyt. Wreszcie i Summer zorientowała się, co to takiego: zapach dymu i pieczonych kiełbasek. Niewielkie górskie schronisko wyłoniło się zza drzew. Stało na zboczu, nieco powyżej ich drogi, na sporej leśnej polanie. Kręcili się wokół niego jacyś ludzie, mężczyźni, kobiety, najprawdopodobniej turyści, ktoś wyśpiewywał przy ognisku. Wystarczyłoby przejść kilka, kilkanaście kroków, żeby się do nich przyłączyć... żeby nakarmić Muffy i samemu skosztować wonnych, smakowitych specjałów. Ach, ta chrupiąca skórka, ach, ten kapiący tłuszcz! Kiełbaski pieczone na ogniu, parę kroków, odpoczynek i cudowna uczta w przyjaznym gronie turystów!

A jeśli... Jeśli pośród tych ludzi też jest ktoś, kto odebrał cynk? Albo jeśli po prostu gospodarze schroniska, kierując się podejrzanym wyglądem i strojem ich obojga, zadzwonią na policję? W schronisku prawdopodobnie jest telefon, lepiej się tam nie pokazywać w takim stanie i na dodatek bez pieniędzy. Steve ma rację, że szybkim krokiem oddala się z tego miejsca, trzeba iść za nim, nie ma innego wyjścia, rozważa i rozsądek... Do licha, żeby tylko nie chciało się tak bardzo jeść i żeby Muffy tak się nie wrywała i nie popiskiwała! Ciii, Muffy, ciii... Zegnaj, schronisko, zegnajcie mili turyści, zegnajcie pieczone kiełbaski! Trzeba iść, iść, iść, zaciśnąć zęby i iść. Jeszcze trochę i jeszcze, i jeszcze!

W jakimś miejscu Frankenstein zatrzymał się na chwilę. Rozejrzał się uważnie i z turystycznego szlaku zszedł na jakąś boczną ścieżkę, ledwie widoczną wśród gęstego leśnego poszycia, na dodatek w wieczornym półmroku. Summer z Muffy pod pachą ruszyła za nim. Korzenie, kamienie... Trudno zrobić krok, a on pędzi tak szybko. Niemordowany facet. Wciąż pędzi, jakby nie znał uczucia zmęczenia, pragnienia i głodu. Jakby nie znał w ogóle ludzkich uczuć, nieczuły stwór, przystosowany wyłącznie do marszu. Pędzi, pędzi, nawet się nie odzywa, jakby mówić nie umiał. Wokół cisza, poza odgłosem kroków słycać tylko szum drzew na wietrze, brzęczenie cykad i świerszczy...

- Steve, zwolnij!

Frankenstein maszeruje dalej w tym samym tempie.

- Steve, nie mogę nadążyć. Żadnej reakcji.

- Steve, jestem głodna.

Cisza.

- Steve, już chyba północ, nie możemy zrobić przerwy? Ciągły marsz.

- Steve, do cholery!

Wiatr pojękuje wśród drzew. Cykady i świerszcze grają nadal. Nagle rozlega się w pobliżu jakiś głuchy łoskot.

- Steve!

Podbiegła do Frankensteina, uczepiła się kurczowo jego ramienia.

- O co chodzi, Rosencrans? - zapytał, opryskliwie jak zwykle.

- Boję się, Steve! Co to było?

- Niby co?

- Ten dźwięk!

- Sucha gałąź odpadła od pnia. A myślałaś, że co?

- Nie wiem, może niedźwiedź...

- Jakby się jakiś trafił, rzuciłbym mu ciebie i tego kundla na pożarcie.

- Gbur! - obruszyła się Summer i natychmiast puściła ramię Frankensteina.

W świetle gwiazd i księżyca pokonywali przecinającą ścieżkę strumienie i zwalone w poprzek niej drzewa. Przedzierali się przez kolczaste zarośla jeżyn. Mijali wyrąbane przez drwali polany, ponad którymi unosił się zapach żywicy i końskiego nawozu. Żaden pojazd nie byłby w stanie dotrzeć w te ostępy. Ścięte drewno transportowano konno.

Cisza, ciemność... Summer zastanawiała się: „Która właściwie może być godzina? Pierwsza? Druga? Czy Frankenstein zamierza wędrować przez całą noc, aż do świtu?”

Potrzebowała nie tylko odpoczynku, od dłuższego już czasu odczuwała jeszcze inną

pilną potrzebę. Postawiła psiaka na ziemi, przykucnęła za krzakiem. Uff, co za ulga! Tylko gdzie się podziała Muffy? Przed chwilą jeszcze tu była, a teraz nagle zniknęła.

- Hej, Steve!

- Co znowu? - odburknął z daleka.

- Muffy mi uciekła. Wypuściłam ją na chwilę na siku, a ta mała paskuda gdzieś przepadła...

- Psiakrew! - przekleństwo rozległo się w pobliżu, bo Frankenstein zawrócił i zaczął rozglądać się dookoła, usiłując przebić wzrokiem ciemność. Burknął wściekle:

- Psiakrew, musimy ją znaleźć!

- To miłe z twojej strony...

- Diabła tam, miłe, z tym kundlem jest tak samo jak z tamtym samochodem, trudno spotkać podobne dziwadło. Jeżeli się natkną na Muffy, zaraz będą wiedzieli, gdzie nas szukać!

- Muffy to nie żadne dziwadło, tylko rasowy pekińczyk!

- Jak zwał, tak zwał... Lepiej pomóż mi szukać.

Przez dłuższy czas krążyli dookoła. Pogwizdywali na psiaka, nawoływali go. Muffy nigdzie nie było. Ciemność, cisza, niespodziewany szelest skrzydeł przelatującej nisko sowy... Sum - mer aż przykucnęła ze strachu. Przykucnęła i wyczuła snujący się nisko nad ziemią dym! Zapach dymu z ogniska, który najprawdopodobniej zwabił Muffy. Zawołała Frankensteina. Podszedł, pociągnął nosem. Nie było wątpliwości, dym... Zaczęli ostrożnie skradać się w kierunku, z którego dobiegał cierpki swąd. Po chwili spoza drzew wyłoniła się przed nimi polana. Stało na niej półkolem kilka namiotów, paliło się ognisko, wokół ogniska siedzieli chłopcy w skautowskich mundurkach i dwóch czy trzech dorosłych mężczyzn, wszyscy opiekali kiełbaski, jeden ze starszych druhów snuł jakąś opowieść... Kiełbaski! Ale zapach! Summer poczuła, że głód aż ją skręca, spojrzała wymownie na Frankensteina.

- Chłopaki, coś jest przy namiocie! - wykrzyknął nagle jeden ze skautów.

- Jakiś zwierzak! - zawtórował drugi.

- Ukradł nam torbę z żarciem!

- To chyba lis!

- Opos!

- Szop!

- Niedźwiedź!

- Łapać złodzieja!

- Za nim!

Skauci i ich opiekunowie rzucili się w pogoń. Czworonożny kosmaty rabuś umykał prosto w kierunku ukrytych za drze wami Frankensteina i Summer, ciągnąc za sobą białą plastikową reklamówkę, której wydłużone uchwyty trzymał w zębach.

ROZDZIAŁ 21

Muffy!!!

Steve popisał się reflekssem, dosłownie w biegu chwycił pekińczyka i torbę, i natychmiast czmychnął w głąb lasu. Summer za nim, w te pędy, byle dalej od pohukujących skautów! Potknęła się, upadła, Steve zawrócił... Zdziwienie. Pomógł jej wstać, podał rękę, pociągnął ją za sobą. Niemal szok!

Nie musieli na szczęście uciekać zbyt daleko. Opiekunowie zatrzymali rozochoconych chłopaków, nie pozwolili im wdzierać się głębiej w zarośla po ciemku. Pogoń ustała, jej hałaśliwe odgłosy ucichły.

Summer, holowana w biegu przez Frankensteina i zmuszona dotrzymywać mu kroku, dostała zadyszki.

- Już nie mogę - wykrztusiła, z trudem łapiąc oddech. -

Trudno, muszę odsapnąć.

Zatrzymali się. Steve nie darował sobie cierpkiej uwagi:

- Nie jesteś specjalnie wysportowana... Summer odcięła się:

- Trzeba było porwać Jackie Joyner!

- ...za to złośliwa, że hej!

- Z ciebie też nie aniołek! - Wiedźma!

- To razem para potworów. Roześmiali się oboje.

- Zasłużyłaś na odpoczynek - udobruchał się Steve. - Dzięki tobie mamy kolację, to znaczy dzięki twojemu psu.

- Mówiłam, że Muffy to nie byle jaka figura! Tam jest żarcie? - wskazała na zdobyczną torbę, którą Frankenstein trzymał w prawej ręce, razem z łyżką do opon.

Postawił na ziemi Muffy, którą dotąd przyciskał niczym piłkę futbolową lewą ręką do boku, i rozchyliwszy obiema dłońmi brzeg torby zaprezentował Summer jej zawartość:

- Zobacz sama!

Zerknęła. W reklamówce znajdowały się trzy opakowane w folię kielbaski, trzy duże bułki i trzy drożdżowe bułeczki. A na dodatek - żółta plastikowa zapalniczka. Summer aż jęknęła z zachwyty.

- Toż to prawdziwa uczta!

- Rozpalimy ognisko i przyrządzimy sobie hot dogi - stwierdził z zadowoleniem Frankenstein. - Chodź, znajdziemy tylko odpowiednie miejsce.

- O nie, ja się już stąd nie ruszę ani na krok!

- Nie wygłupiaj się, Rosencrans...

- McAfee!

- Jak zwał, tak zwał... Nie można palić ognia byle gdzie, w ten sposób łatwo sfajczyć cały las. No, już, nie będziemy szli daleko.

Maszerowali jeszcze jakiś kwadrans. Kiedy natknęli się na strumień, Frankenstein stwierdził:

- To miejsce może być. Tu rozpalimy ogień i spędzimy noc.

- Chwała Bogu! - westchnęła Summer i od razu chciała usiąść.

- Ale na drugim brzegu... - dodał Steve.

Z psem pod pachą, torbą na ramieniu, a reklamówką i łyżką do opon w ręku, zaczął forsować strumień. Summer rada nierada ruszyła za nim. Nocne powietrze było dość chłodne, bystra woda - prawdziwie lodowata. Na szczęście płytka, w najgłębszym miejscu sięgała do kolan. Summer zatrzymała się pośrodku strumienia, żeby splukać sobie ręce i przemyć twarz. Frankenstein dotarł w tym czasie na przeciwległy, kamienisty brzeg, ulokował tam Muffy i bagaże, po czym zawrócił. Pochylił się nad potokiem i zaczął również dokonywać ablucji. Summer zrobiła niezręczny krok do przodu, pośliznęła się na jakimś omszałym kamieniu, straciła równowagę i z potężnym pluśnięciem runęła jak długa w wodę. Zanurzyła się z głową, zakrztusiła, zaczęła machać bezładnie rękami... Ktoś szarpnął ją energicznie za koszulkę. Frankenstein. Pomógł Summer stanąć na nogach i wyciągnął ją na brzeg. Ociekającą wodą, przemoczoną do nitki...

- T...tylk...ko się n...nie ś...śmieję... - zastrzegła, szczękając zębami.

Oczywiście wybuchnął gromkim śmiechem. Summer nie mogła się zdecydować, czy też ma się śmiać, czy może raczej rozplakać. Trzęsła się z zimna i trochę pewnie ze złości. Na Steve'a, na siebie, na strumień, na śliskie trampki, które napełniły się wodą i zrobiły się ciężkie niczym nadbrzeżne kamienie... Nawet na Muffy, która zaczęła nagle szczerzyć zęby, zde gustowana widać jej powierzchownością topielicy.

- Kąpiel zaliczona przed kolacją - mruknął dobrodusznym, pojednawczym tonem Frankenstein, tłumiąc chichot.

Podał jej koc.

- Ściągnij te mokre ciuchy, zanim dostaniesz zapalenia płuc, dobrze się okryj. Rozpalę ogień.

Zaczął się rozglądać w poszukiwaniu drewna. Summer schowała się za pokaźny głaz, wyżeła włosy, zdjęła mokre rzeczy, zrobiła sobie z koca coś w rodzaju peleryny. Wyszła z

ukrycia dość speszona, ale na szczęście Frankenstein zupełnie nie zwracał na nią uwagi. Znosił suche gałęzie, układał je w odpowiedni sposób na kamienistym podłożu... Działał z wprawą doświadczonego trapera. Wkrótce rozpałił ogień i zasiadł przy nim z powagą. Muffy przycupnęła obok, wpatrując się w zdobyczną torbę.

- Chodź do nas, Rosencrans, nie chowaj się po kątach! Za raz będzie wyżerka...

Ciepło i pożywienie! Pokusa była zbyt wielka. Mimo skrępowania nietypowym okryciem i... kompletną nagością pod spodem Summer zbliżyła się do ogniska. Rozwiesiła mokre rzeczy na pobliskiej gałęzi, żeby przeschnęły, w tym samym celu ułożyła na kamieniu buty podszwami do góry. Usiadła obok

Muffy, przytrzymując starannie koc, żeby się nie rozchylił. Niepotrzebnie. Frankenstein zdawał się skupiony wyłącznie na ogniu i prowiancie! Siedząc po turecku, dokładał po trochu drewek i przypiekał nabite na długi patyk kielbaski.

Summer zaczęła mu się przyglądać kątem oka. Czarna, smolista wręcz czupryna, cera śniada, wydatne, trochę indiańskie kości policzkowe, nos orli, wąskie usta, lekko spiczasty podbródek... „Piękny to on by nie był nawet bez tych sińców i szram... - pomyślała -... w swoim czasie musiał zaniedbać trądzik, ma teraz ślady jak po ospie...”

Frankenstein spojrzał na nią, zupełnie jakby wyczuł, że mu się przygląda i o nim myśli. Oczy miał tak samo czarne, smoliste, jak włosy, spojrzenie baczne, przenikliwe, drapieżne... Summer speszona odwróciła wzrok. Przyznała w duchu: „Piękny to on może nie jest, ale... mhm... diabelnie interesujący... Zbudowany jak trzeba: szerokie barki, muskularne ramiona, umięśnione nogi... Owłosiony na ciele prawdziwie po męsku... O właśnie, nie jest piękny ani nawet przystojny, ale męski, diabelnie męski! Silny, szybki, wytrzymały, zdecydowany, pewny siebie, odważny. Można powiedzieć więcej - nieulekły... Nie boi się ryzyka ani śmierci. To znaczy... Nie boi się ani umrzeć, ani - zabić!”

Summer poczuła, że przeszedł ją dreszcz. Dreszcz lęku? Chyba nie tylko... Frankenstein podał jej upieczoną na ognisku kielbaskę nadzianą na patyk. Ugryzła łapczywie, oparzyła się w język, syknęła, podał jej piwo, przechyliła otwartą już puszkę, z ulgą zwilżyła gardło i przełknęła parę sporych haustów.

- Łakomstwo nie popłaca - zakpił. - Mówiłaś, że nie lubisz piwa...

- Bo nie lubię!

- Nie balowało się przy browarku w college'u?

- Nie. Nie byłam w college'u.

- Jak to?

- Zwyczajnie. Od razu po maturze zostałam modelką. Jeszcze w ogólniaku chodziłam

na kursy, potem na sesje, wiesz, próbne zdjęcia... Jedna taka agencja z Nowego Jorku mnie ściągnęła. Byłam młoda i głupia, liczyłam, że najpierw zrobię karierę, a później zdążę postudiować. Przeliczyłam się, z jednym i z drugim. Z karierą i ze studiami...

Summer odgryzła kęs kiełbaski, już ostrożniej. Potem kęs bułki. Pycha! Frankenstein oddzielił część ze swojej porcji i przeznaczył ją... dla Muffy. Szok!

- Kawałek jej się należy... - mruknął gwoli wyjaśnienia. - Jak długo zadawałaś szyku w Nowym Jorku?

- Jakiego tam szyku, nigdy nie byłam na prawdziwym topie. Bielizna, zdjęcia do katalogów... Marzyłam o wielkich pokazach, ale nie wyszło. Żyło się skromnie, chociaż nie powiem, dość miło. Brakowało mi dwóch miesięcy do dwudziestu pięciu lat, kiedy musiałam się wycofać. Pojawiły się inne dziewczyny, młodsze... Świeży towar... Pożegnałam Nowy Jork i wróciłam do domu, do Murfreesboro.

- Dawno to było?

- Już jedenaście lat temu.

- Znaczy, że masz trzydzieści sześć?

- Koszmar, prawda? Do licha, starość nie radość...

ROZDZIAŁ 22

Bez przesady! Ja mam trzydzieści dziewięć.

- Facet to co innego. Pewnie randkujesz sobie z dwudziestkami jakby nigdy nic...

- Też coś, kwaśne jabłka! Nie gustuję, wolę dojrzały owo takie troszkę starsze dziewczyny, co to już wiedzą jak, a jeszcze mogą, że ho, ho... Mniej więcej w twoim wieku.

- Ale zabawne! - obruszyła się Summer.

- Lubię, jak się dziewczyny śmieją z moich dowcipów. No i c było potem?

- Niby kiedy?

- Jak wróciłaś z Nowego Jorku. Dlaczego akurat do Mufreesboro?

- Bo ja wiem? To nasze Tennessee chyba coś w sobie ma... Co takiego, że przyciąga ludzi z powrotem, nawet z daleka... Czy j wiem? Wróciłam do domu i już.

- Co na to rodzinka? Staruszkowie, braciszkwowie, siostrzyczki.

- Tylko siostrzyczki, starsza Sandra, młodsza Shelly, ja jestem średnia, podobno najbardziej uparta. Tata zawsze powtarzał, że biorę cięgi od życia, bo niczego nie daję sobie wytłumaczy Siostry studiowały. Sandra jest lekarką, mieszka w Kalifornii. O piętnastu lat szczęśliwa mężatka, matka czwórki cudownych dzieciaków. Shelly skończyła prawo, mieszka w Knoxville, m troje udanych dzieci i fantastycznego męża, tego samego o dziewięciu lat. A ja co? Bez wykształcenia, bez męża, bez dzieci. Na dodatek sprzątaczką! A miałam zostać gwiazdą, cha, cha, cha... - wybuchnęła gorzkim, autoironicznym śmiechem.

- Przynajmniej miałaś odwagę próbować...

Nie spodziewała się po Frankensteinie takiego komentarza. Nikt nigdy nie ocenił jej wysiłków w ten sposób, bez politowania i kpiny, a przeciwnie - z odrobiną podziwu. Nikt ze znajomych, nikt z bliskich... Może nawet sama tak o sobie nigdy nie pomyślała?

- Co porabiałaś w Murfreesboro po powrocie? - zadał Steve kolejne pytanie.

- A co miałam robić? Wysłałam za męża. Za przystojnego synalka szefa miejscowej policji. Lekarz! Moi rodzice byli zachwyceni, chociaż Rosencransowie to żydzi. Jego rodzice też byli zachwyceni, chociaż McAfee'owie to baptyści. Sama byłam w siódmym niebie, nie powiem. Ale krótko. Szybko wróciłam na ziemię.

- Jakież problemy?

- Widzisz, on się ożenił z modelką, nie ze mną. Jak się połapał, że włosy mi się nie kręcą bez wałków, a usta nie błyszczą bez szminki, od razu zaczął kręcić nosem...

- I zachciało mu się rozwodu?

- Nawet nie. Zachciało mu się przerabiać mnie według tego obrazka, który sobie wymyślił, wiesz, według takiego wzoru z okładek magazynów ilustrowanych. Pozwalałam mu na to przez pięć długich lat. Dłużej nie wytrzymałam. Powiedziałam: stop! I to mnie się zachciało rozwodu! Miałam dość tego domu, tych obiadków, kolacyjek, przyjętek dla jego szanownych kolegów po fachu, robienia się na bóstwo, odchudzania się na okrągło... Lem, mój mąż, ciągle uważał, że jestem za gruba, głodziłam się, żeby mu dogodzić. A jak już za bardzo byłam wyposzczona, to opychałam się potajemnie, czym popadło, lodami, chlebem, czekoladą... Chciało mi się potem rzygać, dosłownie i w przenośni, rzygać na wszystko, czułam się tak podle...

- Podle to sobie poczynał ten twój... Jak mu tam?

- Lem. Doktor Lemuel C. Rosencrans, specjalista urolog.

- Ano właśnie! Okulista na pewno nie, podleczyłby sobie gały albo obstałował jakieś porządne binokle. Wyglądasz całkiem, całkiem, jak na taki stary rocznik. Facet był ślepy czy co?

- Człowieku, nie przesadzaj z komplementami!

- Nie przesadziłem! Chyba że z tym rocznikiem... - zreflektował się.

Rozbawiona jego bezpośredniością Summer wybuchnęła śmiechem. Też się roześmiała. Podał jej jedną ze zdobycznych słodkich bułeczek, drugą zaczął pogryzać sam, karmiąc równocześnie Muffy. Zapytał po chwili milczenia:

- Jak sobie poradziłaś po rozwodzie?

- Tak cię ciekawi mój życiorys? - Summer wykpiła się od odpowiedzi pytaniem.

- Nie ma telewizora, to chociaż taki serial... Wiesz, samo życie - zażartował.

- Oj, wiem! - westchnęła. - Dobrze, następny odcinek. Rozwód bez orzekania o winie, a rozwódka - czyli ja - bez domu i bez forsy. Tak to wyszło. Rodzice mieszkali już wtedy w Santee, ojciec chorował, mieli dość kłopotów. Siostry - każda na swoim gospodarstwie. Nie miałam się do kogo przytulić, nawet na tymczasem. Nie miałabym pewnie i co jeść, gdybym się natychmiast nie wzięła do jakiejś pracy. Zaczęłam robić to, co umiałam, w czym się wprawiłam przez pięć lat jako gospodyni domowa - sprzątać. W cudzych domach, sama, w pojedynkę... Z czasem mój mały biznes się rozkręcił, zostałam szefową firmy „Daisy Fresh - usługi porządkowe”, do dziś to jakoś ciągnę, angażuję ludzi do pracy... Można powiedzieć, że Daisy Fresh mnie utrzymuje.

- A więc sukces!

- Naprawdę tak myślisz?

- Jasne! Nie tak łatwo się pozbierać, kiedy człowiek nagle zostaje całkiem sam. A

może masz kogoś?

- Jest taki jeden. Spotykamy się od czasu do czasu. Jim Britt, dentysta.

- To poważna historia?

Summer zawahała się, ale w końcu odpowiedziała szczerze:

- Nie. Coś mi się zdaje, że nic z tego nie będzie. Jim to palant.

- I chwała Bogu!

- Czemu?

- Bo coś mi się zdaje, że nie byłoby ci najlepiej z następnym doktorkiem. Tacy faceci nie pasują do ciebie.

- Mhm... Może i racja - mruknęła Summer cicho, jakby sama do siebie, i pokiwała głową. - To teraz moja kolej na zadawanie pytań, zamieniamy się rolami! - zarządziła nie dopuszczającym sprzeciwu tonem. - Byłeś w college'u?

- Tak. Uniwersytet Stanowy w Kentucky, wydział prawa. Ale nie studiowałem od razu po maturze. Najpierw wstąpiłem do wojska. Piechota morska.

- Na ochotnika? - zdziwiła się Summer.

- Owszem.

- Dlaczego?

- Czy ja wiem? Nie chciałem czekać, aż mnie sami capną. Nie miałem cierpliwości. Wolałem mieć to z głowy.

- Raptus z ciebie... Byłeś w Wietnamie? - pytając o to, Summer mimowolnie zniżyła głos do szeptu. Uśmiechnął się z zadumą.

- Bóg uchronił. Jużeśmy byli gotowi do odlotu z bazy w Północnej Karolinie, kiedy zaczęło się wycofywanie oddziałów z tego piekła. Za nic w życiu nie byłem równie wdzięczny Najwyższemu, słowo daję!

Summer ze zrozumieniem pokiwała głową.

- Jasne. A jak rodzinka? - zmieniła temat. - Jesteś żonaty?

- Rozwiedziony.

- Od dawna?

- Od trzech lat. Wiesz, tamta sprawa... Wszystko mi się wtedy rozleciało, małżeństwo też. Żona ode mnie odeszła, zabrała córkę...

- Masz córkę?

- A czemu nie? Trzynaście lat. Ale widziałem ją dokładnie trzy razy, odkąd skończyła dziesięć. Nie chce mnie znać, obwinia mnie o wszystko. Mówi, że zrujnowałem jej życie, że inne dzieciaki dokuczają jej z mego powodu... - Głos Steve'a lekko się załamał.

- To przykre.

- Jak cholera! Dla niej, dla mnie, dla wszystkich. Tamta sprawa...

- To był powód rozwodu?

Steve zawahał się dłuższą chwilę, nim stwierdził:

- Raczej pretekst. Ja i Elaine, moja żona, jakoś nigdy nie pasowaliśmy do siebie.

Wiesz, ona mi ciągle powtarzała, że jej nie kocham. I chyba miała rację, w każdym razie teraz tak o tym myślę...

- Poznałeś ją w Północnej Karolinie?

- Nie. W Nashville. Wyszedłem akurat z wojska. Pobraliśmy się, tak że trzy pierwsze wspólne lata były znośne. Potem zaczęło się psuć. Zrobiła się piekielnie zazdrosna, ciosała mi kulki na głowie o każde słowo zamienione z inną kobietą. Zupełnie bez powodu, przysięgam. Byłem wobec Elaine w porządku, dopóki nie... No wiesz... - zawiesił znacząco głós.

- Jak ona miała na imię?

Nie udawał, że nie rozumie, o kogo jej chodzi, nie kluczył. Odpowiedział od razu:

- Deedee.

- Kochałeś ją? Zamyślił się głęboko.

- Mhm... To była dziwna sprawa, ze mną i z Deedee. Oszalałem na jej punkcie od pierwszego wejrzenia, byliśmy wtedy szczeniakami, nie umiałem sobie tego wybić z głowy przez dwadzieścia dwa lata. Nieźle, co? A jak już dostałem, czego chciałem, to wtedy... Bo ja wiem... To było chyba rozczarowanie. Nie byliśmy przeznaczeni dla siebie, tak myślę, ani ja dla niej, ani ona dla mnie. Przeznaczenia się nie oszuka, szkoda próbować, to się zawsze źle kończy. Ale kochałem Deedee, tak, kochałem...

Umilkł. Zaczął karmić psa. Summer nie pytała o nic więcej, zorientowała się, że zwierzenia sprawiają mu ból. Wymówiła się naturalną potrzebą i zostawiła go na chwilę samego. Kiedy wróciła, siedział w bezruchu przy ognisku, wpatrując się w płomienie i... popijając z puszki piwo. Pamiętała, co mówił o swoich problemach z alkoholem, przeraziła się, że mogą powrócić, właśnie z jej powodu, przez jej ciekawość, spojrzała na niego trochę z wyrzutem, trochę z zakłopotaniem.

Domyślił się, o co jej chodzi. Wysączył zawartość puszki do ostatniej kropelki i powiedział:

- Nie martw się! Jedną puszką się nie zaleję. Zwłaszcza że to woda! - dodał, puszczając perskie oko. - Nabrałem ze strumienia.

- Czysta woda zdrowia doda! - Summer żartem starała się pokryć zmieszanie i... przejęcie. - Jeśli była czysta, bo inaczej sraczka murowana.

- Cholera, nie pomyślałem! - Steve podchwycił jej krotchwilny ton.
- Przepadło. Musisz się z tym przespąć - skonkludowała i ziewnęła szeroko.
- I kto tu mówi o spaniu? - zakpił. - Bonzo, pora na dobranoc... Pomyślała: „Owszem, pora. Tylko na czym tu spać, skoro jedyny koc mam na sobie?”

ROZDZIAŁ 23

Milczała zakłopotana. Steve uśmiechnął się.

- Rozumiem, nie mamy piżamki!

Umilkł. Jak gdyby nigdy nic zaczął lokować w torbie resztki prowiantu przeznaczone na jutrzejsze śniadanie. Skończył. Potrzymał Summer jeszcze trochę w niepewności, nim powiedział:

- Zawiń się dobrze w ten koc. Ja się prześpię na ziemi, przy ognisku.

Włożył sportową kurtkę z kapturem, odziedziczoną po właścicielu chevroleta. Zapiął ją szczelnie. Mruknął:

- Ale poduszki ci nie oddam... Dobranoc.

Wyciągnął się na wznak w pobliżu ognia, bezpośrednio na twardej ziemi. Torbę wsunął sobie pod głowę. Skrzyżował ręce na piersi i przymknął oczy.

- Dobranoc - odpowiedziała Summer.

Zaimponował jej. Okazał się taki... rycerski. Zdecydował się spać na gołej ziemi, nie zważając na nocny chłód, żeby tylko oszczędzić jej skrepowania!

Okrecona mocno kocem Summer również ułożyła się do snu. Cmoknęła na Muffy. Zadowolony z obfitej kolacji pekińczyk z wielką ochotą wsunął się pod koc. Jak wszystkie pokojowe pieski, Muffy uwielbiała wylegiwanie się na posłaniach przeznaczonych dla państwa. Summer też było miło przytulić się do ciepłutkiego, kosmatego stworzonka. Usnęła.

Zbudził ją jakiś trzask. Otworzyła oczy, było ciemno, wciąż panowała noc. Ogień przygasł. Frankenstein spał spokojnie, Muffy również... Znów coś trzasnęło gdzieś w pobliżu. Summer pomyślała z przestraszaniem: „To pewnie jakieś zwierzę przedziera się przez las, łamie gałęzie... Czyżby to było duże zwierzę? Groźne zwierzę? Nie, bez przesady, Frankenstein twierdzi, że tu nie ma żadnych krwiożerczych drapieżników, Muffy też nic nie zwietrzyła, śpi jak przedtem. Wyczułaby niebezpieczeństwo, wygląda może jak maskotka, ale przecież to prawdziwy pies!” Summer uspokoiła się nieco. Przymknęła oczy. Zdrzemnęła się. Zbudził ją przerażający, ochrypły krzyk. Frankenstein klęczał przy dogasającym ognisku i wpatrywał się w jakiś punkt po drugiej stronie ognia, przesłonięty welonem dymu. Spytała przerażona:

- Na Boga! Co się stało?

- Tam popatrz, tam! - Wskazał jej to, na co sam patrzył. Spojrzała. Nic szczególnego nie dostrzegła. Kłęby dymu, ciemność, gałęzie drzew...

- Nic nie widzę, Steve, o co ci chodzi? Miałeś zły sen?

- Tam, zobacz, tam! Nie widzisz jej?

Jej? To znaczy kogo? Summer wpatrywała się w ciemność tak intensywnie, że aż oczy jej łzawiły, wciąż jednak niczego ani nikogo nie była w stanie dojrzeć. Wcale się w związku z tym mniej nie bała, przestach Frankensteina udzielał się jej w dwójnasób. „Jeżeli nawet on się boi - myślała rozgorączkowana - to musi być coś naprawdę strasznego!”

- Tam! Nie widzisz jej? - powtórzył zniecierpliwiony.

- Na litość boską, kogo?

- Deedee.

„Deedee... Kto to jest Deedee? - próbowała sobie przypomnieć. - Zdaje się, że... No tak, z pewnością ta kobieta, o której Frankenstein mówił mi przed zaśnięciem. Ta... samobójczyni!” Szepnęła:

- Deedee nie żyje, Steve.

- Przecież wiem! Ale zobacz, jest tam, Boże, ona tam jest, sama zobacz! - wykrzykiwał Frankenstein.

Głos załamywał mu się i wibrował ze zdenerwowania. „To tylko sen, nocny koszmar - pomyślała Summer z ulgą. - Nie trzeba go było wypytywać o tamtą sprawę, nie trzeba było wywoływać duchów przeszłości... Duchów? No nie, przecież żadnych duchów nie ma!”

- Spoko, Steve, coś ci się przyśniło... - uspokajając Frankensteina, Summer próbowała równocześnie uspokoić samą siebie.

- Diabła tam! Popatrz na psa!

Mrowie przeszło Summer po plecach. Zmartwiła z przerażenia Muffy, cała najeżona, z podkulonym ze strachu ogonem, stała obok ogniska i, powarkując ostrzegawczo, wpatrywała się w ten sam punkt co Steve. Ujrzała zjawę? Wyczuła ducha? Nonsens! Takie historie zdarzają się przecież tylko w kinie, w horrorach.

Summer przypomniała sobie „Pogromców duchów” i piosenkę z tego filmu. // *there's something strange in your neigh - borhood...* Serce zaczęło jej uderzać w przyśpieszonym tempie. Steve wciąż klęczał jak skamieniały, wpatrując się w ognisko, Muffy kuliła ogon pod siebie, strzygła uszami i powarkiwała dla dodania sobie odwagi. Tam... za zasłoną dymu... zarysował się nagle... jakiś kształt! Boże, co to? Wyłania się z ciemności, spośród drzew, widać wyraźnie, coś jasnego, ogromnego, unosi się w powietrze, opada, Muffy skomli, Frankenstein wrzeszczy. Boże, nie!!!

Trzy płowe jelenie wypadły z gęstwiny i zamaszystymi, płynnymi susami przemknęły obok ogniska. Spłoszone nie mniej niż Muffy, Steve i Summer. Przemknęły niczym zjawy i zniknęły w mroku. Uff, tylko jelenie! Nie niedźwiedzie, nie wilki, nie wilkołaki, nie upiory.

Na szczęście...

- Jezu Chryste, odeszła! - jęknął Frankenstein, kryjąc twarz w dłoniach.

Summer zniecierpliwiła się

- Odeszła... Oczywiście, że odeszła, przecież nie żyje, odeszła trzy lata temu, przyśniła ci się, Steve, to był tylko sen!

Frankenstein dźwignął się z klęczek, usiadł przy niej. Zrobiło jej się go żal. Z pozoru taki mocny facet, trochę nawet gruboskórny, a całkiem się rozkleił... Wrażliwość? W niektórych sprawach przynajmniej.

- Tylko sen! - westchnął. - Nic nie widziałaś?

Ujęła go za rękę.

- Tylko jelenie. - Boże!.

- Sen mara...

- Wiem. Ale zdawało mi się, że widzę... Tak wyraźnie... Myślałem, że zwariuję.

Wierzysz w duchy?

Summer przecząco pokręciła głową. Mruknęła:

- Steve, nie bądź dzieckiem...

- Racja. Ale dlaczego... Dlaczego któryś raz z rzędu...

- Widziałeś ją już wcześniej?

- Deedee? Tak...

- Jak spaliśmy? Krzyczałeś coś przez sen...

- Tak, wtedy.

- Przyśniło ci się, tak jak teraz.

- Może...

- Steve, spróbuj sobie uprzytomnić, jak to jest, skąd się to bierze, z czym się ten sen u ciebie wiąże...

- Wiem, jak to jest.

- To mi powiedz. Będzie ci lżej. - Nie.

- Co ci zależy! Nie namawiam cię, ale...

- Naprawdę chcesz wiedzieć? - Pewnie.

Spojrzał jej głęboko w oczy, chwycił ją za obydwie ręce. Wykrztusił:

- No to posłuchaj. Deedee się zjawia, kiedy ty mi się śnisz. Jak mi się śni, że ja z tobą, rozumiesz... że my razem... Mam wtedy, wiesz... robię się twardy...

- Co ty pieprzysz, Frankenstein?

- No właśnie, pieprzę...

- Tego już za wiele!
- Sama chciałaś...
- Znalazł się donżuan! Nie tak prędko, człowieku!
- No, przecież sama chciałaś... wiedzieć.

Spojrzał jej w oczy jeszcze raz. Przeszedł ją dreszcz. Może z zimna, była przecież naga pod kocem? Spróbowała wyrwać dłonie z jego rąk. Trzymał ją mocno, nie rozluźnił uścisku. Jakby wiedział, jakby czytał z jej spojrzenia, z twarzy, z serca, że ona też... że o nim myśli, mhm, nieobojętnie... W każdym razie już nie jako o bezwzględnym porywaczu, brutalnym ordynusie, który groził jej skalpelem, niebezpiecznym szaleńcu, potworze!

- Wiesz, Frankenstein... - zaczęła niepewnie. Przerwał jej:
- Może lepiej Steve?
- Wiesz, Steve, ja cię nawet... może trochę... lubię...

Nic więcej nie zdołała powiedzieć, bo zamknął jej usta pocałunkiem. Objął go rękoma za szyję, zapominając o kocu. Ten pocałunek był zupełnie inny niż poprzedni. Był namiętny, gorący i całkowicie... prawdziwy!

ROZDZIAŁ 24

Ten pocałunek był iskrą, która roznieciła prawdziwy pożar zmysłów. Summer bez jakichkolwiek zahamowań poddała się pieścizom Steve'a i bez wahania zaczęła je odwzajemniać. Po chwili leżeli już oboje na rozrzuconym niedbale kocu, ona na wznak, on pochylony nad nią, wsparty na łokciach. Nic nie chroniło jej nagości... Nie dbała o to! Wiedziała, czuła tylko jedno: że nigdy dotąd w życiu nie przenikała jej taka burzliwa namiętność.

On całował jej usta, szyję, piersi. Ona przyciągała go do siebie, błędząc dłońmi po jego ramionach, karku, plecach... Przeszkadzało jej ubranie, które miał na sobie, chciała czuć opuszkami palców zar jego ciała, napięcie mięśni, gładkość skóry. Domyślił się tego, jednym gwałtownym ruchem ściągnął przez głowę wiatrówkę i gimnastyczny podkoszulek, odsłaniając muskularne ramiona i owłosiony tors. Pragnął jej pieścizot, pragnął ją pieścić, pragnął jej, ona pragnęła jego! Pomogła mu pozbyć się reszty odzieży i odsłonić niezbity - nabrzmiały i twardy - dowód męskiego pożądania, który zręcznymi i delikatnymi kobiecymi rękoma szybko doprowadziła do stanu bliskiego eksplozji. Steve jęknął:

- Rosencrans, maści mi się w głowie...

Teraz ona zamknęła mu usta pocałunkiem, zapominając nawet nadmienić, że nie nazywa się Rosencrans, tylko McAfee, a najlepiej - Summer. Przyciągnęła go do siebie, on nakrył ją własnym ciałem i dłonią zaczął szukać miejsca, w którym pod osłoną niewielkiej gęstwinki włosów kryło się najważniejsze znamię jej kobiecości, już wilgotne i przyzwalająco rozchylone.

Znalazł je szybko, wyczuł najwrażliwszy punki. Zaczął pieścić to niewielkie zgrubienie, doprowadzając Summer do utraty tchu, do utraty zmysłów, do granic szoku, na krawędź przepaści! Była gotowa runąć w tę przepaść, w bezdenną otchłań pożądania i ekstazy, zatracić się, zapamiętać w odwiecznym miłosnym akcie zespolenia kobiety i mężczyzny, w akcie zespolenia i spełnienia. Była gotowa już na wszystko, kiedy on, dotąd tak namiętny i żarliwy, nagle ostygł, zlodowaciał, skamieniał...

- Steve, proszę cię - jęknęła. - Steve!

Nie reagował na jej prośby. Nie odpowiadał na jej zew. Zupełnie jakby nie mógł, a może nie chciał, spełnić jej - a jeszcze przed chwilą również swojego - pragnienia.

Uniosła przymknięte dotąd powieki, spojrzała na niego. Błądził półprzytomnym wzrokiem gdzieś w oddali. Był obojętny, daleki, wręcz nieobecny. Klęczał bez ruchu

między jej rozrzuconymi szeroko kolanami, fizycznie znajdował się tuż obok, wciąż gotów do wejścia w nią i podjęcia rytmicznego tańca dwóch ciał, ale duchowo... Duchowo zdawał się przebywać całkiem gdzie indziej, znajdować w jakimś zupełnie innym wymiarze, w innym świecie, gdzieś tam, gdzie...

- Ona tam jest! - wychrypiał zdławionym głosem.

- Steve, proszę cię, Steve! Kto, gdzie?

- Tam gdzie przedtem, w tym samym miejscu, ukazała mi się tam, pokiwała mi ręką...

- Steve, proszę cię, chodź do mnie, zapomnij o tym, Steve!

Pocałunkami i pieszczotami próbowała skłonić go do powrotu na drogę, na którą nie tak dawno razem weszli, którą podążali w stronę szczytu, i na której z jego winy tuż przed szczytem stanęli. Bezskutecznie. Wybuchnął:

- Na litość boską, chodźmy stąd, uciekajmy, to jakieś przekłete miejsce, nawiedzone, ubieraj się, byle szybko, idziemy, musimy iść!

Ubrał się w spodnie i koszulkę, cisnął jej swoją kurtkę.

- Włóż na razie to - burknął - tamte mokre ciuchy wysuszymy w drodze, chodźmy, zbierajmy się stąd jak najprędzej!

- Zwariowałaś? - krzyknęła.

Usiadła i okryła się kurtką. Czuła się urażona i upokorzona. Była wściekła.

- Zwariowałem czy nie, mniejsza z tym... Wstawaj, daj mi ten koc. Idziemy!

Summer wstała i zapięła na suwak kurtkę, sięgająca jej na szczęście niemal do kolan. Steve rzucił jej jeszcze mokre trampki i skarpety, resztę rzeczy, łącznie z kocem, pozbił i wpakował do torby. Zdusił dogasające ognisko. Zaczął przynaglać.

- No, pośpiesz się, idziemy!

- Zastanów się, Frankenstein... - próbowała przemówić mu do rozsądku.

Okazał się nieprzejednany. Mruknął tylko:

- Chodź! Biorę psa.

I nie oglądając się na Summer ruszył w drogę. Nie miała wyjścia. Musiała iść za nim, bez względu na to, że miała go szczerze dosyć i aż kipiała ze złości.

Świt zastał ich w marszu. Słońce wzeszło. Znad ziemi uniosła się poranna mgła. Kiedy powietrze ogrzało się już trochę, wilgotny opar zniknął. Kropelki rosy rozbłysnęły wśród liści i traw. Leśne wiewiórki zaczęły myśleć o śniadaniu. Summer również.

Niestety, Steve najwyraźniej nie myślał o niczym innym, tylko o tym, by iść jak najszybciej i odejść jak najdalej od miejsca, w którym nocą ukazała mu się Deedee. Summer domyślała się, co nim powoduje i była przez to jeszcze bardziej rozdrażniona. Przeszłość

okazała się dla Frankensteina ważniejsza od chwili obecnej. Tamta, zmarła kobieta, ważniejsza od niej, żywej i realnej, rozplamionej namiętnością! Tamta, upiór przeszłości, widmo, duch...

Summer znów przypomniała sobie „Pogromców duchów”. Zaczęła nucić piosenkę z tego filmu o duchach i ich pogromcach. Specjalnie. Na złość Steve'owi. Żeby mu dopiec i żeby z niego zakpić.

- *If there's something strange in your neighborhood...*

Maszerowała i śpiewała. Coraz głośniej i wyraźniej, skoro on udawał, że nie słyszy.

- *If there's something strange in your neighborhood who yagonna cali?*

Nie reagował. Jak to szło dalej?

- *Il there's something strange in your neighborhood who yagonna cali? Ghostbusters!*

Zatrzymał się w pół kroku. Stała również. Umilkła. Spojrzał na nią z ukosa i zapytał:

- Nabijasz się ze mnie?

Zrobiła niewinną minkę i pokręciła głową.

- Ja? Coś ty! Tak sobie tylko śpiewam...

Ruszył naprzód, ona za nim. Po chwili znów zaczęła:

- *If theres something strange in your neighborhood...* Rzucił przez ramię, nie przerywając marszu:

- Mogłabyś skończyć z tą idiotyczną śpiewką?

- Jak chcesz, Steve - odpowiedziała fałszywie słodkim tonem. - Nie chciałam cię zdenerwować, tak jakoś przypomniała mi się ta piosenka. Z filmu. Ale wiesz, ja się nie boję duchów...

- Zamknij się, dobrze?

- Bo niby co? Nie zabronisz mi mówić. I nie zabronisz mi śpiewać, do licha! *If there's something strange...*

- Przestań, bo mnie coś trafi!

- ... *in your neighborhood...*

- Ostrzegam cię, Rosencrans!

- ...*who ya gonna call?*

- Dosyć, bo...

- *Ghostbusters!*

Summer z uporem dociągnęła frazę do końca. Wybuchnęła:

- I co ci tak przeszkadza w tej piosence? To nie był żaden duch, tylko jeleń,

Frankenstein. Tam, przy ognisku... Zwykły jeleni. Ten twój ukochany duch zrobił z ciebie jelenia i tyle!

- Rosencrans! - wykrzyknął Steve.

Zatrzymał się, zrobił w tył zwrot, ruszył w kierunku Sum - mer. Nie próbowała uciekać. Wykrzyzczała mu prosto w twarz:

- Nie boję się żadnych duchów! I nie boję się ciebie, człowieku! Chodź, uderz mnie, uduś, rozwal mi głowę tą pałą! Będę cię potem straszyć! Będę twoim złym duchem numer dwa!

If there 's something strange in your neighborhood who ya gonna cali? Ghost...

Tym razem fraza nie wybrzmiała do końca. Rozgorączkowany Frankenstein cisnął na ziemię żelazną łyżkę do opon i wypuścił spod pachy Muffy, dopadł Summer, chwycił ją jedną ręką za ramię, a drugą za włosy, przyciągnął do siebie i... zamknął jej usta pocałunkiem.

Wszystkiego chyba by się po nim spodziewała w takiej chwili, tylko nie tego!

- Steve... - jęknęła zaszokowana, kiedy oderwał na ułamek sekundy wargi od jej warg dla zaczerpnięcia oddechu.

- Cii... Rosencrans.

- Nie Rosencrans! Summer. Mam na imię Summer.

- Całuj mnie, moja wspaniała, moja cudna Summer!

- Całuj mnie, Steve, mój ty wspaniały, mój cudowny... potworze!

On objął ją ramionami, ona zarzuciła mu ręce na szyję. Zwarło się dwoje ust, przylgnęły do siebie dwa ciała. Realne, żywe, rozpalone pożądaniem i namiętnością. Tym razem duch Deedee nie pojawił się, żeby przeszkodzić ich zespoleniu. Duch zmarłej Deedee nie stanął pomiędzy Steve'em a Summer, dwojgiem żywych, pragnących siebie nawzajem do szaleństwa ludzi.

„Wygrałam! Zwyciężyłam!” - zdążyła jeszcze pomyśleć z triumfem Summer, nim zatraciła się w miłosnej grze. Duch Deedee nie pojawił się, żeby zaprzeczyć. Jakże miał się pojawić, skoro duchów nie ma? *Il there 's something strange in your neighborhood...* Nie, takie historie zdarzają się tylko w kinie.

ROZDZIAŁ 25

Poczuła dotyk jego rąk na swoich piersiach. Zadrżała całym ciałem, mocniej przywarła do Steve'a. Wpił się ustami w jej usta, w niepohamowanym pragnieniu poznania, skosztowania ich smaku, nasycenia się nimi. Rozpiął jej kurtkę. Chwila napięcia, moment odrętwienia... I znowu rozkoszny dreszcz! Mocna, gorąca, męska dłoń na nagiej piersi, wzbierająca błyskawicznie rozkosz. Zwieńczenie piersi twardnieje, on drażni delikatnie opuszkami palców czułe miejsce. Silniejsze bicie serca, przyspieszony, nierówny oddech... Już dwie cudowne dłonie na dwu cudownych piersiach, pieszczota coraz gwałtowniejsza, napięcie coraz większe, drzenie, westchnienie, spadanie!!! Tak, Summer miała wrażenie, że spada, że półprzytomna leci w jakąś otchłań, tak, leci, ale przecież jednak nie spada, raczej wznosi się w górę, coraz wyżej, odrywa się od ziemi... Gdy otworzyła przymknięte dotąd oczy, przekonała się, że istotnie nie opiera się już stopami o grunt, że kołysze się, unosi w powietrzu, nie, w ramionach Steve'a, przytulona do jego szerokiej piersi, w jego silnych, potężnych ramionach, maleńka, słaba i bezradna jak dziecko, nie, to nie tak, raczej po kobiecemu subtelna i zwiewna, cudownie lekka, po prostu uskrzydłona... Namiętność, to właśnie uskrzydla kobietę, a mężczyźnie dodaje sił, wiedziała, że jest silny, zdążyła się już o tym przekonać, ale żeby aż tak? Trzymał, niósł ją w ramionach bez najmniejszego wysiłku, półprzytomną z rozkoszy, omdlewającą z pożądania...

Nie wypuścił jej z rąk, nie zatrzymał się w biegu, póki nie znalazł bezpiecznego, romantycznego ustronia w cieniu wiązu, wyścielonego grubym kobiercem liści, osłoniętego girlandami pnączy, ozdobionego drobnym kwieciem mleczu i fiołków, i wonnymi kielichami kapryfolium. Tu ułożył ją na liściasto - kwietnym posłaniu i pochylił się nad nią, i położył się obok niej...

Pocałunek, połączenie ust. Długie, bez końca. Stuk pulsu w uszach, brak tchu, niemożność zebrania myśli, słodkie uczucie, słodka woń kapryfolium i fiołków, słodkie, obezwładniające napięcie. I gwałtowna, niepohamowana żądza, cudowny bezwstyd ciała, słów, gestów...

Steve uśmiecha się, odrywając na moment usta od jej ust, szeptem:

- Jestem twardy jak skała, jak kołek... Ona droczy się z nim:
- A co ja mogę na to poradzić, jak myślisz?
- Rób, co chcesz.
- Nie, to ty rób, co ja zechcę.

- A co mam robić? - To.

Ujmuje jego rękę i kładzie ją sobie na piersi. Przyciska do swojej piersi tę gorącą, silną męską dłoń. I czuje, jak pod jego dotykiem pierś wzbiera, jak twardnieje na zwieńczeniu...

- Ach, Steve!

Chciałaby poczuć dotyk jego dłoni... na całym ciele, chciałaby poczuć jego dłonie wszędzie, chciałaby jego poczuć wszędzie, na sobie, w sobie! Niechby to trwało bez końca, niechby szaleńcza miłosna ekstaza nie miała kresu, niechby ona musiała prosić, żeby przestał, nieprzytomna, bezsilna, wyczerpana...

Mrowienie między udami, pragnienie, żeby on jej tam dotknął!

- Steve, ach, Steve...

Leciutki uśmiech błąka się wokół jego ust, figlarny ognek połyskuje w oczach, do licha, jak ten drań może się tak śmiać, kiedy ona już od zmysłów odchodzi z pragnienia!

- Co jeszcze mam robić?

- To!

Kurczowo chwyta jego rękę, z determinacją prowadzi ją w dół, wzdłuż swego ciała, poprzez gładką i delikatną płaszczyznę brzucha, wgłębienie pępka, jedwabście wełnistą wypukłość wzgórka Wenerytam, pomiędzy rozchylone uda. On spazmatycznie wciąga powietrze, ona również zaczyna dławić się własnym oddechem...

- Steve, ach, Steve, dotykaj tutaj, tak, bardzo tego chcę!

I ciebie też chcę dotknąć...

Jej głos to już zduszony szept, lekko chrapliwy z pożądania. Jej ciało to instrument rozkoszy, jej dłoń... Jej dłoń zdecydowanie, bez wahania sięga tam, gdzie nabrzmiała, stercząca męskość rozpięta tkaninę jego szortów. Rozpina je, obnaża to, co kryją.

Steve przez chwilę zaciska zęby, a potem jęczy:

- Tak, tu, kochanie, tu...

Jego ręka pięści wewnętrzną stronę jej uda, zakreśla krąg, masuje je od tyłu, idzie w górę, druga robi to samo, obydwie zaciskają się na pośladkach, koniuszki palców wsuwają się delikatnie w szczelinę pomiędzy nimi, pobudzają to miejsce... Summer wstrzymuje oddech, gdy Steve kaskadą pocałunków przebiega wzdłuż jej ciała, od warg, poprzez szyję, piersi, brzuch, łono, znowu ku wargom, ale tym innym, niewieścim, ukrytym w gęstwinie włosów, zamkniętym w osłonie ud, uśpionym w cienistym zakątku.

Uśpionym? Zamkniętym? Ukrytym? Czasami tak, ale przecież nie teraz! Teraz są całkiem inne, odsłonięte, wilgotne, nabrzmiałe... Steve drażni je ustami, zębami i językiem,

Summer wzdycha i jęczy, czuje rozkosz gwałtowną aż do bólu, bolesną rozkosz, rozkoszny ból, krzyczy, rozchyła uda coraz szerzej i szerzej, by mógł ją pieścić, głębiej, mocniej i głębiej, i dłużej, coraz dłużej, bardzo długo, bez końca...

- Tak, Steve, tak, jeszcze, jeszcze, jeszcze, już nie, Steve, przestań, nie...

Rozkosz staje się tak intensywna, że aż trudno ją znieść, to chyba jakiś szczyt, jakaś granica, poza którą pieszczota przemienia się w torturę, jej ręce próbują go powstrzymać, szarpią za włosy, on chwytą je i przygważdża do kwietnego podłoża, pieści mocniej i głębiej znamię jej kobiecości, tortura znów przechodzi w słodycz, słodycz w trans, trans w ekstatyczny krzyk i spazmatyczny dreszcz... Już!!!

Już jest spokojniej, normalniej, przytomniej, już można zobaczyć coś wokół, już można zobaczyć jego... Smoliste oczy błyszczą mu pożądaniem, wąskie, zaciśnięte mocno usta rozchylają się i wypowiadają dwa słowa:

- Teraz inaczej.

To brzmi jak zaklęcie. Po chwili on jest nagi, jest już zupełnie nagi, sam się rozbiera, a ona tylko patrzy, syci wzrok widokiem jego ciała, muskulaturą, obfitym męskim owłosieniem, prężnością członka... Myślała, że już nic, że wyczerpała się do końca, że po tym, co przeżyła, nie będzie siły zdolnej ją pobudzić, tymczasem już zaczyna znów wilgotnieć, znów czuje pulsowanie w miejscu, dla którego przed chwilą pragnęła tylko spokoju, znów wzbierają jej sutki, gdy on je ssie i całuje, znów. rozchylają jej się uda, gdy on je rozpycha kolanami...

- Ach, Steve!

On już w nią wchodzi! Nie, cofa się, pozwolił jej tylko przez krótką chwilę poczuć twardą męskość we wnętrzu ciała, i zaraz się cofnął, i zaczął z nią igrać... Drażnił ją tak dopóty, dopóki nie zaczęła drzeć pełnią rozbudzonego na nowo pożądania. I wzdychać. I jęczeć. I krzyczeć!

Wtedy dopiero w nią wszedł. Powoli. Z wycuciem. Bez pośpiechu. Wypełnił ją całą, do końca, aż do najdalszej i najskrytszej głębi. To było twarde jak skała i gorące jak ogień. I usta miał gorące, gdy ją całował, i ramiona gorące, gdy obejmował ją żelaznym uściskiem i przez długie sekundy - minuty? godziny? lata? - rytmicznie parł i odstępował, atak i odwrót, atak i odwrót, atak, odwrót, atak... Eksplozja!!!

Krzyknęli razem, oboje, równocześnie. Razem, złączeni w jedność, w tym samym czasie wzbili się na szczyt. Razem, we dwoje... Na szczyt ekstazy.

ROZDZIAŁ 26

Dusza, jak ciało, żyje tym, czym się żywi

Josiah Gilbert Holland

Deedee stopniowo zaczęła nabierać wprawy w pełnieniu powinności ducha. Z początku miała wrażenie, że tajemnicze siły, za sprawą których ponownie przekroczyła granicę dwóch wymiarów, dwóch światów, miotają nią z miejsca na miejsce bez ładu i składu, bez celu i bez sensu. Z czasem dostrzegła jednak w swojej z pozoru chaotycznej ziemskiej peregrynacji pewną logikę, pewien plan.

Salonik w domu rodzinnym, po raz wtóry. Matka i ciotka Dot, zamieszkujące razem, odkąd owdowiały obydwie w dwunastomiesięcznym odstępie czasu przed ośmioma laty, próbują nawiązać z nią kontakt drogą seansu spirytystycznego, za pomocą przyrządu zwanego z francuska *ouija*. Nie wychodzi im, zaczynają się sprzeczać.

- Zapewniam cię, Dot, że ją widziałam! - mówi matka. - Tak wyraźnie jak teraz widzę ciebie.

- Ależ Sue, czy ja mówię, że nie? Mówię tylko, że *ouija jej* nie chwyta.

- Nie chwyta, dobre sobie! Może nie wiesz, co się z *ouija* robi?

- Ja nie wiem? Też coś... Używam *ouija* od lat, ten praktyczny instrument doradził mi w swoim czasie wyjść za Jetta, chociaż myślałam wtedy raczej o Carlu Owensie...

- No wiesz, dla mnie z tego wcale nie wynika, że to praktyczny instrument!

Fakt, ciotka Dot przez wszystkie lata małżeństwa prowadziła z wujkiem Jettem nieustanne boje... Ale instrument, tabliczka z literami alfabetu i ruchomym wskaźnikiem jest praktyczny, jeżeli tylko opanuje go ten właściwy duch.

Deedee zaczyna powoli ruszać wskazówką:

- J-E-S-T - M-I - D-O-B-R-Z-E...

- Spójrz, Sue!

- Nie żartuj ze mnie, Dot, chcesz udowodnić, że masz rację, i sama to popychasz...

- Sue, jak możesz! Nie żartuje się w takich sprawach. Wielkie nieba!

-...K-O-C-H-A-M - C-I-Ę - M-A-M-O.

- To ona! O Boże, to Deedee, moje dziecko, Deedee, moja Deedee!

- Sue, uspokój się. Spytaj ją, co się zdarzy dziś wieczorem, spytaj, szybko!

„Mamo, ciociu, nie szarpacie *ouija*, nic już nie powiem, nie warto pytać, już lecę dalej, już mnie coś gna w inne miejsce!” - chciałaby powiedzieć Deedee, ale nie może. Nie ma

czasu, Zresztą duchy nie bywają zbyt gadatliwe i nie zdradzają wszystkich swoich tajemnic...

Nashville, studio nagrań. Ładna blondynka, na oko dwadzieścia pięć lat, w czerwonym mini, ze słuchawkami na uszach, śpiewa do mikrofonu.

„Głosik też mini” - ocenia na swój użytek Deedee. Dwaj mężczyźni z kabiny mikserskiej, oddzielonej dźwiękoszczelną szybą, są podobnego zdania.

- Trzeba z niej wyciągnąć większy wolumen, Bill.

- Z niej się nie da, to już wszystko, na co ją stać. Góra. Ale to nic, jak się zmiksuje, będzie w porządku, na tym sprzęcie można sporo zrobić.

- I co z tego! Przecież ta mała ma w sobotę wieczorem śpiewać na żywo w „Nashville Live”. Krytyka ją rozniesie, zgnoi, jak jej trochę nie pomożemy.

- Stary, cudów nie ma... To niezła laska, ale wiesz tak samo dobrze jak ja, że bez ślubu z Hankiem Ketchumem nawet nie weszłaby do studia.

- Cholera, coś z niczego, ze ślubnego kobierca niczym z trampoliny - hop! I kariera. Że też mnie coś takiego nie przyszło nigdy do głowy...

- Jakby nawet, nie wiem, stary, czy szef „Jalapeno Records” miałby chęć oświadczyć się akurat tobie, woli blondynki, rozumiesz...

Obydwaj faceci wybuchnęli tłumionym śmiechem. Bill pierwszy się opanował.

- No, morda w kubeł, stary - mruknął do swego współtowarzysza. - Ketchum nam płaci za robotę, nie za wygłupy, uwaga, muszę jej coś powiedzieć...

Wcisnął jakiś guzik, pochylił się nad mikrofonem.

- Hallie, złotko, spróbuj przetrzymać te góry trochę dłużej, dobrze? I spróbuj wcisnąć w to ciut więcej emocji. Pomyśl sobie... No, że na przykład pies ci uciekł czy coś takiego, rozumiesz...

- Rozumiem, Bill. Spróbuję.

- Dzięki, złotko. Możemy jeszcze raz?

- Jasne.

Bill wyłączył swój mikrofon. Mruknął zrezygnowany:

- W „Nashville Live” trzeba będzie ją podeprzeć chórkami, i to sporym...

Dał znak muzykom i wokalistce. Zaczęła śpiewać:

*Hurtin' I'm hurtin' so
bad over you. What did
you think I would do?*

Bill aż podskoczył w fotelu. Zerknął z niedowierzaniem na dziewczynę za szybą i na swego współtowarzysza w kabinie, tamten odwzajemnił mu się równie zdziwionym

spojrzeniem.

- Bill, musisz odszczekać co mówiłeś! - stwierdził. - Ta mała całkiem nieźle sadi...

- Cholera, nie wierzę własnym uszom, duch jakiś w nią wstąpił czy co?

„Masz rację, Bill, właśnie tak. Wprawny duch umie manipulować strunami głosowymi miernej piosenkarki nie mniej zręcznie niż wskazówką *ouija*” - mogłaby powiedzieć Deede... gdyby mogła. I gdyby nie musiała uważać na tekst z telepromptera, i starać się, żeby blond wokalistka w mini była chociaż raz w życiu naprawdę uduchowiona.

Just He down and die -

that's not me Still, I am

in agony.

Koniec, już trzeba pędzić dalej, ech, pośpiewałoby się jeszcze, zostało trochę dłużej w studio, ale cóż... Siła wyższa.

- Hallie, złotko, byłaś super, po prostu super! - entuzjasmował się Bill.

- Dzięki, Bill. Nigdy w życiu tak mi się nie śpiewało, zupełnie jakby...

Deede nie dane już było usłyszeć dalszych słów jasnowłosej Hallie Ketchum. Musiała pędzić dalej przez przestworza, na niewielki, schludny cmentarzyk...

Jakiś grób, ktoś przy nim stoi z pochyloną głową. Jasnowłosa mężczyzna? To przecież jej mąż, Mitch! Napis na grobie głosi:

TAYLOR

DEIDRA ANN CUMMINS

URODZONA 21 STYCZNIA 1958

ZMARŁA 15 MAJA 1992 MIŁOŚĆ JEST NIEŚMIERTELNA

To jej grób. Ciekawe, czy Mitch sam wymyślił tę inskrypcję? Pewnie tak, matce nie przyszłoby do głowy coś tak poetycznego...

Kochała Mitcha do szaleństwa, od trzynastego roku życia aż do końca... Prawie do końca. Przeżyli razem trochę wzlotów i upadków, no, może trochę wzlotów i sporo upadków, ale wciąż go kochała. A teraz? Teraz już wie, że miłość nie jest nieśmiertelna, to znaczy może jest, ale nie zawsze...

Mitch spojrzał w górę. Czy ją spostrzegł? Chyba nie, w każdym razie nie krzyknął, nie zemdłał, nawet nie poblądł...

Więc stoi nad jej grobem, nieutulony w żalu wdowiec? Przystojny jak zawsze: jasna czupryna, bystre, niebieskie oczy, regularne, klasyczne rysy twarzy, lekka opalenizna, zgrabna sylwetka... Zawsze był smukły, przy jego wzroście, dobre metr osiemdziesiąt pięć, to nietrudne. Ale chyba jeszcze zeszczupłał?

Nie była pewna. Mitch ukląkł przy jej grobie. Co on tam robi? Grzebie w ziemi saperką? Dziwnie ten grób wygląda, jakby był świeżo usypany, a przecież już minęło tyle czasu, tak właśnie się oblicza tam u nich, tyle czasu... Zaraz, ile właściwie? Trzy lata.

Chciała zapytać: „I co ty znowu kombinujesz, Mitch?” Nie zdążyła. Zdołała mu się tylko pokazać na ułamek sekundy. Osłupiał, zrobił wielkie oczy... Nie widziała, co było potem, pognęła dalej.

Goście, słoneczne popołudnie. Jakaś grota czy coś... Dwoje ludzi śpi na Ziemi pod kocem. Przecież to Steve! Ciągłe pobijany, jak wtedy, w hangarze. Kto też go tak urządził? Jest z kobietą, śpią sobie przytuleni... O, Steve otwiera oczy! Patrzy na nią. Chyba ją widzi, musi coś widzieć, no to trzeba mu pomachać, trzeba się przywitać!

Steve nie odwzajemnia powitalnego gestu, tylko coś wrzeszczy, zrywa się... Nawet ducha można przestraszyć i Deedee przestaje nagle panować nad swą eteryczną materią, znika, dematerializuje się. Długo nie może się pozbierać. Gdy jej się w końcu to udaje, Steve znów leży spokojnie. Ta kobieta śpi przytulona do niego. On nie śpi, czuwa. Cudaczny mały piesek czuwa również, patrzy na nią. Ciekawe, skąd się tam wziął?

I skąd się wzięła ta kobieta u boku Steve'a Calhouna? Dziwne, to przecież nie jest Elaine, jego żona! Przecież Steve nigdy żadnych skoków w bok nie robił, jeśli nie liczyć tej afery z nią. Ale to co innego, za nią szalał od szczeniaka, a i tak się musiała niezle wysilić, żeby go uwieść. Poczciwy Steve, wpłatała go w tę historię tylko po to, żeby dać Mitchowi nauczkę, żeby odplacić temu babiarzowi pięknym za nadobne, żeby się na nim raz wreszcie odegrać! Po czternastu latach małżeństwa. I po czternastu latach nieustannego prawie cudzołóstwa z jego strony!

Steve, poczciwy Steve... Przyjaźnił się z Mitchem, przystojnym pasożytem, przez dobre trzydzieści lat! Przez nią zapomniał o przyjaźni, o przyjacielskiej lojalności, i o małżeńskiej również, na jakieś trzy tygodnie, potem się ocknął, zaczął przeżywać męki, gnębiło go poczucie winy, cierpiał, miał wyrzuty sumienia. Że zdradził żonę, że zdradził przyjaciela... Steve, wieczny idealista, niepoprawnie szlachetny w tych nieszlachetnych czasach, po prostu - wyrośnięty skaut! Cóż, chyba właśnie za to go lubiła... Ale kochać to go nie kochała, chyba że jak brata. Jako mężczyznę nie! Lubiała go i tyle. A jednak go skrzywdziła...

Tak, właśnie tak, skrzywdziła Steve'a Calhouna! Świadomość tego spadła na nią nagle, niby objawienie. Nareszcie zrozumiała, dlaczego wciąż musi błąkać się po tym ziemskim pa dole, czemu ciągle zamknięte są przed nią bramy niebios!

Deedee pojęła nagle, w jednej chwili, że nie pójdzie do nieba, dopóki nie naprawi

wyrządzonej Steve'owi krzywdy. Póki nie zmaże, nie odpokutuje własnej winy!

ROZDZIAŁ 27

Leżał zwrócony twarzą ku ziemi wśród traw, kwiatów i liści. I bał się, po prostu się bał spojrzeć w górę. Kiedy poprzednio się na to odważył, widział Deedee. Gestem kciuka wzniesionego w górę dawała mu znak: „Jest w porządku, Steve, tak trzymać!”

Dawała mu znak? Deedee? To niemożliwe, Deedee nie żyje, a on ma przywidzenia, rozum mu się mąci! Cholera, jeśli już musi oszaleć, to przynajmniej nie od razu, trochę później. Żeby tak jeszcze mógł załatwić te dwie sprawy, rozgryźć te dwie zagadki, odpowiedzieć sobie na te dwa pytania! Po pierwsze, dlaczego tamci faceci chcą go zabić? I po drugie, w jaki sposób Deedee dostała się do jego biura tej fatalnej nocy?

Cholera, powinien się pośpieszyć, kto wie, jak długo... A tymczasem zabawia się z tą kobietą, Rosencrans. Znaczy z Summer. Poszli na całość, było nawet całkiem... przyjemnie, nie da się ukryć! Żeby tak jeszcze nie Deedee... znaczy to przywidzenie... I żeby to nie było takie ryzykowne, dać się ponieść emocjom, namiętnościom, w ich podbramkowej sytuacji, tracić czujność choćby na chwilę... Cholera, koniec z seksem! Póki nie będą całkowicie bezpieczni i póki Deedee...

Gównu! Jaka Deedee, nie ma Deedee, wystarczy spojrzeć w górę, przestać wreszcie tchórzyc i spojrzeć! Powinien spojrzeć, musi spojrzeć, na własne oczy się przekonać, że nie ma duchów, nie ma Deedee, że jeszcze nie zwariował, że wciąż jest zdrowy na umyśle, musi spojrzeć i już. Raz, dwa, trzy...

No, dzięki Bogu!

Nie ma Deedee, jest tylko Summer. Leży naga tuż obok niego. Chyba śpi. Naga i piękna... Poszli na całość, było nieźle, wygląda na zadowoloną, nawet uśmiecha się przez sen. Ma długie rzęsy, zawsze mu się podobały dziewczyny z takimi długimi rzęsami... Cholera, na razie miał być koniec z seksem! Względy bezpieczeństwa, przecież uciekają i są ściгани, ważne, żeby uszli z życiem, nie można się na razie roznamiętniać, rozpraszać. Ale ta Summer wygląda tak uroczo... Naga, piękna, lepiej nie patrzeć, żeby się nie podniecać. Jak tu nie patrzeć? Ma takie piękne włosy, piękną cerę, piękne usta... Takie kuszące. Kusicielka! Pasuje do niej to słowo. Piękne piersi, piękne biodra, piękne uda. Kuszące, kobiece kształty, zaokrąglenia i wypukłości, tam gdzie trzeba, obfite kształty, znaczy w sam raz, kobieta musi mieć coś niecoś tu i ówdzie, owszem, nie za dużo, ale i nie za mało... Małe powinny być stopy. I Summer ma małe stopy, zawsze mu się podobały dziewczyny z takimi małymi stopami! Summer jest naga, naga i piękna, taka piękna, że od samego patrzenia to

człowiekowi twardnieje... Nie, koniec z seksem, dosyć tych fanaberii, trzeba uważać! Przecież odpowiada nie tylko za siebie, za nią też, i nawet za tego psiaka.

- Cholera!

Mruknąwszy pod nosem przekleństwo wstał, wciągnął slipki i szorty.

- Steve?

Summer zbudziła się, zaczęła przecierać oczy, naga i piękna... Odwrócił wzrok, rzucił oschle:

- Ubierz się!

- Steve, coś nie tak? - spytała lekko speszona.

Cholera, ten jej głos, zmysłowy kontralt, zawsze mu się podobały dziewczyny z takim głosem, od samego słuchania człowiek się w portkach nie mieści, że też te szorty muszą być takie ciasne...

- Nic się nie stało - rzucił lakonicznie. - Musimy iść i tyle!

- No tak... - westchnęła -...więc ty też!

- Co ja też?

- Też jesteś jednym z tych facetów.

- Niby z jakich?

- Aż takich: „Rach, ciach i cześć, pocałuj mnie gdzieś” Znasz ten wierszyk?

Nie odezwał się ani słowem. Patrzył w milczeniu, jak Summer wstaje, odwraca się... Cholera, co za tyłek, prawdziwe dzieło sztuki, majstersztyk, zawsze mu się podobały dziewczyny z takimi foremnymi tyłkami! Naga, piękna, włosy długie do połowy pleców, zawsze mu się podobały dziewczyny z takimi długimi włosami, naga i taka piękna, że niech się schowa Lady Godiva!

- Summer, gdzie idziesz?

- Tam gdzie rzuciłeś torbę, po moje rzeczy. Nie chcę już tamtej kurtki, wolę T - shirt i szorty, są mokre, ale szybko wyschną, robi się ciepło. Nie czujesz?

Ba! Kto ma czuć, jak nie on? Diabła tam ciepło - gorąco, po prostu ogień! Cholera, człowiek jest taki rozpalony i taki napalony, że może w każdej chwili wybuchnąć!

Torba leżała nie opodal, pies warował przy niej cierpliwie. Summer wyjęła swoje rzeczy, to znaczy te, które nosiła i w których przewróciła się w strumieniu, lekko jeszcze wilgotne, ale już właściwie całkiem dobrze przesuszone przy ognisku. Wciągnęła spodenki gimnastyczne, za długie na nią i za szerokie, czarną koszulkę z nadrukiem i napisem RUDE DOG RULES, także raczej obszerną, nie przylegającą do ciała.

Podszedł do niej trochę bliżej i mruknął:

- Robi się ciepło, fakt. Może nam być nawet za gorąco. A tamtego wierszyka nie znam. Daj mi torbę.

- Trzymaj!

Cisnęła mu ją z rozmachem, niemal na oślep, jakby nie miała ochoty patrzeć w jego stronę. Przykucnęła, żeby zawiązać buty. Rzuciła ironicznym tonem:

- Zaplanowałeś sobie tę atrakcję na czas pobytu w tym twoim i twojego papy górskim obozowisku, prawda? I jesteś wściekły, że nie wszystko poszło zgodnie z planem? Nie cierpisz, kiedy cię coś zaskoczy...

Chciał jej powiedzieć: „Kobieto, nie cierpię, kiedy muszę ukrywać to, co czuję!”
Chciał jej jakoś wyjaśnić całą sytuację, wyjaśnić ten swój pośpiech i tę troskę, konieczną troskę o to, żeby się już więcej na razie nie zapomnieć, nie dać się ponieść zmysłom... Nie zdążył. Summer wstała, wzięła Muffy pod pachę i ruszyła zamaszystym krokiem przed siebie. Szybko spakował kurtkę, zarzucił torbę na ramię, nacisnął czapkę na głowę, złapał łyżkę od opon i powędrował za nią. Czuł się dziwnie. Zwykle sam chadzał w życiu na przedzie, nie był przyzwyczajony podążać za kimś innym...

Zwłaszcza za kimś, kto tak zarzuca tyłkiem i kołysze biodrami, że jak się patrzy, to aż krok trudno zrobić!

ROZDZIAŁ 28

Wyprzedził ją bez słowa. Pomaszerował przodem. Nie była w stanie się z nim ścigać, zresztą to przecież on znał trasę i cel wędrówki. Szli w szybkim, forsownym tempie długo, do późnego popołudnia. Przebłykujące pomiędzy drzew słońce było już dość nisko, kiedy wreszcie zatrzymali się na odpoczynek i posiłek. Frankenstein wybrał miejsce nad strumieniem, do picia mieli więc wodę. Do jedzenia - tylko krakersy i trochę pieczywa, dla siebie i dla Muffy. Resztę prowiantu Steve przeznaczył na kolację.

Usiedli, on na ziemi, oparty plecami o pień drzewa, ona na nagrzanym kamieniu. Skwar panował okropny, dobre trzydzieści stopni. Summer czuła się po prostu fatalnie. Była zmęczona i spocona, a do tego bezlitośnie pogryziona przez leśne owady. Miała wrażenie, że wszystko ją albo boli, albo swędzi. O swoim wyglądzie wołała nie myśleć. O tym, co zaszło pomiędzy nią a Steve'em - również. Dlatego aż się zatrzęsa ze złości, kiedy zapytał:

Rosencrans, o co właściwie chodziło z tym wierszykiem?

O nic - odburknęła opryskliwie.

Nie chciała wdawać się w żadne wyjaśnienia, w żadne osobiste rozmowy. Nie czuła się w obowiązku tłumaczyć czegokolwiek mężczyźnie, który tak jednoznacznie dał jej swoim zachowaniem do zrozumienia, że jest mu całkowicie obojętna, pod każdym względem, no, może z wyjątkiem jednego, że nic go nie obchodzą jej odczucia, oczekiwania, nadzieje, że liczy się dla niego wyłącznie jako obiekt zaspokojenia seksualnego.

Poczuł chętkę, więc sobie ulżył i tyle. Rozładował energię, miał jej widać w nadmiarze... Zabrakło mu delikatności i wyobraźni, żeby chociaż poudawać zaangażowanie, zabrakło mu dobrych manier, żeby powiedzieć „dziękuję”. Starczyło za to uporu do dalszych indagacji:

- Jak to szło? „Rach, ciach i cześć, pocałuj mnie...

- Skończ już, dobrze? Daj mi wreszcie spokój z tym idiotycznym wierszykiem.

- Ale...

- Nie ma żadnego „ale”. Skończ z tym i już. Zapomnij.

Spojrzał na nią spod daszka baseballówki, pokręcił powoli głową i wypowiedział dobitnie jedno słowo:

- Nigdy.

Rozsierdziła się na dobre. Wybuchnęła:

- Wiesz co, Frankenstein? Najgorzej, jak się ktoś tępo uprze, wiesz, przyczepi się jak

rzep do psiego ogona. Proszę bardzo, chciałeś wiedzieć, to posłuchaj: „Rach, ciach i cześć, pocałuj mnie gdzieś!” Mój eks - małżonek był właśnie taki. Starczało mu czułości mniej więcej na pięć minut. Robił w pośpiechu, na chybcika, to, czego mu się akurat zachciało, a zaraz potem wyskakiwał z łóżka, brał prysznic i przestawał się mną interesować. Owszem, zdarzało się to nawet dosyć często, jak się wykręcałam, to się dąsał, że niby on do mnie z namiętnościami, a ja... Beznadziejny facet, wyobrażał sobie, że jak jego przypiliło, to ja powinnam na zawołanie, z radosnym uśmiechem na ustach! Wiesz co, Frankenstein? On sobie wtedy zawsze najpierw lubił strzelić piwko, kiedy indziej nie pił, tylko jak go nachodziła chęćka na amory, wypijał piwo i dopiero... Nie cierpię tego smrodu przez niego, obrzydził mi piwo dokumentnie, wiesz?

- Nie piję piwa - odezwał się stłumionym głosem Steve. - I nie jestem twoim eks - mężem.

Summer parsknęła śmiechem, po trosze gorzkim, a po trosze szyderczym.

- Nie jesteś, wiem, udało mi się zauważyć różnicę. Różnicę czasu, niczego więcej, nie wyobrażaj sobie... Pokazałeś, co umiesz, ale nie popisałeś się, wiesz? Nawet jeśli nie było rach, ciach, reszta się zgadza z tym wierszykiem. Pocałuj mnie gdzieś, rozumiesz? Ty też możesz mnie pocałować, Frankenstein. Zdecydowałam się zadzwonić do Sammy'ego. Jak tylko będę miała skąd. Niech przyjedzie i zabierze mnie do domu. A ty idź sobie do diabła czy gdzie tam chcesz! Nic mnie to nie obchodzi.

Steve znów spojrzał przenikliwie spod daszka baseballówki. Znowu powoli pokręcił głową. Oświadczył z przekonaniem:

- Nie zrobisz tego. Nie zadzwonisz do starego Rosencransa.

- Owszem, zadzwonię. Jest w końcu moim teściem, byłym teściem - poprawiła się. - I aktualnym szefem policji w Murfreesboro!

- Nie możesz tego zrobić.

- Owszem, mogę! Zabronisz mi?

- Jak zadzwonisz, drogo za to zapłacisz, Rosencrans...

- A jak nie zadzwonię i zostanę z tobą, to niby nie? Steve wzruszył ramionami.

- Sama zrób sobie bilans.

- Sama zrobię, co będę uważała za stosowne, rozumiesz? Nie musisz mnie pouczać.

- Ktoś musi.

- Obejdzie się. Odkąd się obywam bez pouczeń, żyje mi się całkiem nieźle. Sama się troszczę o siebie i jakoś sobie radzę. Nie mam problemów! Chyba że przez ciebie...

Steve uśmiechnął się szeroko i pokiwał głową.

- A więc to tak! Rozumiem... Jesteś na mnie wściekła o ten dzisiejszy ranek, prawda?

- Nieprawda! Ranek nie ma tu nic do rzeczy, Frankenstein. Kłopoty z twojego powodu mam przecież już od tamtej nocy w trupiarni!

- Prawda, prawda... - upierał się. - Jesteś wściekła, że... że uprawialiśmy seks.

Summer wzięła głęboki oddech. Zaczęła mówić powoli i dobitnie, akcentując każdą sylabę:

- Frankenstein, nie jestem wściekła...

- Jesteś, jesteś....

- Daj mi skończyć: nie jestem na ciebie wściekła o seks!

Niespodziewanie zgodził się.

- A tak, to prawda... Nie na mnie. Jesteś na siebie wściekła. Że ci zasmakowało ze mną.

Wzburzona Summer zerwała się na równe nogi. Zaczęła wykrzykiwać:

- No, tego to już za wiele! Bezczelny typek z ciebie, Frankenstein! Zarozumialec! Bufon! Skąd możesz być, u licha, taki pewny, że byłam z ciebie zadowolona?

- Takie rzeczy się po prostu wie. W końcu nie pierwszy raz byłem z kobietą, Rosencrans - odpowiedział ze stoickim spokojem.

- Ciekawe! A jak tam z tobą? Też ci zasmakowało.

- Jasne. Byłaś fantastyczna!

Spojrzał jej impertynencko prosto w oczy, wypowiadając te słowa uznania, po czym zapytał z lekką ironicznym tonem:

- Czy właśnie to chciałaś ode mnie usłyszeć? Czy teraz już ci lepiej?

- W ogóle nie chcę cię słuchać, Frankenstein, skończmy tę „beznadziejną rozmowę” - mruknęła naburmuszona Summer. - A lepiej już mi nie będzie, póki się ode mnie na dobre nie odczepisz!

Steve nachmurzył się.

- Proszę bardzo! Mniej więcej pięć mil stąd jest pole biwakowe. Taki nieduży górski kemping. Możemy się tam rozdzielić. Ty zostaniesz i zadzwonisz do starego Roseya, a ja pójdę w swoją stronę, żeby nie wpaść w łapy tym jego fachmanom od mokrej roboty. Jak chcesz, twoje ryzyko. Wcale nie jestem pewien, czy wyjdiesz z tego cało, ale to twoja sprawa. Idziemy?

- Owszem. Z miłą chęcią.

Nim pokonali pięć mil i dotarli w okolice pola biwakowego, o którym mówił Steve, Summer po trosze zaczęła żałować podjętej w gniewie decyzji. Przypomniały jej się Linda

Miller i Betty Kern... Z drugiej strony próbowała sobie tłumaczyć, że Sammy Rosencrans to poważny i porządny facet, który na dodatek zawsze ją lubił i traktował prawie jak córkę, więc nie mógłby jej zrobić żadnej krzywdy. Bez względu na ewentualne rozgrywki z Frankensteinem. Bez względu na rozgrywki z tym koszmarnym facetem, którego miała już szczerze dość i któremu za nic nie chciała się przyznać do ogarniających ją wątpliwości i obaw! Cóż, gdyby się wycofała w ostatniej chwili ze swego pomysłu z telefonem do byłego teścia, przyznałaby Frankensteinowi rację. Nie była w stanie tego zrobić. Uważała, że to dla niej zbyt poniżające.

Doszli do miejsca, w którym wyraźnie już było słychać odgłosy kempingowej wrzawy. Steve zatrzymał się.

- Musisz iść tam! - wskazał Summer kierunek dalszej drogi. - Zostało parę kroków. To miejsce nazywa się Hiawatha Village. Z recepcji na pewno pozwolą ci zadzwonić, to taki pawilonik, w samym środku. No co, nie pękasz?

- Ani myślę! - odpowiedziała buńczucznie. - Stary Sammy to solidna firma. I uczciwa. Mogę na niego liczyć.

- Żebyś się tylko nie przeliczyła...

- Nie ma strachu. Cześć!

Z dumnie uniesionym czołem ruszyła naprzód. Zrobiła parę kroków.

- Rosencrans! - zawołał za nią Steve.

Zatrzymała się. Spojrzała za siebie przez ramię. Steve podszedł bliżej. Zapytał z troską w głosie:

- Jesteś pewna, że chcesz tam iść? Zawahała się przez moment, zanim kiwnęła głową i potwierdziła: - Tak.

- No to uważaj!

- Dam sobie radę. Cześć!

- Cześć, Rosencrans! Wiesz, co ci powiem? Masz świetne cycki i cudowny tyłek. Jakbyśmy się jeszcze kiedyś spotkali, piszę się na powtórkę tego samego co rano. No wiesz, rach, ciach...

Nim Summer zdążyła się oburzyć, czy w ogóle zareagować w jakikolwiek sposób na tę oczywistą prowokację, Steve obrócił się na pięcie i szybko odszedł, znikając za drzewami. Została sama z Muffy. Na skraju pola biwakowego Hiawatha Village... A może na skraju przepaści?

Poczuła się dziwnie. Prawdę mówiąc, miała ochotę się rozplakać. Zacisnęła zęby. Bez przesady! Miałaby płakać za Steve'em Calhounem? Za facetem, który wpakował ją w całą tę

paskudną kabałę? Miałyby płakać za nim, w chwili kiedy właśnie ma szansę się z tej kabały wyplątać? Niedoczekanie!

Chwyliła Muffy na ręce i zdecydowanym krokiem ruszyła przed siebie. Po chwili wyszła z gąszczy na otwartą, zagospodarowaną przestrzeń. Samochody kempingowe, przyczepy, namioty, bungalowy. Placyk zabaw dla dzieci z huśtawkami, zjeżdżalniami i drabinkami. Zajęci własnymi sprawami, trochę znużeni urlopowicze...

Nikt nie zwracał na Summer uwagi.

- Przepraszam, którędy dojdę do recepcji? - spytała jakąś kobietę, siedzącą przed namiotem na turystycznym składanym foteliku.

Tamta spojrzała na nią podejrzliwie, po czym wskazała palcem kierunek i powiedziała:

- Prosto tędy.

- Dziękuję.

- Ale, ale, kochana! Oni tutaj z pieskami nie przyjmują...

Summer wzruszyła ramionami. Idąc dalej, ciągle nie mogła opędzić się od myśli, że popełnia błąd. Ciągle nie mogła przekonać do końca siebie samej, że wystarczy jeden telefon do Sammy'ego i natychmiast skończą się wszystkie kłopoty! Szła powoli, ociągając się i popatrując podejrzliwie na wszystkie strony. Czemu tamta kobieta tak dziwnie na nią patrzyła?

Zauważyła niewielki pawilonik oznakowany tabliczką: TOALETY. Dwoje drzwi: TOALETA DAMSKA, TOALETA MĘSKA. Hura! Ciepła woda! Prysznic! Normalna ubikacja! Możliwość odświeżenia się i doprowadzenia do porządku! Postanowiła skorzystać z dobrodziejstw cywilizacji oferowanych biwakowiczom na górskim kempingu: najpierw się załatwić i wykąpać, a dopiero potem poszukać recepcji i telefonu. Nie straszyć ludzi powierzchownością kocmołucha. Tamta kobieta pewnie nie mogła się nadziwić, że można być takim brudasem!

Weszła do środka. Skromna turystyczna łazienka z białymi ścianami, podłogą z niebieskich kafelków, pękniętym lustrem nad umywalką i szeregiem kabin prysznicowych z zasłonami z folii wydała jej się wnętrzem co najmniej tak wspaniałym jak komnaty pałacu Buckingham.

Postawiła pekińczyka na podłodze. Muffy zaczęła węszyć, przezornie nie oddalając się od swojej opiekunki. Summer skierowała się do ubikacji - prawdziwy papier toaletowy! - Muffy pobiegła za nią. Summer przeszła pod prysznic - Muffy również.

- Zostań tam, bo zmokniesz!

Wypchnęła psiaka z kabiny. Rozejrzała się. Co za szczęście! Ktoś zostawił nie tylko mydło i ręcznik, ale na dodatek całą kosmetyczkę z przyborami toaletowymi. Prawdziwy cud! Manna z nieba! Szampon, pomadka, tusz, cień do powiek, róż, puder. Cały zestaw do makijażu, tani i tandetny, ale zawsze... Pędzelek, grzebień. Lakier do włosów. A na dokładkę zapalniczka. Któraś z turystek musiała zapomnieć... „Ale co tam, znalezione, nie kradzione! - pomyślała Summer. - Mogę spokojnie się tym posłużyć”.

Pora była taka, że nikt akurat nie korzystał z łazienki: na popołudniową kąpiel zbyt późno, na wieczorną zbyt wcześnie. Summer pozwoliła sobie na długą, co najmniej półgodzinną ablucję. Co za rozkosz! Jakie odprężenie! Jaka ulga! Kiedy wreszcie wyszła z kabiny, już ubrana, żeby uczesać się przed lustrem i zrobić sobie makijaż, zauważyła, że psiak kuli ogon pod siebie, strzyże uszami i powarkuje.

- Cicho, Muffy, cicho, lepiej, żeby cię nikt nie usłyszał - mruknęła Summer, przypomniawszy sobie ostrzeżenie tamtej kobiety sprzed namiotu, że kemping nie przyjmuje psów.

Stała przed lustrem. Odrobina makijażu. Fryzura. Trochę lakieru, żeby włosy się lepiej trzymały... I nagle Muffy zaszczekała ostrzegawczo! Nim Summer zdążyła ją uciszyć, uchyliły się drzwi, znajdujące się z tyłu i widoczne w lustrze. Stał w nich... Charlie, jeden z trzech typów, którzy grasowali nocą w jej domu w Murfreesboro! Ten z karabinem.

ROZDZIAŁ 29

Poznała go od razu, był nawet ubrany tak samo jak wtedy. Tylko bronie nie miał. Uśmiechnął się drwiąco, odsłaniając żółtawe zęby. Muffy warknęła. Summer poczuła, że uginają jej się nogi, trzęsą ręce i żołądek podchodzi do gardła.

- Pamiętasz mnie? - spytał Charlie.

Nie odpowiedziała mu. Nie odwróciła się nawet twarzą w jego stronę. Rozważała gorączkowo, co powinna zrobić, jak się zachować...

- Na pewno pamiętasz! - mruknął Charlie i zaśmiał się chrypliwie. - Gadaj, gdzie jest Calhoun?

Milczała nadal. On zlustrował dokładnie pomieszczenie i zorientowawszy się, że jest sama, z nonszalancją ruszył w jej stronę. Miał w ręku nóż sprężynowy.

- N...nie w...wiem... - wyjąkała Summer, mając wrażenie, że ze strachu za chwilę albo się rozpłacze, albo... zwymiotuje.

- No proszę, nie wiesz! - mruknął ironicznym tonem Charlie.

- Naprawdę nie wiem! Rozdzieliliśmy się... Niedawno... Jestem tu sama!

Charlie znów zarechotał.

- Mylisz się, ślicznotko! Jesteś ze mną. I zaraz mi grzecznie powiesz, gdzie się podziewa nasz wspólny przyjaciel Calhoun.

A jak nie zaraz, to troszkę później, nic nie szkodzi, cała przyjemność po mojej stronie, bo po twojej to chyba raczej nie...

Podchodził wolnym krokiem coraz bliżej. Przerażona Summer nadal obserwowała go w lustrze. Uśmiechnął się krzywo, puścił perskie oko.

- Cała przyjemność po mojej stronie... - powtórzył, kładąc sękatą łapę na ramieniu Summer. - Psiakrew!

Odskoczył nagle o pół kroku i wierzgnął wściekle. Muffy zaskowyczała boleśnie.

- Psiakrew, paskuda naszczała mi na nogę! - wymamrotał sam do siebie Charlie, po czym warknął wściekle, zwracając się do Summer:

- No to się zabawimy, ślicznotko! Zaraz oberwiesz tak samo jak ten twój kundel!

Nóż w ręku zbira, jego cyniczny wzrok i wykrzywiona złością twarz. Bezradność, strach... I oto nagłe olśnienie, i gwałtowny przyptyw straceńczej odwagi! Lakier, zapalniczka, strumień pachnącej mgiełki skierowany prosto w twarz napastnika, iskra, jęzor ognia, ryk bólu, swąd spalonej skóry i włosów... Charlie upuścił nóż, w obronnym odruchu przesłaniając

rękoma oczy! Zataczając się i jęcząc, uskoczył do tyłu! Summer nie spodziewała się po swoim zaimprovizowanym miotaczu ognia aż takiej skuteczności i siły rażenia. Złapała obolałą Muffy i rzuciła się do ucieczki w stronę drzwi. Charlie ruszył za nią, po trosze po omacku, jakby płomień uszkodził mu wzrok, ale już z nożem w garści.

- Ty suko! - wrzeszczał. - Zabiję cię, wypruję ci wszystkie flaki za to, co mi zrobiłaś...

Wyglądał strasznie. Całkowicie zwęglone rzęsy i brwi, twarz poparzona tak mocno, że błyskawicznie oblażająca ze skóry, miejscami czarna, a miejscami czerwieniejąca żywym mięsem... Summer dopadła klamki, szarpnęła, otworzyła. Nie zdołała wypaść na zewnątrz! W otwartych drzwiach zderzyła się z mężczyzną, z muskularnym facetem, który chwycił ją za ramiona i wypchnął z łazienki tak silnie, że runęła jak długa na zwirowaną ścieżkę. Pomyślała z rezygnacją: „To już koniec, mają mnie, dwóm nie dam rady!” Ale dźwigając się z ziemi spostrzegła kątem oka, że ten drugi facet, w baseballówce na głowie, wali Charlie'ego masywną żelazną łyżką do opon prosto w łeb, między oczy.

- Frankenstein!!!

Charlie padł tam, gdzie stał, niczym podcięte drzewo. Steve pochylił się nad nim i mruknął:

- Należało ci się, draniu...

- Steve, to ty? - krzyknęła zaszokowana Summer.

- We własnej osobie. Cieszysz się ze spotkania?

- Steve, jak nigdy w życiu!

Przygarnął ją mocno do siebie i spytał z troską:

- Wszystko w porządku, Summer?

- Tak, Steve - odpowiedziała i przytuliła się do jego szerokiej piersi.

Zerknął na Charlie'ego, zaciekawiał się:

- A jego kto tak urządził? - No... ja...

- Ty? Na litość boską, jak to zrobiłaś?

- Lakierem... do włosów. Prysnęłam lakierem i... podpaliłam, znalazłam zapalniczkę...

Lakier był w sprayu, to działa jak miotacz ognia, widziałam taki numer na jednym filmie, „F/X2”...

- „F/X2”?

- Tak, taki tytuł.

- Że też akurat przyszło ci to do głowy!

- Steve, byłam jak w transie. Jakby coś mnie natchnęło! Sama nie wiem, no, jakby mną ktoś pokierował, jakaś siła...

Frankenstein pokręcił z podziwem głową.

- Tak czy inaczej, ten drań oberwał za swoje...

- I za Muffy! Kopnął ją. - Summer schyliła się, żeby wziąć na ręce psiaka, który unosząc w górę obolałą łapkę przykuśtykał do jej stóp.

Steve popatrzył na Charlie'ego, który wydawał jakieś nieartykułowane dźwięki i próbował się dźwignąć do pozycji siedzącej. Mruknął:

- Leż, jak ci dobrze!

Zdzielił zbira jeszcze raz łyżką przez łeb. Zamierzył się znowu...

- Przestań! Zabijesz go! - krzyknęła Summer.

- Myślisz, że on by się zawahał wykończyć ciebie albo mnie? Ale niech tam, nawet chyba bym nie mógł tak z zimną krwią... Wystarczy mu, jest unieszkodliwiony przez ten twój miotacz ognia, i to pewnie nawet na dłużej. Niech jeszcze spojrzę dla pewności...

Pochylił się nad Charlie'em. W tej samej chwili zza narożnika pawilonu łazienkowego wyłoniły się dwie kobiety, młodsza i szczuplejsza w dzinsach i wzorzystej bluzce, starsza i tęższa w bermudach i różowym podkoszulku.

- Na pewno tutaj zostawiłam tę... - tłumaczyła właśnie ta pierwsza tej drugiej.

Na widok Steve'a z łyżką do opon w ręku, Summer z Muffy i leżącego na ziemi Charlie'ego przerwała jednak swoją wypowiedź w pół zdania i chwyciła współtowarzyszkę za rękę. Obie stanęły jak wryte, trwały przez kilka sekund nieruchomo, po czym niby na komendę rzuciły się do ucieczki w tę samą stronę, z której nadeszły.

- Też musimy się zmywać! - krzyknął Steve. - Szybciej!

Nim dobiegli do skraju kempingu, rozległo się wycie syreny. Summer zerknęła za siebie. Granatowy lincoln Continental, tym razem z policyjnym kogutem na dachu, toczył się w ich kierunku żwirowaną alejką biegnącą w poprzek pola biwakowego. Poznała ten wóz.

- To oni! - zawołała do Steve'a. - Gonia nas!

Też zerknął przez ramię. Wziął Muffy, pociągnął Summer za rękę. Mruknął:

- Szybciej! Musimy się zmywać!

Wpadli w gęstwinę. Przedzierając się przez krzaki i forsując zwalone pnie, dotarli do ścieżki, która prowadziła prosto w górę. Ruszyli nią biegiem. Summer nie pomyślałaby nawet, że potrafi tak pędzić, ale strach najwidoczniej dodał jej skrzydeł. Biegła dotrzymując kroku Steve'owi, póki oboje nie znaleźli się na wierzchołku wzniesienia i nie padli równocześnie na ziemię z braku tchu. Leżeli i sapali przez dłuższą chwilę. Muffy również, w odruchu solidarności.

Wzniesienie okazało się skalistym urwiskiem. Wychyliwszy się poza jego skraj,

Summer ujrzała w dole jak na dłoni cały kemping. A na kempingu co najmniej pół tuzina policyjnych samochodów! Zdziwiła się:

- Przecież nawet nie zdążyłam zadzwonić do Sammy'ego!
- Nie musiałaś. Popatrz na to.

Steve wyjął z kieszeni złożony kilkakrotnie kawałek zadrukowanego papieru. Kiedy go rozprostował, Summer zorientowała się, że jest to pierwsza strona miejscowej porannej gazety. Widniały na niej trzy fotografie; Steve'a, jej i Muffy. Nagłówek artykułu głosił wielkimi literami: CALHOUN, JEGO DZIEWCZYNA I PIES POSZUKIWANI W ZWIĄZKU Z PODWÓJNYM MORDERSTWEM. Z treści wynikało, że są poszukiwani w związku ze śmiercią Lindy Miller i Betty Kern, Steve jako sprawca, zidentyfikowany dzięki odciskom palców, Summer jako jego współniczka, ewentualnie - jako porwana i zmuszona do uległości ofiara. Policja apelowała do wszystkich, którzy znalazłyby miejsce ich pobytu, o natychmiastowe udzielenie informacji. W dyskretny sposób, żeby nie spłoszyć „uzbrojonej i wyjątkowo niebezpiecznej pary podejrzanych”...

- Gdzie to znalazłeś? - Summer była równie zaciekawiona, co oszołomiona.
- W recepcji. Doszedłem do wniosku, że wpadłaś na kiepski pomysł z tym telefonem i postanowiłem cię powstrzymać. Recepcjonista miał tę gazetę...
- Boże! Chyba go nie...
- Nie! - uciął Steve lakonicznie. - Mówiłem ci, nie mógłbym z zimną krwią! Zastosowałem lekką narkozę, z zaskoczenia, on nawet mnie nie widział, nikogo innego tam nie było, nie mam pojęcia, kto mógł ich zawiadomić...
- Spytałam jakąś kobietę o drogę do recepcji. Tak jakoś dziwnie na mnie patrzyła. Może też miała tę gazetę?

Steve pokiwał głową.

- Pewnie tak. Mogła rozpoznać albo ciebie, albo Muffy, albo was obie. Dziewczynę i psa. Dwie niebezpieczne przestępczynie, poszukiwane w związku z podwójnym morderstwem.

ROZDZIAŁ 30

Rozmawiając obserwowali z góry sytuację na kempingu. Obok policyjnych samochodów pojawiła się w pewnym momencie furgonetka, wysiadł z niej mężczyzna w cywilnym ubraniu, otworzył tylne drzwi, wspiął się do środka i po chwili wyprowadził na smyczach trzy duże psy. Jeden z policjantów podetknął im do powąchania jakieś zawiniątko. Summer zatrwożyła się:

- O Boże! To pewnie mój ręcznik. Znalazłam w umywalni ręcznik, wytarłam się nim po kąpieli! Steve, myślisz, że one mogą złapać ślad?

- Myślę, że tak...

Psy pokręciły się tu i tam po kempingu, i niebawem zgodnie ruszyły z głośnym ujadaniem w tę samą stronę, w kierunku lasu.

- I co my teraz zrobimy, masz jakiś pomysł? Steve skinął głową.

- Mam. Trzeba się stąd zmywać. I to migiem!

Ruszyli pędem w dół zbocza. Summer miała wrażenie, że nadążając za Stevem, który trzymał ją za rękę, nie tyle biegnie, ile leci, unosi się w powietrzu, prawie bez dotykania stopami gruntu. Ten lot, ten pęd przyprawiał ją o zawrót głowy. Choć może nie tylko on. Być może również strach. I na dodatek głód...

Sforsowali nieduży strumyk. Niedługo potem osiągnęli brzeg pokaźniejszego potoku. Steve wciągnął za sobą Summer do lodowatej wody. Pośliznęła się na jednym z omszałych kamieni wyściełających dno i uderzyła się boleśnie w kolano. Jęknęła:

- Czy musimy uciekać przez wodę?

- Tak - odparł Steve. - Nad wodą psy zgubią ślad. Mam nadzieję... Pokaż kolano.

Zerknął na stłuczenie i mruknął:

- Na szczęście to nic wielkiego. Do wesela się zagoi. No, jazda, jazda, biegniemy...

Pociągnął Summer za sobą. Parli naprzód korytem strumienia niczym wytyczonym szlakiem, on pewnie i zręcznie, ona potykając się i klnąc pod nosem niemal przy każdym stąpieniu. Po jakimś czasie wyszli na brzeg.

- Tylko na chwilę - rzucił Steve. - Złapiemy oddech i pędzimy dalej.

- A właściwie dokąd? Do twojego obozowiska?

Pokręcił przecząco głową.

- Już nie. Mój plan diabli wzięli, jeżeli policja zacznie penetrować okolicę, znajdzie tamto miejsce raz dwa. Trzeba zastosować jakąś nową kombinację.

- Już ją obmyśliłeś?

Uśmiechnął się.

- Jestem w trakcie. No, dalej, jazda, komu w drogę, temu czas...

Biegli przez górski las, na szczęście stale w dół, aż do późnego popołudnia, ciągle na wschód, bo przebiegające spośród gałęzi słońce stale mieli z tyłu. Biegli najpierw korytem strumienia, a potem wąską, ledwie widoczną ścieżką wzdłuż brzegu.

Kiedy ścieżka nieco się rozszerzyła, a słońce, barwiąc się szkarłatnie i pomarańczowo, opadło nisko ponad łańcuch szczytów, ni stąd, ni zowąd z naprzeciwka, zza niewielkiego wzniesienia, wyskoczył prosto na nich... potężny crossowy motocykl. Wyskoczył, inaczej nie dałoby się nazwać akrobatycznego manewru, jaki wykonał kierujący okazałą maszyną mężczyzna w dżinsach i skórzanej kurtce!

Steve zatrzymał się, Summer również.

- Co zrobimy? - zapytała z lękiem.

Uspokoił ją.

- Zaczniemy działać według nowego planu. Nic się nie bój.

Motocyklista podjechał do nich, przyhamował, wyłączył silnik.

Zsiadł, ustawił maszynę na podpórce, zdjął kask, podszedł do Steve'a, klepnął go w ramię, pogłaskał Muffy po kudłatym łebku...

Znajomy? Przyjaciel? Skąd się tu wziął, u licha? Niebiosa im go zesłały na pomoc? Toż to zbyt piękne, żeby mogło być prawdziwe!

- To Renfro, Summer - Steve z uśmiechem przedstawił jej przybysza. - To właśnie Summer, Renfro.

Motocyklista skinął głową. Był mniej więcej w wieku Steve'a, równy mu wzrostem, tylko trochę smuklejszy. Miał śniadą cerę, smoliste, proste włosy i nieprzeniknioną twarz Indianina.

- Witaj, Summer - powiedział. - Mam dla ciebie kask.

Wskazał na żółty kask, przytroczony do bagażnika. Steve'owi podał własne nakrycie głowy. Spojrzał na Muffy i zaproponował:

- Zostawcie mi psa.

Steve pokręcił głową.

- Nie ma mowy. Poznaliby tego cudaka, bracie, mogłoby ci to nie wyjść na zdrowie.

- Już ja bym umiał go jakoś schować - stwierdził Renfro, zdejmując z bagażnika kask dla Summer i umieszczając tam torbę Steve'a.

- Lepiej nie. Dość już dla nas zrobiłeś. Wielkie dzięki, bracie!

- Trzeba sobie pomagać w biedzie - rzekł sentencjonalnie Renfro, prezentując w uśmiechu białe zęby. - Ludzka rzecz.

Steve pokiwał głową.

- Tak czy inaczej, wielkie dzięki... Tylko jak ty wrócisz do domu?

Renfro wzruszył lekceważąco ramionami.

- Jakoś wrócę. Najpierw piechotą, dalej okazją albo autobusem. Albo zadzwonię do ojca. Dam sobie radę.

- A jak się natkniesz na tych, co nas tropią? - zafrasował się Steve.

- No, chyba jeszcze wolno chodzić po lesie, policja powinna o tym wiedzieć. A jakby psy nie wiedziały, złożę skargę...

Renfro roześmiał się. Steve i Summer również. Oboje włożyli kaski.

- Byłbym zapomniał. - Renfro sięgnął do kieszeni dzinsów i wyciągnął kilka zmiętych banknotów. - Czterdzieści dolców, tyle, ile miałem.

- Dzięki, bracie! - Steve wziął pieniądze i również wcisnął je w kieszeń. - Uważaj na siebie.

- Wy też.

Steve uruchomił motocykl, podjechał powoli do Summer.

- Wsiadaj - rzucił, wskazując jej ruchem głowy tylne siodło.

- A co z Muffy?

- Musisz ją trzymać. Najlepiej pod koszulą, żeby nie rzucała się w oczy.

Summer wzięła psiaka na ręce, wepchnęła go sobie pod T - shirt. Z trudem wgramoliła się na wysoko umieszczone, niezbyt wygodne, wąskie siodło. Na szczęście zaopatrzone w metalowe oparcie, bo inaczej trudno byłoby utrzymać na nim równowagę.

- Wyglądacie jak młoda amerykańska rodzinka – stwierdził z szerokim uśmiechem Renfro. - Tata, mama, maleństwo w drodze - wskazał na wypchniętą przez skulonego pekińczyka koszulkę Summer. - 1 yamaha! Powinni was wziąć do reklamy.

- Trzymaj się, bracie! - pożegnał przyjaciela Steve.

Ruszyli ostro, z donośnym rykiem silnika. Renfro pomachał im ręką. Zaczęła się iście szaleńcza jazda. To znaczy szaleńcza dla Summer, bowiem w mniemaniu Steve'a chyba całkiem zwyczajna...

Prowadził yamahę z prawdziwie kawaleryjską fantazją. Nie przejmował się nierównościami terenu, sterczącymi korzeniami drzew, zakrętami, stromiznami, pryskającymi spod kół kamieniami. Wyciskał z maszyny, ile tylko mógł, manewrując ostro, po ryzykancku, i napominając tylko Summer od czasu do czasu:

- Trzymaj się mocno!

Trzymała się go, owszem, wręcz kurczowo, ale tylko jedną ręką. Drugą przyciskała do siebie Muffy. Wciąż miała wrażenie, że albo sama spadnie z siodła, albo upuści psiaka. Steve szarżował, a ona mogła tylko modlić się w duchu, żeby nie przecenił własnych możliwości i nie popełnił jakiegoś fatalnego błędu.

Kiedy rozpędzony motocykl podskoczył w którymś momencie w górę niczym narowisty koń, odrywając się kołami od podłoża, nie wytrzymała i wrzasnęła:

- Steve, pozabijasz nas! Odkrzyknął:

- Nic się nie bój! Taka jazda to fajna zabawa. „Zabawa! - pomyślała zrezygnowana. - Może dla ciebie, ale na pewno nie dla mnie! Ładna zabawa! Skoro mężczyźni są jak dzieci, powinno im się dawać do rąk tylko bezpieczne zabawki, bo inaczej...”

Na szczęście zjechali w końcu z wyboistych górskich drózek i bezdroży. Znaleźli się na szosie, zaczęli się piąć nią w górę. Ruch był umiarkowany, mijali od czasu do czasu jakieś samochody osobowe, niektóre z kempingowymi przyczepami. Ludzie jechali na wakacje. Summer miała nadzieję, że oni też prezentują się na motocyklu niby zwyczajna para turystów, no, może trochę zbyt lekko ubranych, jak na górską wycieczkę i dość późną już porę dnia...

Otóż właśnie! Robiło się późno, chłodno i głodno. A na dokładkę niewygodnie. Summer podczas przedłużającej się jazdy kompletnie skostniała i zdrętwiała. Nie była w końcu w stanie marzyć już o niczym innym, jak tylko o postoju dla rozprostowania kości i rozluźnienia mięśni, o paru kęsach jakiegokolwiek stawy i o okryciu odrobinę choć cieplejszym niż bawełniany podkoszulek.

- Dokąd właściwie jedziemy? - spytała Steve'a, przekrzykując świst powietrza i warkot silnika.

Odpowiedział niefrasobliwie:

- Przed siebie! Może do Meksyku?

Dobre sobie! Sądząc po słońcu, przemieszczali się na północ, nie na południe, więc Steve po prostu z niej kpił. Bez łaski! Z tablicy informacyjnej ustawionej na poboczu Summer dowiedziała się po chwili, że szosa, którą jadą, to tak zwany Trakt Appalachijski. Znała tę malowniczą górską trasę ze słyszenia. Nie miała tylko pojęcia, dokąd Steve zamierza nią dotrzeć.

Przed siebie! Jechali i jechali, zrobił się wieczór, potem zapadła noc, dziwnie pochmurna i mglista po słonecznym dniu, bez księżycy i gwiazd, a oni wciąż byli w drodze. Ruch na Appalachijskim Trakcie niemal ustał, wszyscy podróżujący turyści biwakowali już zapewne w najlepsze. Tylko oni wciąż gnali i gnali, dalej i dalej, naprzód, przed siebie.

Dokąd?

Summer miała chwilami wrażenie, że po prostu donikąd. W głąb, w otchłań snu, w którym przyśnił jej się Steve Calhoun, w którym ją porwał, sterroryzował, uderzył, naraził na mnóstwo potwornych niebezpieczeństw, ale również wybawił z opresji i przyprowadził o dreszcz zmysłowej rozkoszy. Steve Calhoun, mężczyzna silny i wytrzymały, pewny siebie i sprytny, trochę brutalny, trochę nieokrzesany, chwilami miły i przyjacielski, chwilami nieprzenikniony i posepny, mężczyzna tajemniczy i zmienny, uwikłany w mnóstwo problemów - z samym sobą, z policją, ba, nawet z duchem zmarłej kochanki, amator niesamowitych przygód, poszukiwacz niebezpieczeństw, wielbiciel ryzyka, istny kaskader - na motocyklu i chyba w ogóle, w życiu... Steve Calhoun, facet z koszmarne snu? A może wyśniony błędny rycerz? Pozbawiony domu, pracy, rodziny, pieniędzy, lecz wciąż posiadający swój rycerski honor. Wciąż prowadzący walkę na śmierć i życie o własne ideały. Wciąż nieugięty zmagający się z siłami zła i ciemności... Postać ze snu czy mężczyzna z krwi i kości? Summer już chyba nie wiedziałaby - w obecnym stanie ciała i ducha, w oszołomieniu i nieludzkim wyczerpaniu - ku której wersji się skłonić, gdyby nie musiała obejmować Steve'a ręką w pasie, gdyby nie czuła ciepła jego ciała i gdyby nie słyszała rzucanego od czasu do czasu ostrzeżenia: Mocno się trzymaj! W pewnym momencie usłyszała coś jeszcze: skomlenie. Poklepał Muffy, żeby jej dodać otuchy. Nie pomogło. Suczka przez cały czas wyjątkowo spokojna i cierpliwa, zaskowyczała znowu. Summer domyśliła się, o co jej chodzi. Krzyknęła do Steve'a:

- Muffy chce siusiu!
- Że co?
- Muffy musi się wysusiać!
- To ją wysadź, niech sika w biegu!
- Ale dowcip! Nie możesz się zatrzymać?
- Stanę, jak znajdę dobre miejsce

Ujechali jeszcze kawałek. Muffy znów zaskomlała, Summer jeszcze raz zawołała do Steve'a:

- Pies chce siusiu! Powtórzył ze stoickim spokojem:
- Jak tylko znajdę dobre miejsce, to stanę.

ROZDZIAŁ 31

Summer nie była w stanie stwierdzić, czym akurat wyróżniało się miejsce, które ostatecznie wybrała. Wydawało jej się równie puste i ciemne jak setki, a może nawet tysiące innych miejsc mijanych po drodze. I równie dobre, żeby nareszcie zeskoczyć z motocykla, rozprostować nogi, pozwolić Muffy załatwić pilną potrzebę, a także... samej skwapliwie pójść w jej ślady. Oddaliła się o kilkanaście kroków od zaparkowanej yamaha, przykucnęła za drzewem. Stwierdziła, że wokół jest ciemno, zimno i straszno. Pośpieszyła się, na ile tylko to było możliwe, i wróciła do Steve'a. Pod opiekuńcze skrzydła Steve'a, jak mogłaby powiedzieć, gdyby go uznała za swego anioła stróża. Zajęty był akurat zdejmowaniem torby z bagażnika.

- Zostaniemy tu na noc - oznajmił. - Rozpalimy ognisko.

Jazda w tych ciemnościach robi się niebezpieczna. Pomóż mi zbierać gałęzie.

Nie musiał prosić Summer dwa razy. O niczym innym tak nie marzyła, jak o odpoczynku i ciepłe.

- Włóż to na siebie. - Podał jej wiatrówkę.

Tej prośby też nie musiał powtarzać...

Nazbierali drewna, Steve zaczął układać je w zgrabną stertkę. Summer, trzęsąc się z zimna, wydobyla z torby koc, okryła się nim i przykucnęła opodal. Zapytała:

- Czy ten twój Renfro pojawił się przypadkiem?

- A czy porucznik Kojak ma włosy? - odpowiedział jej pytaniem na pytanie.

- Nie...

- Ano właśnie!

- Ściągnąłeś go telepatycznie? Roześmiał się.

- Nie jestem cudotwórcą. Telefonicznie. Zadzwoń do niego z recepcji kempingu. Jak zobaczyłem, co o nas piszą w gazecie, pomyślałem, że nie ma sensu kryć się tam, gdzie ci mówiłem. To miejsce nie byłoby bezpieczne, mogliby nas łatwo dopaść. Doszedłem do wniosku, że musimy zamelinować się gdzieś dalej, dużo dalej, i że potrzebny jest nam jakiś pojazd. Zadzwoń do Renfro. Znamy się od szczeniaka, kiedyś często wyprawiał się ze mną i moim starym na pstrągi. Teraz prowadzi ze swoim ojcem sklepik z pamiątkami w indiańskim rezerwacie, jakieś dwadzieścia pięć mil od Hiawatha Village. Renfro ma bzika na punkcie motocykli. Ściąga, skąd się tylko da, różne graty, naprawia je. Zawsze się znajdzie u niego jakaś wolna maszyna. Jak tylko zadzwoniłem, powiedział mi: „Żaden problem, bracie!”

Wiedział już z gazet, że znalazłem się w tarapatach, razem z dziewczyną i psem. No i wyjechał nam naprzeciw.

- Zgodnie z twoim nowym planem?

- Ano właśnie.

- Ten drugi plan nawet nieźle ci wyszedł... Steve stwierdził buńczucznie:

- Moje plany zawsze mi wychodzą!

- Czyżby? To może byś mi zdradził dalszy ciąg? Z tym Meksykiem to chyba żartowałeś?

Uśmiechnął się i potwierdził:

- Chyba tak.

- A więc? Co zrobimy?

Rozpalił w milczeniu ogień, wyciągnął z torby skromne resztki prowiantu, jakimi musieli zadowolić się na kolację, zaczął je dzielić sprawiedliwie na trzy porcje. Odezwał się dopiero po dłuższej chwili.

- Sporo nad tym myślałem. Widzisz, pojąłem w końcu, że ucieczka to żadne wyjście. Skoro tamtym draniom udało się z nas zrobić parę morderców, policja w całych Stanach będzie nas tropić, i lokalna policja, i FBI... A gdybyśmy nawet prysnę - li za granicę - to Interpol! Rozumiesz, listy gończe, stanowe, krajowe, międzynarodowe i tak dalej. Każdy gliniarz będzie naszym wrogiem, nawet najuczciwszy... Widzisz, w policji, tak jak wszędzie, są porządni ludzie i dranie, tych porządnych trafia się nawet więcej, ale co z tego? Dla mnie i dla ciebie to teraz bez różnicy! Jeżeli nas gdziekolwiek zatrzymają, tamci dranie już będą umieli nas dopaść. I po cichu wykończyć.

- Wielkie nieba! - Summer nie była w stanie ukryć przerażenia. - To może powinniśmy skontaktować się z prawnikiem.

Na przykład z moją siostrą z Knoxville?

Steve pokręcił głową,,

- W tej chwili żaden prawnik nam nie pomoże. Rozumiesz, jesteśmy jakby poza prawem. Jeżeli nas przyskrzynią, nie doczekamy do procesu. Możemy nawet nie dojechać do aresztu, jakby dorwali nas ci, co wiesz...

- Wiem - potwierdziła Summer i westchnęła głęboko. - Czy to znaczy, że nie mamy żadnych szans, żadnego wyjścia z tej koszmarnej sytuacji?

Steve znowu pomilczał dłuższą chwilę, nim się odezwał:

- Zdaje mi się, że jedno wyjście widzę. Musimy wrócić nad jezioro, do hangaru na łodzi, i sprawdzić, co właściwie jest w furgonetce, na której tamtym draniom tak zależy.

Cuchnie mi tu jakąś grubszą aferą. Gdy rozgryziemy, o co chodzi, i nagłośnimy sprawę, rozumiesz, opowiemy o wszystkim prasie, telewizji i tak dalej, to chyba będziemy bezpieczni, tak mi się zdaje... Widzisz, media to dzisiaj potęga, miałem okazję odczuć to na własnej skórze, media i opinia publiczna...

Summer wzruszyła ramionami; najnowszy plan Steve'a najwyraźniej nie wydawał jej się przekonujący. Nie kryła wątpliwości:

- Ale przecież my wiemy, co jest w tej furgonetce, dwa truposze...

Steve uśmiechnął się.

- Złotko, uwierz mi, ci faceci nie fatygowaliby się, jeżdżąc za nami i za tym wozem tu i tam po całym Tennessee przez szacunek dla zmarłych. W furgonetce musi być coś więcej niż trupy.

- Co na przykład?

- Pewnie narkotyki...

Umilkli oboje. Zajęli się jedzeniem. Mieli do podziału dwie bułki, dwie kiełbaski, ostatnie krakersy. Na troje. Muffy już od dawna przypominała donośnym poszczekiwaniami, że jej także należy się kolacja. Steve wyjął z torby dwie puszki. Jedną z nich podał Summer. Wzdrygnęła się.

- Nie cierpię piwa.

- To woda.

- Jak to? Otworzył puszkę.

- Spróbuj.

Pociągnęła ostrożnie mały łyk.

- Faktycznie. Jak to możliwe?

- Zwyczajnie. Piwo wylałem, nabrałem wody, tam, na kempingu, zakleiliśmy otwory gumą do żucia...

Pokręciła z podziwem głową:

- Zaradny jesteś. I masz charakter. Z tym alkoholem, no wiesz...

Uśmiechnął się leciutko, trochę melancholijnie:

- W tej sprawie nie mam wyjścia. Wóz albo przewóz. Jak już się było na dnie, można się tylko odbić. Inaczej koniec.

Amen.

Znów zapadło milczenie. Pierwsza odezwała się Summer:

- Steve, możesz mi powiedzieć, jak się znalazłeś w domu przedpogrzebowym braci Harmon? To wszystko się wtedy zaczęło, prawda?

Pokręcił przecząco głową.

- Wcale nie wtedy. Dużo wcześniej. Ponad trzy lata wcześniej. Ta historia łączy się z pewną sprawą, nad którą pracowałem, kiedy... - zawahał się, ale w końcu wykrztusił -... kiedy zmarła Deedee!

- Znowu wracasz do Deedee? - Summer nie zdołała ukryć rozdrażnienia.

Pokiwał głową.

- Muszę, jeśli chcesz znać całą sprawę.

- No to wal.

- Dobra. Widzisz, byłem oficerem śledczym policji stanowej Tennessee, detektywem, pracowałem w centrali w Nashville.

- To wiem.

- Mniej więcej trzy i pół roku temu przełożeni zlecili mi zbadanie zasadności doniesień o korupcji w komendzie policji w pewnym mieście, niedużym mieście...

- W Murfreesboro?

- Właśnie. Sam szef Rosencrans zameldował zwierzchnikom w Nashville, że podejrzewa część swoich ludzi o korupcję. Nie miał konkretnych dowodów, ale czuł pismo nosem i potrzebował wsparcia z zewnątrz.

- To znaczy, że Sammy jest czysty? Widzisz, mogliśmy do niego zadzwonić...

- To nic nie znaczy, złotko! Owszem, stary Rosey może być czysty, ale równie dobrze może być tylko sprytny. Rozumiesz, składa raport, rozkręca śledztwo i odsuwa w ten sposób wszelkie podejrzenia od swojej szacownej osoby... Nie mówię, że tak jest... - zastrzegł się Steve, widząc zawiedzioną minę Summer -... ale że może być. Trzeba brać pod uwagę wszystkie warianty! No, w każdym razie zacząłem wtedy niuchać w Murfreesboro. I wyniuchałem! Coś naprawdę śmierdzącego. Forse. I prochy. Nie mam na myśli prochów zmarłych, chociaż to właśnie zakład pogrzebowy braci Harmon był wplątany w tę sprawę. Nie mówię, że sami Harmonowie, bo tego po prostu nie wiem, może tylko ich pracownicy... I niektórzy policjanci, to wiem na pewno. I chyba jeszcze jakieś grube ryby, rozumiesz, bonzowie stanowi! Prowadziłem śledztwo w największej tajemnicy, wiedział o nim tylko mój bezpośredni zwierzchnik i stary Rosey, właśnie zacząłem łączyć pewne nici ze sobą, kiedy... Kiedy umarła Deedee.

- Samobójstwo?

Steve nachmurzył się.

- To oni tak stwierdzili! Prawda, mieliśmy mały romans, chciałem go przerwać, ale żeby przez coś takiego miała się powiesić? Przeze mnie? Nigdy jej chyba tak naprawdę na

mnie nie zależało. Za to zawsze zależało jej na życiu! To była silna, tryskająca energią kobieta, uwielbiała brać się z życiem za bary, korzystać z niego. Kochała życie, a mnie... - Steve zawahał się, nim wybuchnął -... a mnie, do cholery, nie! Chociaż przez całe lata za nią szalałem! Samobójstwo...

- No, ale przecież zostawiła list pożegnalny. Czy jakąś taśmę? - Summer udała, że dokładnie nie pamięta tego, o czym tak głośno trąbiła telewizja i szeroko rozpisywała się prasa.

Steve najwyraźniej się spieszył. Spuścił głowę.

- No tak... - mruknął. - Ktoś nas sfilmował na wideo z ukrytej kamery, nie wierzę, żeby sama Deedee, ale kto wie, była dość ekscentryczna... Rozumiesz, uwielbiała niezwykle sytuacje, pozwalala sobie czasem na ryzykowne wyczyny...

- Jak na przykład małe bara - bara z detektywem na jego biurku w komendzie policji?

Steve opuścił głowę jeszcze niżej. Summer była wściekła na siebie samą, że jest zazdrosna o jego amory sprzed lat, na dodatek z nieżyjącą już kobietą, ale nie była w stanie ani stłumić swojej idiotycznej zazdrości, ani nawet jej ukryć.

- Na przykład... - mruknął Steve. - Czytało się „National Enquirer”, no nie? - spytał kpiącym tonem.

Summer wydeła usta.

- Nie, „Hard Copy”.

- Jeden diabeł! Cholera, delikatności to ci pismacy nie mają za grosz. Fakt, szalałem przez całe życie za Deedee, kiedy w końcu spojrzała na mnie życzliwszym okiem, zakręciło mi się w głowie... Ale oprzytomniałem szybko. Chodziło mi o Elaine, moją żonę. Głupio się czułem. Pobraliśmy się z miłości, przynajmniej ja byłem zakochany, w jej imieniu nie mogę mówić. Jak nam się urodziło dziecko, to coś zaczęło między nami stygnąć. Nie zrozum mnie źle, Elaine była dobrą żoną, dobrą matką, była w porządku, ale... Nie żebym chciał się usprawiedliwiać! Tylko...

Steve zaplątał się trochę w swojej opowieści, zakłopotany umilkł, pociągnął z puszką solidny łyk wody. Dopiero po dłuższej pauzie zaczął mówić znowu:

- Cholera, było mi głupio wobec Elaine! I jeszcze bardziej wobec Mitcha. Przyjaźniliśmy się... od przedszkola. Byliśmy razem w szkole podstawowej, w średniej. Graлиśmy w jednej drużynie futbolowej. Razem poznaliśmy Deedee. Rozstaliśmy się po maturze, ale na krótko. On zaczął studia, ja wstąpiłem do wojska. Potem ja też studiowałem. W rok po Mitchu zacząłem pracować w policji. Zamieszkaliśmy po sąsiedzku w Nashville. Cholera, Mitch był moim najlepszym przyjacielem, więcej, po prostu bratem, a ja... Z jego

żoną... Zachowałem się jak gnojek!

Ukrył twarz w dłoniach, znów na pewien czas zamilkł. Uniósł głowę, zapatrzył się w ogień. Wreszcie podjął przerwana opowieść: - Deedee i Mitch... Widzisz, on ciągle robił skoki w bok, może i ona, tego nie wiem. Wtedy też był mocno wplątany w jakąś historię. Deedee potrzebowała kogoś, żeby się wypłakać, byłem pod ręką, byliśmy przyjaciółmi... Sam nie wiem, jak to się stało, któregoś wieczora wypiliśmy razem co nieco i... stało się! Boże! Gdybym mógł później to odkręcić! Mój Boże, gdybym tylko mógł...

Steve znowu opuścił nisko głowę, znowu przesłonił dłońmi oczy. Summer spojrzała na niego ze współczuciem. Taki silny mężczyzna... Silny, ale równocześnie wrażliwy. I uczciwy, rycerski, prawdziwy człowiek honoru!

Współczucie? Summer uświadomiła sobie nagle, że to, co czuje wobec niego, jest czymś innym. Czyżby to miała być... miłość? Boże wielki dopomóż!

Przysunęła się blisko do Steve'a, objęła go ramieniem, cmoknęła w szorstki, nie ogolony policzek. Uniósł głowę i spojrzał jej prosto w oczy.

ROZDZIAŁ 32

Wytrzymała to jego przenikliwe, elektryzujące spojrzenie, nie odwróciła wzroku. Szepnęła prowokacyjnie:

- Steve, zapomnij o przeszłości. Kochaj się ze mną.

Pochylił się i pocałował ją w usta. Delikatnie. Czule. Ale nie - namiętnie.

Rozczarowanie? Zniechęcenie? Być może... Summer z pewnością odczuła rodzaj zawodu, ale błyskawicznie i w dużej mierze podświadomie zdecydowała się nie wycofywać, tylko przeciwnie, podjąć walkę. Walkę o Steve'a, mężczyznę, w którym była zakochana. Z kim? Z Deedee, z jego zmarłą kochanką, z duchem, z cieniem. Instynktownie wiedziała, co może być jej najskuteczniejszą bronią. To, czego nie ma żaden duch. Ciało. Usta, które potrafią całować. Dłonie, które potrafią pieścić. Palce, wargi, język...

Steve nie uchylał się od jej pocałunków i pieszczot, ale też ich nie odwzajemniał. Był cały napięty, po trosze jakby odrętwiały...

- Kochaj się ze mną - powtórzyła zmysłowym szeptem, masując mu kark opuszkami palców i muskając usta wargami.

- Summer... nie... - odparł stłumionym, załamującym się głosem, najwyraźniej zakłopotany jej obcesowością - Nie powinniśmy się teraz zapominać, ze względów bezpieczeństwa, musimy być uważni, czujni...

Obrzuciła spojrzeniem czarny, nieprzenikniony las, który rozciągał się wszędzie wokół, poza niewielkim kręgiem rozświetlonym płomieniem ogniska. Wsłuchiwała się w ciszę, zakłócaną tylko przez poświsty wiatru, poszum drzew i dobiegające to stąd, to stamtąd głosy leśnych zwierząt. Stwierdziła z głębokim przekonaniem:

- Steve, w tej ciemności i głuszy możemy się zapomnieć. I dodała kusocielskim tonem:

- Tylko dzisiaj... Tylko w tę jedną noc...

- Ale Summer...

- Cii... - położyła mu palec na ustach.

- Widzisz... - Steve wciąż nie poddawał się erotycznej magii jej gestów i słów. - Nie powinniśmy się w takiej sytuacji... angażować.

Parsknęła gorzkim śmiechem.

- Wiem. Ale już jest za późno, żeby się wycofać. Czuję to, Steve. Tak samo jak ty.

Teraz i on się roześmiał. Mruknął:

- Wygląda na to, że próbujesz czytać w moich myślach...

- A myślę się? Zerknął z ukosa.

- Do diabła, Summer, nie!

Przyciągnął ją do siebie i pocałował w usta. Żarliwie, gwałtownie, z jakąś zmysłową furją. Zamknięta w potężnym uścisku ramion Steve'a Summer poczuła nagle, że słabnie, że omdlewa, że topnieje w ogniu jego rozpalonego ciała, jego rozbudzonej namiętności, jego pasji. W jednej chwili straciła bojowy nastrój. Nie miała już chęci walczyć. Wręcz przeciwnie. Z całego serca zapragnęła się poddać. Wyszepiała:

- Steve, weź mnie, kochaj mnie!

- Ty też mnie kochaj, Summer!

Przebiegł pocałunkami od jej ust aż po szyję. Przebiegł dłońmi od jej pleców po piersi. Przymknęła oczy, odchyliła głowę do tyłu. Poczowała, jak nabrzmiewają jej sutki. Rozkosz i pożądanie! Zaczęła błądzić palcami po jego ciele. Tors, brzuch... I niżej, coraz niżej! Jej palce wśliznęły się tam, gdzie rozkoszą i pożądaniem nabrzmiewała jego męskość. Jęknął! W poskromicielskim odruchu przygniótł ją do ziemi całym ciężarem swego ciała. Przygwoździł jej dłonie - dłońmi, usta - ustami... W tym momencie ostatecznie pojęła, uświadomiła sobie, zrozumiała, że oto bierze ją w swoje posiadanie mężczyzna, na którego czekała całe życie. Steve Calhoun. Zdobywca.

Rozbierał ją zdecydowanymi, śmiałymi ruchami. Kurtka, koszulka, biustonosz... Pomagała mu, jak mogła, żeby nie podarł na niej ubrania. Po chwili sam zaczął się rozbierać. Koszula, szorty, buty...

Wykorzystała chwilę, w której cofnął się i uwolnił ją z uścisku. Odzyskawszy inicjatywę, energię i siły, ona jego przewróciła na wznak i przycisnęła do miękkiego, grubo wyścielonego liściem podłoża. Wsparta rękoma na ramionach Steve'a, zaczęła drażnić jego szyję językiem i wargami, a tors - koniuszkami kołyszących się swobodnie piersi. Znowu jęknął. Rozluźnił napięte mięśnie. Przymknął oczy i... poddał się! Poddał się zmysłowemu czarowi kobiecej magii miłosnej. Oddał się Summer we władanie. Przez chwilę był jej, cały jej!

Spodziewała się, że tak już pozostanie, że to ona ostatecznie okaże się zdobywczynią. Gra jednak nie była jeszcze skończona. W pewnej chwili Steve chwycił ją za włosy, odciągnął od siebie, przewrócił na plecy... Kilкома gwałtownymi szarpnięciami zerwał z niej szorty i figi. Została naga, prawie naga, nie licząc... butów! Znow on był górą, nie próbowała tego zmienić, rozchyliła przyzwalająco kolana, rękoma objęła go za szyję i przyciągnęła do siebie. Wszedł w nią ostro, zdecydowanie, energicznie. Powinna może nawet poczuć ból, ale nie czuła nic poza przenikającym ją na wskroś ogniem pożądania. Steve narzucił jej

gwałtowny, porywający rytm ataku i odwrotu, wypadu i odskoku, naporu i odrzutu. Przyjęła ten rytm, poddała mu się. Odchyliła głowę do tyłu, otworzyła szeroko oczy, wbiła paznokcie w plecy Steve'a, opłotła nogami jego biodra. On ją, a ona jego wzięła we wzajemne posiadanie. Stali się jednością, wspólnotą...

Jego dłonie wczepione w jej pośladki, jego wargi zaciśnięte na zwieńczeniu jej lewej piersi, jego męskość głęboko w niej, w środku! Nie umiałyby sobie po prostu wyobrazić intensywniejszej przyjemności, większej rozkoszy, gwałtowniejszej, silniejszej, bardziej żywiołowej ekstazy. Krzyknęła:, - Steve! Och, Steve! Steve!!!

On po triumfalnym, finałowym pchnięciu odwzajemnił jej okrzyk:

- Summer! Och, Summer! Summer!!!

Nastąpił potężny wybuch, prawdziwa wulkaniczna eksplozja... Po chwili było już po wszystkim. Summer poczuła, że ja -, kiś kamyk gniecie ją w plecy między łopatkami. Że marzną jej nogi. I że zaczyna kropić deszcz.

ROZDZIAŁ 33

- Pada! - szepnęła Summer, cmoknąwszy Steve'a w kłujący, szczeciniasty policzek.

Odpowiedział jej jakimś nieartykułowanym mruknięciem. Nie otworzył oczu, nie uniósł głowy. Wciąż leżał bezwładnie, bez najmniejszego ruchu, przygniatając ją ciężarem muskularnego ciała.

- Steve, pada - powtórzyła. - Zmokniemy. Spojrzał na nią półprzytomnie i powiedział:

- Jesteś piękna. Roześmiała się.

- Ty też.

- Wszystkim facetom to mówisz?

- Tylko najprzystojniejszym. Teraz on parsknął śmiechem.

- No, nie! Różne rzeczy dziewczyny mi mówiły, ale nigdy, że jestem przystojny...

- Widocznie zadawałeś się nie z tymi co trzeba!

- Widocznie... - zgodził się Steve, nie dopuszczając do sprzeczki. I dodał:

- Pada. Kapie mi na plecy.

- Przecież mówiłam. Wstań, trzeba się ubrać, bo zmokniemy. Uniósł się do kłęczek i zaczął popatrywać uważnie to tu, to tam.

- Czemu się tak rozglądasz? - zapytała Summer. – Szukasz Deedee?

Nie obraził się. Odpowiedział po prostu:

- Tak. Sprawdzam, czy znowu nie zechce mnie postraszyć.

Jego stoicki spokój bardziej rozdrażnił Summer niż jej własna zazdrość o tamtą zmarłą kobietę. Nie zdołała się pohamować. Wybuchnęła:

- Steve, jak dorosły facet może wierzyć w takie rzeczy? Nawet małe dzieciaki nie boją się już duchów! Nie bądź śmieszny. I zapamiętaj sobie: nie chcę więcej słyszeć o Deedee, ani słowa, rozumiesz?

Rozejrzał się raz jeszcze dookoła.

- Lubię, jak dziewczyny są o mnie zazdrosne – stwierdził z uśmiechem i nie pozwolił się Summer odciąć, zamykając jej usta pocałunkiem.

Deszcz zrobił się gęściejszy, z oddali dobiegł basowy pomruk grzmotu. Steve zaprzestał karesów. Uniósł głowę i powiedział:

- Będzie burza. Musimy się gdzieś schować.

- Masz jakiś pomysł? - zapytała sceptycznie Summer.

- Mam. Ubierzemy się i zrobimy sobie szałas pod drzewem.

Włożył koszulę i spodnie. Pokręcił się tu i tam, wyszukał cedr o gęstych, rozłożystych, opadających nisko, niemal do ziemi gałęziach.

- Tu będzie nam najlepiej.

Rozścielił koc na ziemi, w głębi zaimprovizowanego szałas, tuż przy pniu.

- Wskakuj! - zaprosił Summer do środka.

Też była już ubrana. Złapała Muffy i ochoczo wsunęła się do środka, chociaż nie była pewna, czy schronienie pod drzewem jest akurat najwłaściwsze w czasie burzy. Uznała jednak, że przy Stevie może nie bać się niczego, nawet rozszalałych niebios.

Pioruny biły coraz bliżej, rzęsisty deszcz przekształcił się w ulewę. Ale w zaimprovizowanym szałasie było względnie sucho, a w opiekuńczych ramionach Steve'a nawet przytulnie i ciepło. Summer wtuliła się w nie z całej siły. Steve poprosił:

- Opowiedz mi o tym swoim dentyście.

- On... - zawahała się -... jest nawet dobry w leczeniu zębów! wypaliła.

- A w łóżku?

- Mój panie, to już nie twoja sprawa!

- Czyżby?

- No, chyba nie zamierzasz z nim sypiać...

- Fakt. A ty, zamierzasz się jeszcze z nim spotykać?

- To zależy.

- Od czego?

- Czy przeżyjemy, to po pierwsze.

- A po drugie?

- Po drugie? Czy będę miała powody, żeby z nim zerwać.

- Jakie na przykład powody?

- No, na przykład... - Summer, unikając natychmiastowej odpowiedzi, zaczęła z rozmysłem przekomarzać się ze Steve'em -... na przykład ktoś nowy w moim życiu. Gdyby tak się pojawił...

- A pojawił się? - Steve podchwycił jej filuterny ton.

- Może... Ale powiedział, że nie chce się angażować.

- Już się zaangażował!

- Naprawdę?

- Na to wygląda.

- A Deedee?

Steve natychmiast spowaźniał. Nachmurzył się.

- Przecież nie wierzysz w duchy.

- W te prawdziwe nie, ale w duchy przeszłości... Czy ja wiem? Bywają groźne, mogą naprawdę straszyć.

- Przeszłość trzeba zostawić w spokoju. Moją Deedee, twojego dentystę... Cieszyć się tym, co jest.

- A co jest?

- Myślę, że... miłość, do jasnej cholery! Szaleję za tobą, Summer! Cieszysz się?

- Mhm... A ty?

- Ja też! I chciałbym ci powiedzieć, że... - Steve zawahał się.

- Że co?

- Że to niebiosa mi ciebie zesłały, żeby mnie wyrwać z piekła. Tam, w tym zakładzie pogrzebowym, w tej trupiarni, było mi, prawdę mówiąc, wszystko jedno, czy jeszcze żyję, czy już nie. A teraz jest inaczej. Skoro mnie kochasz... A kochasz mnie?

- Kocham, Steve!

- No to posłuchaj dalej. Przez te ostatnie lata w ogóle nie myślałem o przyszłości. Nie wierzyłem, że w ogóle mam jakąś przyszłość przed sobą. A teraz już wiem, że moja przyszłość to ty!

- Och, Steve! Czy to cud? Patrz, dwoje ludzi solidnie sponiewieranych przez życie trafia na siebie... w trupiarni, on ją terroryzuje, porywa, uciekają przed bandą morderców, kradną kolejne samochody, psy gończe tropią ich po lesie, oni się im wymykają, kryją się w burzę pod drzewem... I nagle wyznają sobie miłość. Czy to cud, Steve?

- Tak, Summer, myślę, że tak. Widocznie cuda jednak się zdarzają. Kocham cię!

- Ja też cię kocham, Steve!

ROZDZIAŁ 34

Burza szalała jeszcze przez całą noc, ale oni nie zwracali zupełnie uwagi na błyskawice i pioruny. Przytuleni do siebie przez długie godziny czynili sobie najintymniejsze, najbardziej sekretne zwierzenia. Z całego życia, z najtrudniejszych jego momentów. Summer mówiła Steve'owi, jak to jest, gdy nieudane małżeństwo, kompletny brak zrozumienia z tej drugiej strony, staje się przyczyną bulimii, i jak trudno się z tego wyleczyć. Steve mówił Summer, jak to jest, kiedy życiowa katastrofa wpędza człowieka w alkoholizm, i jak trudno się potem odbić od najgorszego ze wszystkich dna, jakim jest dno butelki. Summer przyznała się Steve'owi, że jej były mąż, Lem, wziął sobie po rozwodzie za żonę dwudziestodwuletnią pielęgniarzkę. Steve przyznał się Summer, że swoimi pijackimi ekscesami tak bardzo zatrzał życie ojcu, że starszy pan poważnie rozchorował się na serce ze zmartwienia, aż w końcu zmarł. Spowiadali się sobie nawzajem, razem płakali, razem się śmiali i razem - zdrowieli, leczyli duchowe rany. Cóż, miłość i wzajemne oparcie to najlepsza forma terapii.

- Więc jak to było... - spytała Summer na wpół śpiąc, już nad ranem, wysłuchawszy opowieści Steve'a o jego perypetiach po utracie kochanki, żony, córki, domu i pracy -... że zdecydowałeś się wrócić?

- Do Tennessee?

- Mhm...

- To było tak. Włączyłem się po Nevadzie, żyłem i piłem za stare oszczędności, ale już mi się właśnie kończyły. Któregoś dnia obudziłem się w jakiejś speluncie, wiesz, takiej z alkoholem i dziewczynkami... No, nie drap! Więc obudziłem się, łeb mi pęka, nie mam nawet pojęcia, jaki to dzień. Widzę jakąś gołą wywłokę obok siebie na wyrku, ja też jestem goły... Nie szczyp! Więc ją pytam, co to za dzień, a ona mówi mi, że akurat Wigilia. Coś mnie ścisnęło w środku, zerwałem się, ubrałem, trzasnąłem drzwiami. Tam wszystko było płatne z góry... Nie bij! Powlokłem się do hotelu, mieszkałem na stałe w jednej takiej budzie, taniocha, dwadzieścia pięć dolców za noc, zmiana pościeli raz w miesiącu... Więc poszedłem do hotelu i zadzwoniłem do córki. Dawno z nią nie rozmawiałem. Ile razy próbowałem, zawsze odbierała Elaine i załatwiała mnie krótko, że mała nie chce podejść... Wtedy akurat podniosła sama słuchawkę, więc powiedziałem jej: „Kocham cię, wesołych świąt!” A ona na to: „A ja cię nienawidzę, wesołych świąt!” I wyłączyła się. Możesz sobie łatwo wyobrazić, jak się poczułem. Zupełnie jakbym dostał w twarz! Pomogło. Oprzytomniałem. Obudziłem

się z trzyletniego zamroczenia. Pomyślałem sobie, że muszę coś ze sobą zrobić, muszę coś w swoim życiu zmienić, bo inaczej to koniec! Alkohol, dziwki, dno... Wziąłem prysznic, ogoliłem się, ubrałem się, jak mogłem najporządniej. I wiesz co? Poszedłem do kościoła, do metodystów, akurat taki tam był, w tej miejscinie. Zacząłem się modlić, to trwało dosyć długo, w końcu zeszli się ludzie, cała parafia, jak to w Wigilię, zostałem na nabożeństwie. Pomogło! Zrobiłem ze sobą porządek. Z dnia na dzień przestałem pić. Przebadałem się na AIDS, jestem czysty, nie musisz się martwić. I postanowiłem wrócić do domu, do Tennessee. Chciałem dogadać się z córką, jakoś jej wytłumaczyć, poprosić ją, żeby mi wybaczyła to wszystko... Znaczący to, co się stało trzy lata wcześniej, co tak strasznie roztrąbiły gazety, radio, telewizja. Zacząłem o tym myśleć, już na spokojnie, na trzeźwo. Zaraz po śmierci Deedee nie byłem w stanie niczego roztrząsać, nie zagłębiałem się w szczegóły, po prostu uwierzyłem w to jej samobójstwo i uderzyłem w gaz... Teraz zaczęły mi się nasuwać różne wątpliwości. Wiesz, na tej taśmie było na przykład coś takiego, że ona mi mówiła: „Skończę ze sobą, jeżeli ze mną zerwiesz i wrócisz do żony!” A przecież ja nigdy od żony nie odchodziłem, i nie z powodu Elaine chciałem przerwać ten romans z Deedee, ale z powodu Mitcha! Przede wszystkim z powodu Mitcha. I ona o tym doskonale wiedziała, znaczący Deedee, więc nie mówiłaby mi takich rzeczy... No i jeszcze ten klucz!

- Jaki klucz, Steve?

- Od mojego biura. Miałem w Nashville gabinet, do odwalania papierkowej roboty. Kiedy szefostwo zleciło mi to śledztwo w Murfreesboro - pamiętasz, mówiłem ci, supertajne, drażliwa sprawa - wymieniłem zamki i zacząłem zamykać drzwi na klucz każdego popołudnia, kiedy już szedłem do domu. Wtedy... tamtego dnia, kiedy Deedee tam... umarła... drzwi też były zamknięte. Klucze miałem przy sobie, był tylko jeden komplet... No więc co? Włamała się? Nie umiałaby tego zrobić, takie zamki to skomplikowana sprawa, zresztą żadnych śladów włamania nie było. Włamywać się, żeby się powiesić? To przecież idiotyczne...

- W takim razie co podejrzewasz? Że to nie było samobójstwo?

- Sam nie wiem... Kto miałby ją zabić i dlaczego? Żeby mnie w ten sposób zniszczyć? Kto by się bawił w takie komplikacje, strzeliliby mi w łeb z za węgla i tyle! Byłoby szybciej i prościej. Coś mi tu nie gra. Brakuje jakichś klocków w tej cholernej układance. Od początku brakowało. Dlatego wziąłem się do tamtego mojego śledztwa z powrotem, wznowiłem je, ma się rozumieć, prywatnie. Żeby poszukać brakujących elementów. Żeby się przekonać, czy coś czasem nie łączy tych dwóch spraw, afery korupcyjnej w Murfreesboro i śmierci Deedee. Zacząłem się rozglądać, niuchać, sprawdzać to i owo... Tak trafiłem tamtej nocy na cmentarz,

do zakładu pogrzebowego braci Harmon. Dalszy ciąg znasz.

Steve umilkł. Summer również przez dłuższą chwilę nie miała ochoty się odzywać. Myślała... o Deedee, o tajemniczej, niezwyklej Deedee, którą dotąd uważała za przeciwniczkę, za rywalkę, ale którą teraz, wysłuchawszy wyznań Steve'a, zaczynała traktować w trochę inny sposób: jako tragiczną postać pewnej historii, przebrzmiałej już, ale jeszcze ostatecznie nie zamkniętej. Należało tę historię zamknąć i to wszystko. Odnaleźć brakujące elementy. Przypisać winę winnym i oddać sprawiedliwość sprawiedliwym. Summer zrozumiała, uświadomiła sobie, że Steve, jej Steve, nie może wyrzec się przeszłości, nie może od niej uciec. Musi się z nią rozprawić. Ostatecznie. Żeby otworzyć nowy rozdział w swoim życiu, opatrzony tytułem „Summer”. I żeby ująć z życiem z rozgrywki, w jaką sam się wpakował i ją przy okazji wciągnął. Zapytała nieśmiało:

- Steve, myślisz... Naprawdę myślisz, że my... że wyjdziemy z tego cało?

Odpowiedział z pełnym przekonaniem:

- No pewnie, że wyjdziemy, Summer! Musimy! Za dużo mamy do stracenia. Ja mam ciebie, ty masz mnie... Wyjdziemy z tego, nie martw się!

Nie mogła się martwić, jeśli by nawet bardzo chciała. Steve wziął ją w ramiona i sprawił, że znów zapomniała o całym świecie, że zatraciła się bez reszty w jego ognistych pocałunkach i zmysłowych pieszczotach. A potem po prostu usnęła...

Steve zbudził ją o świcie całusem i leciutkim kłapsem w pośladek. Otworzyła oczy. Po deszczowej nocy dzień wstawał pogodny, słońce barwiło niebo, szczyty gór i wierzchołki drzew różem i purpurą, mokre gałęzie, trawy i niezliczone kałuże lśniły srebrzyście, poranne mgły unosiły się w górę, przesłaniając cały świat delikatnym woalem i miękko, trochę tajemniczo rozmywając wszelkie kształty i kontury. Sceneria była niewątpliwie romantyczna, Steve jednak zdawał się jej zupełnie nie dostrzegać. Poleciał Summer, by szykowała się do drogi, a sam troskliwie zajął się... motocyklem. Wykręcił świece, osuszył je starannie własną koszulą, wkręcił z powrotem, wytarł koszulą siodełko, przytroczył torbę do bagażnika.

Summer, rozczarowana brakiem adoracji, stała z boku naburmuszona, przeżuując na śniadanie ostatniego krakersa. Zauważył jej markotną minę i zapytał pół żartem, pół serio:

- Zawsze jesteś rano taka ponura, czy dzisiaj mamy jakąś szczególną okazję?

Odczęła się:

- A ty zawsze jesteś rano taki wesoły, czy tylko jak masz okazję popieścić się na dzień dobry z yamahą?

- Będę naprawdę wesoły, dopiero jak moje słońeczko się rozchmurzy - rzucił z uśmiechem. - A co do pieszczot - dodał - wolę delikatniejszą maszynę!

Chciał wziąć Summer w objęcia, ale odepchnęła go i syknęła poirytowana:

- Przecież ci się śpieszyło w drogę, zapomniałeś? Mruknął:

- Niewielkie opóźnienie nam nie zaszkodzi. I dopiął swego. Słońce zdążyło wspiąć się po nieboskłonie dość wysoko, nim w końcu wyruszyli. Skierowali się Appalachijskim Traktem z powrotem tam, skąd przybyli wczoraj, czyli prosto w paszczę lwa. Myśl o tym wydawała się Summer dość przerażająca, na szczęście niewygody motocyklowej podróży nie pozwalały jej się zbyt długo na niej koncentrować. Ból pleców, nóg, pośladków i przygniatanej masywnym kaskiem głowy zmuszał do zapomnienia o strachu. Niby wiedziała, że ona i Steve mogą wpakować się niebawem w niezłą kabałę, a nawet - jeśli sprawy przyjmą niekorzystny obrót - pożegnać się z życiem, ale tymczasem skupiona była przede wszystkim na swoim zdrętwiałym krzyżu i obolałym tyłku.

Jechali i jechali, zrobił się pełny dzień, potem minęło południe... Musiała być co najmniej trzecia, kiedy Summer zauważyła na niebie coś, na co skupiony na prowadzeniu motocykla Steve nie zwrócił uwagi: niewielki samolocik, dwupłatowiec. Krążył ponad górami, ciągnąc za sobą długą wstęgę z jakimś napisem. Awionetki z takimi reklamowymi transparentami Summer często widywała na Florydzie. Tam latały nad zatłoczonymi plażami, więc miało to jakiś sens. Tu jednak, w odludnym, gęsto zalesionym obszarze Appalachów, zwanym Smoky Mountains, ta forma reklamy wydawała się dość absurdalna.

Myślała rozbawiona: „Ciekawe, co też można ludziom zachwalać na tym pustkowiu? Świeżość od pierwszego dotyku? Czysto, sucho i pewnie? Dwa w jednym?” Z uwagą zaczęła się przyglądać falującemu na wietrze napisowi. W końcu odcyfrowała go. Był dość dziwny:

STEVE! GDZIE JEST COREY? ZADZWOŃ 555 - 2101.

Summer krzyknęła:

- Steve, stań i popatrz na ten samolot!

Przyhamował na poboczu, spojrzął w górę. Zbladł i stwierdził ze zgrozą:

- Corey to moja córka!

ROZDZIAŁ 35

Corey! Mają Corey! Mała jest w rękach tych zbirów! Mała... Nie widział córki od przeszło trzech lat, zapamiętał ją jako dziesięcioletnią dziewczuszkę, teraz była już nastolatką, podlotkiem, na pewno bardzo się zmieniła przez ten czas, wydorosła, podrosła... Wielki Boże, ci dranie porwali Corey! Mogą ją męczyć, torturować, nawet zabić... Co robić? Jak temu zapobiec? Jak ratować dziecko???

Steve był tak roztrzęsiony, że nie mógł prowadzić dalej. Zaczął się gorączkowo zastanawiać, jaką przyjąć taktykę wobec oczywistej groźby kierowanej pod jego adresem: „Jak się nie zgłosisz, twoje dziecko może ucierpieć!”

„Spokojnie, jeszcze nic złego się nie stało - próbował sobie tłumaczyć, ochłonąwszy nieco z szoku. - Mają Corey, ale nie o nią im chodzi. Chodzi im o mnie i o ten cholerny samochód! Powinni zgodzić się na zamianę, powinni pójść na układy... Trzeba je tylko odpowiednio przeprowadzić Tak żeby przede wszystkim uwolnić małą z rąk tych drani. A potem, jak Bóg da, wykołować ich jakoś i ocalić też własną głowę. I głowę Summer. Ocalić ukochaną kobietę, świeżo rozkwitłą miłość!”

Summer szepnęła:

- Steve, zapamiętałam ten numer. Zadzwoń?

Odpowiedział łamiącym się głosem:

- Znam go. To numer mojej byłej żony. Muszę zadzwonić. Muszę!

- To poszukajmy telefonu. Możesz prowadzić?

- Mogę, do jasnej cholery, już mogę! Muszę móc... Jedziemy.

Pomyślał: „Muszę móc, muszę jechać, muszę tak to rozegrać, żeby wygrać. Nie mam wyjścia, muszę grać na całego i wygrać, wóz albo przewóz!” Przypomniało mu się ulubione powiedzonko Mitcha: „Zwycięzca bierze wszystko, zwycięzca zgarnia całą pulę”. Mitch często to powtarzał i Często w życiu wygrywał. Z nim również. W szachy, w karty, w golfa, w futbol... Mitch grywał zawsze tak, żeby zagwarantować sobie wygraną; ostro, agresywnie, bez skrupułów. Nie uznawał zasady *fair play*, nie pamiętał o przestrzeganiu reguł. Interesował go wyłącznie możliwy do osiągnięcia cel, efekt. Korzyść! Kompletnie nie rozumiał takich pojęć jak honorowe zwycięstwo czy honorowa porażka. Zawsze starał się zgarnąć całą pulę. On, Steve, „pocziwy Steve”, nigdy nie mógł się pogodzić z taktyką przyjaciela, byłego przyjaciela... Teraz musiał. Był zmuszony sam ją zastosować. Zapomnieć, że istnieje coś takiego jak czysta gra!

Powtórzył:

- Jedziemy! Poszukamy telefonu.

Znaleźli automat telefoniczny po mniej więcej trzech kwadransach jazdy na niewielkiej stacji benzynowej połączonej z barkiem i sklepikiem spożywczym. Summer poszła kupić coś do jedzenia i rozmiąć jeden z banknotów od Renfro na drobne do automatu. Steve został z Muffy. Bojąc się rozpoznania przez jakichś przygodnych turystów, wepchnął psiaka... do torby. Muffy nie była zachwycona. Co chwilę uparcie wystawiała kosmaty łepiek, wychylając się z ukrycia niczym diablak z pudełka. W innej, mniej dramatycznej sytuacji, mogłoby się to wydawać nawet zabawne. Ale akurat teraz Steve'owi było zupełnie nie do śmiechu.

Summer wyszła po chwili ze sklepiku. Oznajmiła:

- Mam kanapki, jabłka, colę i drobne.

Zostawił ją z pekińczykiem i motocyklem. Wszedł do budki telefonicznej. Zdjął kask, wrzucił garść monet w szczelinę automatu, wybrał numer. Kierunkowy 615. A potem 555 - 2101. Nie czekając na wybrzmienie sygnału, zaczął niecierpliwie wykrzykiwać w słuchawkę:

- Halo! Halo! Elaine?

- Steve, to ty?

. - Tak, co z Corey?

- Steve, mają ją! - Elaine była roztrzęsiona i przerażona. - Mój Boże, wpadli tu i zabrali małą, to znowu przez ciebie, ja już...

Nagle w słuchawce rozległy się odgłosy szamotaniny, ktoś najwyraźniej odciągnął Elaine od telefonu, pewnie ją nawet uderzył, bo jęknęła boleśnie.

- Calhoun? - odezwał się po chwili z drugiej strony jakiś mężczyzna.

- Kto mówi?

- Nieważne. Ważne, że mamy twoją córcię.

- Tylko spróbujcie zrobić jej krzywdę, to wam...

Tamten roześmiał się.

- Człowieku, gównu możesz. Masz tylko jedną szansę: powiedz, gdzie jest samochód!

Steve doskonale wiedział, że zdradzając miejsce zaparkowania furgonetki, wyzbyłby się swego jedyne go atutu, jedynej karty przetargowej, i w ten sposób pozbawiłby wszelkich szans Corey, Elaine, Summer i siebie samego. Wiedział, że mu absolutnie nie wolno iść na współpracę z grupą bezwzględnych drani wplątanych w narkotykowe machinacje, które z narażeniem życia próbował zdemaskować. Wiedział, że musi grać na zwłokę i wciągnąć ich w układy. Ubić interes, wymienić samochód na córkę. A równocześnie ściągnąć na miejsce

transakcji, kogo się tylko da, dla zapewnienia sobie bezpieczeństwa i zdemaskowania przeciwnika. Prasę, radio, telewizję... I znajomych oficerów policji, co do których mógł mieć nadzieję, że są czysti: dawnego szefa z Nashville, Lesa Cartera, Homera Tremaine'a z FBI, Larry'ego Kendricka z DEA, agencji do zwalczania narkotyków... Taki miał plan, może nie najdoskonalszy, ale na pewno lepszy niż nic.

- Nie tak prędko, palancie! - odciął się ostro tamtemu.

- Sam jesteś palant. Nie pamiętasz, że mamy dzieciaka?

- Pamiętam. Idę na wymianę.

- Dziewczyna za wóz?

- Na przykład. Interesuje was coś takiego?

- Owszem. Powiedz, gdzie jest samochód, a córeczka zaraz wróci do mamusi.

- Człowieku, nie bierz mnie za głupka! - Steve roześmiał się nerwowo swemu rozmówcy prosto w ucho. - Dyskutujemy poważnie?

Tamten zreflektował się, gdy pojął, że ma do czynienia z wytrawnym, inteligentnym i mimo zdenerwowania opanowanym graczem. Przytaknął niechętnie:

- Owszem.

- No to posłuchaj. Dowiedziecie moje dziecko tam, gdzie wam wskażę. Spotkamy się. Puścicie Corey wolno, a ja zostanę i zaprowadzę was do samochodu. Pokażę drogę...

- Jakie to będzie miejsce?

Steve celowo przetrzymał swego rozmówcę przez dłuższą chwilę w niepewności, nim odpowiedział wymijająco:

- Odległe od miejsca postoju samochodu, to na pewno... . Tamten zniecierpliwił się:

- Rozumiem, podaj namiary!

„Ryba chwyciła haczyk... - pomyślał z satysfakcją Steve -można się teraz troszeczkę podroczyć!” Mruknął flegmatycznie:

- Chwila, człowieku, nie bądź taki prędko. Tamten ostrzegł:

- Calhoun, uważaj, żebyś nie przedobrzył!

- Nie ma obawy. Przywieziesz moją córkę i byłą żonę, całe i zdrowe, jasne?

Tamten zaczął się wściekać:

- Może od razu wszystkich tutejszych parafian, Calhoun?

- Bez przesady. Żona i córka. Wymiana za samochód. Umowa stoi?

Tamten burknął:

- Stoi. Dawaj namiary.

- Już się robi. Cmentarz w Murfreesboro, parking przed zakładem pogrzebowym braci

Harmon. Będę tam za jakieś trzy i pół godziny, nie wcześniej. Poczekajcie na mnie. Cierpliwości.

- Calhoun, jeśli kochasz swoją córnię, to postaraj się nas za bardzo nie zniecierpliwzić! - warknął tamten i odłożył słuchawkę.

Steve wyszedł z kabiny. Powtórzył Summer w skrócie treść rozmowy. Przełękła się.

- Przecież oni pozabijają nas wszystkich; Corey, Elaine, ciebie, mnie... Jak tylko dostaną samochód, dopadną nas, prędzej czy później!

Uśmiechnął się do niej, pogładził ją po policzku i zapewnił:

- Złotko, nie musisz się niczego bać. Ta wymiana to nie wszystko. Mam dla tych drani niespodziankę. I plan. Zaufaj mi.

ROZDZIAŁ 36

Wrócił do kabiny telefonicznej, zadzwonił zgodnie ze swym planem tu i tam. Przyciśnięty naturalną potrzebą wszedł na chwilę do toalety, potem oznajmił Summer krótko:

- Jedziemy! Później ci opowiem o szczegółach. Nie oponowała. Wspięła się na siodełko. Nie wspomniała ani słowem, że nie wytrzymała napięcia i na wszelki wypadek zaczęła działać równolegle według własnego planu. Że kiedy on był w ubikacji, zatelefonowała do Sammy'ego...

Ujechali jakieś pięć mil i zatrzymali się na opustoszałym leśnym parkingu.

- Zdaje się, że zrobiłaś zakupy, Summer? Najwyższy czas coś przegryźć - stwierdził Steve.

Była tego samego zdania. Muffy również. Usiedli przy drewnianym stoliku, dzieląc się z psiakiem, zaczęli pochłaniać pyszne kanapki z szynką. Steve zreferował Summer swój plan.

- Więc zawiadomiłeś DEA i FBI, i prasę... - zaczęła wyliczać z podziwem.

- I mojego byłego szefa z policji stanowej - przypomniał. - I telewizję, stację WTES.

- Telewizję?

- Im więcej będzie świadków, tym lepiej, tę sprawę trzeba maksymalnie nagłośnić dla bezpieczeństwa nas wszystkich. Dzwoniłem do ludzi, których znam, z lepszej albo gorszej strony. Rudd Guttelman z „Nashville Sentinel” sporo napisał o mnie i Deedee. Janis Welsh z WTES - TV zrobiła reportaż, podobno nawet dostała nagrodę...

- A jeśli przypadkiem zadzwoniłeś do kogoś, kto też jest wplątany w tę aferę narkotykową? - zapytała Summer, która wciąż wprawdzie powtarzała sobie w duchu, że stary Sammy Rosencrans na pewno nie jest, ale mimo to nie była w stanie uwolnić się od niepokoju.

Steve stwierdził:

- Z Larrym Kendrickiem z DEA służyłem w piechocie morskiej. Wiem, że można na nim polegać.

- A inni, Steve?... Co z innymi?

- Mówię ci, wybrałem ludzi, których znam. Są w zasadzie pewni, chociaż do końca nigdy nie wiadomo. Narkotykowa forsa działa jak zaraza. Codziennie nowe zakażenia. Ludzie się temu poddają. Gliniarze tak samo jak inni. Carmichael to gliniarz, ten Charlie chyba też, i tamten trzeci typ z twojej piwnicy...

- Steve, dlaczego umówiłeś się z nimi na cmentarzu w Murfreesboro, a nie od razu tam nad jeziorem Cedar Lake? To by przecież uprościło sprawę...

- Po pierwsze, dlatego że na cmentarz znacznie łatwiej trafić. Jest tylko jeden w mieście. Nikt się nie pomyli. Po drugie, cmentarz to dobre miejsce do rozegrania pojedynku. Ustronne, spokojne... Po trzecie, właśnie o to mi chodziło, żeby się z nimi spotkać daleko od samochodu. Gdyby przypadkiem coś nie wyszło, wiesz, z mediami, FBI, DEA i tak dalej, zostanie mi jeszcze ostatni as w rękawie.

- Miejsce postoju furgonetki?

- Ano właśnie!

- Sprytny jesteś! - stwierdziła Summer z trochę wymuszonym uśmiechem.

Zdawała sobie sprawę, jak bardzo Steve się denerwuje. Chciała go podbudować tą pochwałą. O asie ukrytym w jej rękawie nie wspomniała. Nie miała jakoś odwagi przyznać się, że na niego postawiła. Wszystko na tę jedną kartę.

- Summer... - odezwał się trochę niepewnie Steve. - Tak?

- Myślę, że nie powinnaś tam ze mną jechać. Zostawię cię po drodze w jakimś w miarę zaludnionym miejscu, zadzwonisz do siostry, do Knoxville, żeby po ciebie przyjechała. Dasz mi jej numer, jutro do ciebie przekrećę...

- Nie ma mowy!

- Nie chcesz, żebym zadzwonił?

- Nie ma mowy, żebyśmy się rozdzielali!

- Będziesz bezpieczniejsza.

- Nie zostawiaj mnie!

- Zrozum, po co narażać dodatkową osobę? Wystarczy już, że tam będzie Corey i Elaine... Zrozum, to mi ułatwi działanie, jeśli będziesz na dystans od tego wszystkiego, bezpieczna...

- Rozumiem - zgodziła się w końcu trochę bez przekonania. Steve zapewnił ją:

- Wrócę po ciebie. Nie chcę cię stracić, kochanie! Szepnęła tłumiąc łzy:

- Ja też nie chcę cię stracić, Steve! Machnął ręką.

- Złego diabli nie wezmą!

Pochylił się, żeby ją pocałować. Ponad jego ramieniem Summer dostrzegła kątem oka coś, co wprawiło ją w osłupienie i lęk - trzy nadjeżdżające samochody: białego forda, policyjną karetkę patrolową z kogutem na dachu i... granatowego Lincolna! Zatrzymały się na skraju parkingu, w odległości nie większej niż pięćdziesiąt metrów. Nie była w stanie wykrztusić ani słowa, ale Steve poznał po jej minie, że coś jest nie w porządku. Zerknął za

siebie i natychmiast pociągnął Summer za rękę w stronę motocykla. Pomyślała, że ruszą w las, żeby uniknąć pogoni, spięła się w sobie, zamierzając wskoczyć na siodełko...

Niestety! Było już za późno na ucieczkę. Z wozu patrolowego wyskoczyli dwaj młodzi gliniarze, jeden z nich błyskawicznie wycelował z trzymanego w obydwu rękach pistoletu do Steve'a i krzyknął głośno:

- Nie ruszać się! Ręce do góry!

Summer zastygła w bezruchu. Rozszerzonymi z przestachu oczyma popatrzyła na policjanta i na tego drugiego, który celował prosto do niej... Ostatecznie jednak zmartwiła z przerażenia dopiero wtedy, kiedy w wysiadających z lincolna cywilach rozpoznała Carmichaela i tego trzeciego typa z piwnicy, obsikanego przez Muffy. Był jeszcze jeden facet, w białej koszuli i brązowych spodniach. Wyskoczył z forda i zaczął rozmawiać z kimś z przejęciem przez telefon komórkowy.

ROZDZIAŁ 37

Steve zaklął pod nosem i rad nierad wykonał polecenie policjanta. Ten pokrzykiwał dalej:

- Ręce do góry! Pani też! Ręce do góry! Nie ociągać się! Wyżej!

Oszołomiona Summer nie bardzo wiedziała, czego on od niej chce. Miała dziwne wrażenie, że przyśnił jej się jakiś zły sen. Tylko zły sen.

- Ręce do góry! Pani też! Przecież mówię! - wrzeszczał gliniarz.

- Ona nie ma broni! Ja też nie mam broni! - odkrzyknął mu Steve.

- Ręce do góry!

Summer ocknęła się z odrętwienia. Uprzytomniła sobie, że nie śni, że cały ten koszmar rozgrywa się na jawie. Że ona i Steve naprawdę zostali osaczeni, że policjanci mają ich na muszkach.

Podniosła ręce do góry. Instynktownie szukając obrony, oparcia w trudnej, beznadziejnej wręcz sytuacji, zrobiła pół kroku w stronę Steve'a.

- Nie ruszać się! - wrzasnął policjant. - Położyć się na ziemi, obydwójcie! Padnij!

- Ta pani jest synową szefa policji z Murfreesboro. Nie podróżuje ze mną z własnej woli. Trzeba z nią delikatnie – próbował tłumaczyć rozgorączkowanym gliniarzom Steve.

Usłyszał w odpowiedzi:

- Niech sobie będzie nawet synową prezydenta. Na ziemię!

- Spokojnie, Summer - odezwał się Steve. - Rób, co każą, połóż się na brzuchu, nie chowaj rąk, leż tak, żeby je stale widzieli.

Zrezygnowana zastosowała się do jego wskazówek. Jeśli miała jeszcze jakąś nadzieję, to tylko taką, że ci dwaj umundurowani policjanci nie należą do skorumpowanej narkotykowej bandy Carmichaela i po prostu ulokują ich w areszcie, i może wtedy...

Gliniarze zbliżyli się ostrożnie, założyli kajdanki najpierw Steve'owi, potem jej. Skuli im ręce z tyłu.

- Wstawać!

Steve podniósł się o własnych siłach, roztrzęsioną Summer policjanci musieli dźwignąć.

- Do wozu!

Steve ruszył przodem. Summer powlokła się za nim

- Weźcie psa! - polecił umundurowanym funkcjonariuszom milcząco dotąd

Carmichael. - Zatrzymanych do lincolna! Psa też, razem z państwem.

- Tak jest, sir - odpowiedział służbiście jeden z nich.

Zbliżył się do Muffy, ta zawarczała ostrzegawczo.

- Dobry piesek! No, chodź tu, piesku - powtarzał gliniarz, nie mając jakoś odwagi chwycić pekińczyka gołą ręką. - Jak ma na imię, proszę pani? - zwrócił się do Summer nawet dość sympatycznym tonem.

- Muffy - odpowiedziała z rezygnacją.

Nim zdążyła wsiąść za Steve'em do samochodu, podbiegł do niej facet w białej koszuli i brązowych spodniach. Telefon komórkowy miał tym razem wsunięty do kieszeni, w rękę trzymał notes i ołówek.

- Jedno pytanie, proszę pani! Jestem James Todd z „Bryson City Post”. Naprawdę została pani porwana czy...

- Redaktorze, nie pora teraz na wywiady! - przerwał mu Carmichael.

Summer pomyślała, że może ma ostatnią już szansę przekazania informacji komuś spoza kliki wplątanej w aferę narkotykową. Wykrzyknęła:

- Steve nie zamordował tych kobiet w moim domu! To oni!

- Policja? - zdziwił się Todd.

- Wywiady będą później, redaktorze! - zniecierpliwiony Carmichael odsunął go dosyć delikatnie na bok, a Summer wepchnął za Steve'em do lincolna.

Dziennikarz nie dawał za wygraną. Zaczął nagabywać Carmichaela:

- A co pan ma do powiedzenia na ten temat?

- Żadnych komentarzy - odburknął tamten.

W sukurs przyszedł mu kompan w cywilnym ubraniu.

- Nie utrudniać czynności służbowych! - huknął na reportera. - Psa dawaj tutaj! - polecił policjantowi w mundurze, trzymającemu już na rękach Muffy. - Motor do bagażnika.

- Może byłoby lepiej przewieźć tych ludzi w wozie patrolowym, sir? - odezwał się drugi umundurowany gliniarz, pilnujący Steve'a i Summer z pistoletem gotowym do strzału.

- Nie trzeba. Biegnijcie we dwóch po motor.

Steve i Summer znaleźli się razem, skuci kajdankami i unieruchomieni pasami bezpieczeństwa, na tylnym siedzeniu lincolna, a Muffy pod siedzeniem. Cała trójka pilnowana przez Carmichaela. Jego kompan doglądał załadunku motocykla. Yamaha okazała się zbyt pokaźna, Summer zauważyła kątem oka, że pokrywa bagażnika nie dała się zatrasnąć i została tylko prowizorycznie przymknięta. Steve milczał. Spytała go zdesperowana:

- Co jeszcze możemy zrobić? Odrzekł krótko:

- Pomodlić się.

Miał całkowitą rację. Zza samochodu, z tyłu, rozległy się trzy wystrzały.

Steve rzekł beznamiętnym tonem:

- Dziennikarz i ci dwaj mundurowi. Widocznie byli czyści...

Po chwili zjawił się kompan Carmichaela. Usiadł za kierownicą, wrzucił coś do skrytki pod deską rozdzielczą. Carmichael zajął miejsce obok niego. Zapytał:

- Sprawa załatwiona, Clark?

- Jasne.

- A coś tam przyniósł?

- Nic specjalnego - odparł tamten i uruchomił silnik. - Telefon komórkowy, przyda mi się...

Carmichael wpadł w złość.

- Telefon komórkowy? Dupek z ciebie, Clark, jak będziesz go używał, to zaraz cię namierzą, a jak nawet nie będziesz, a ktoś go u ciebie znajdzie - masz przesrane. Przecież to telefon tego reportera, palancie, każdy głupi by się domyślił, żeś miał coś wspólnego z jego wycieczką na tamten świat...

Clark spojrział zawstydzony na kompana.

- Jakoś nie skapowałem - mruknął. - Zaraz wypieprzę tego komórkowca.

- Jasne! Chociaż nie... Mam pomysły. Na razie możesz go zostawić, tylko czasem nie próbuj go używać.

Clark posłusznie kiwnął głową i zajął się prowadzeniem wozu. Carmichael odwrócił się do tyłu. Przyoblekł twarz w krzywy uśmiezek i stwierdził:

- Wszystko przez ciebie, Calhoun. Trzech facetów musiało się przenieść na tamten świat.

Steve zapytał posepnie:

- Czemuście ich wykończyli, Carmichael?

- Nie szło inaczej. Jeden z tych dwóch młodzików z patrolu znał mnie. Geoff Murray spotykał się z moją córką, prawie zięć... Ktoś was rozpoznał na stacji benzynowej, zawiadomił miejscowych gliniarzy, że właśnie widział parę niebezpiecznych przestępców, co to o nich pisały gazety. Murraya i tego drugiego wysłali, żeby sprawdzić. Ten pieprzony reporter musiał podsłuchać policyjny radiotelefon i też się napatoczył.

Mieli, biedacy, pecha, że nam weszli w paradę, jechaliśmy akurat po ciebie, kiedy zadzwoniłeś do byłej żony, tośmy cię zgrabnie namierzyli, ma się tę aparaturkę...

- Człowieku, nie musieliście do nich strzelać! - przerwał Carmichaelowi Steve.

- Musieliśmy, musieliśmy... Redaktorek miał za długi nos, a ci dwaj mundurowi smarkacze za czyste rączki. Zawieźliby was jeszcze nie tam, gdzie trzeba, zdążylibyście narobić hałasu...

- Ona już nagadała reporterowi... - wtrącił się Clark, wskazując ruchem głowy Summer -... że to myśmy ukatrupili te dwie flądry u niej domu!

- Nie pękaj, chłopie! Ten reporter już o tym nie napisze - uspokoił go Carmichael.

- Ano tak! - Clark trzepnął się ręką w czoło i umilkł.

Carmichael podjął na nowo swój cyniczny wywód:

- To cholernie przykre strzelać do kolegów po fachu, jeszcze ten Murray, prawie zięć. No, ale pierwsza rzecz - nie umoczyć własnej dupy. Zresztą tamci trzej pójdą na twój rachunek, Calhoun, a my z Clarkiem jeszcze wyjdziemy na bohaterów. Upozoruje się wszystko tak, żeśmy zdybali zabójcę dwu kobiet, dwóch policjantów i dziennikarza. Jego telefon komórkowy będziesz miał w kieszeni, ma się rozumieć, na dowód.

Calhoun, zechcesz się ostrzeliwać w czasie pościgu i trzeba będzie cię zranić. Śmiertelnie! Procesu nie doczekasz, kary nie odsiedzisz...

Carmichael zachichotał skrzekliwie. Steve odezwał się:

- Ubiłem mały interes z twoimi kumplami. Wiesz coś o tym?

- Jasne. Furgonetka za córkę?

- Tak.

- Ten numer nie przejdzie, Calhoun. Pogramy sobie inaczej. Po co się fatygować gdzieś na cmentarz? Zaraz mi powiesz, gdzie zostawiłeś wóz, a ja cię potem elegancko kropnę w łeb! Odpowiada?

- Jak chcesz mnie zabić, to po co mam ci mówić, gdzie jest wóz?

- Żeby cię przed śmiercią nie męczył, Calhoun - warknął z jadowitym uśmieszkiem Carmichael. - I żebym nie męczył tej damy - wskazał na Summer. - Ani nie zrobił krzywdy twojej córeczce. Pamiętaj, że ją mamy. Jak przyjmiesz nasze warunki i nie będziesz niczego utrudniał, odwieziemy ją z powrotem do mamusi.

- Zobacz no, Carmichael, mam tramwaj w oku?

- Ejże, Calhoun, nie myśl sobie! Ja w głębi serca jestem miękki i też mam córki w domu, aż cztery... Jak nie będę naprawdę musiał, to nie zrobię dziewczuszce krzywdy.

- Jaką będę miał gwarancję?

- Moje słowo honoru.

- Swoim honorem, Carmichael, to możesz się podetrzeć...

- No, no, uważaj! I popatrz na to inaczej. Wydasz nam samochód, a nie będziesz pewien, czy nie wykończymy twojej córki, no nie? Ale nie wydasz samochodu, to masz jak w banku, że ją wykończymy! Które wyjście wybierzesz?

Steve nie odpowiedział. Odezwał się dopiero po dłuższej chwili milczenia:

- Carmichael, dlaczego babrzesz się w tym gównie? Jesteś gliniarzem. Nic to dla ciebie nie znaczy?

- Drętwa mowa, Calhoun. Jakby więcej płacili, toby więcej znaczyło! A tak... Człowiek musi sobie dorobić na boku.

Steve rzucił z ironią:

- Gówno nie gówno, forsa jakoś nie cuchnie?

- A żebyś wiedział!

Steve skrzywił się.

- Carmichael, jak już mam nie żyć, to niech chociaż zaspokoję ciekawość. Co jest w tej furgonetce, że wam na niej tak cholernie zależy?

Carmichael uśmiechnął się szeroko. - Forsa, człowieku! Mogę ci śmiało powiedzieć, boś już trup - forsa! Dolce, człowieku, piętnaście baniek gotówką! Wszystko elegancko poutykane w trumienkach, żeby nie podpadło na granicy, nieboszczyki pilnują... Można powiedzieć, śpią sobie na pieniążkach. Troszkę są nawet wypchani zielonymi, nasi drodzy zmarli! - Carmichael zdobył się na dowcip. Steve uśmiechnął się kpiąco.

- Musiało was niezłe trafić, jakeśmy wam podpieprzyli tę brykę z forszą, no nie?

- Jasne! - przytaknął Carmichael. - Jasny szlag, byliśmy umówieni z dostawcami, to nerwowi goście, kartel z Cali, z Kolumbii, możeś słyszał? Towar odebrany już wcześniej, pora na zapłatę, a tu zapłata fiu... Nie byli zadowoleni, jakeśmy im powiedzieli, co się stało z gotówką. Dali nam trzy doby na odzyskanie tej forsy, niecierpliwi goście... Dzisiaj o drugiej w nocy upływa termin. Tak że wiesz, Calhoun... - Carmichael wyciągnął nagle z zanadza pistolet i przystawił wylot lufy do czoła unieruchomionej Summer -... jak będziesz nas za długo zwodził, przyspieszymy sprawę, kropnę w łeb tę twoją damulkę! Nawet jej się należy za Charlie'ego, biedaczysko jest w szpitalu, całą gębę mu ze smażyła ta wiedźma, oj, chciałby pewnie tu być teraz z nami i dostać ją w swoje ręce! Ale nie mamy czasu, nie będziemy czekać, aż się nam Charlie wykuruje. Musimy się śpieszyć, Calhoun, więc lepiej gadaj od razu, dokąd mamy jechać, bo jak nie...

Carmichael znacząco zawiesił głos. Przerazona Summer wstrzymała oddech. Steve odezwał się:

- Człowieku, schowaj tę pukawkę. Musimy jechać nad jezioro Cedar Lake. Tam jest

taki hangar na łodzie, przechowalnia, na zachodnim brzegu, jeśli dobrze pamiętam, nazywa się „Watersports Sales, Service and Storage”.

- Mam nadzieję, że pamiętasz dobrze, Calhoun. Tymczasem nie wykończę twojej damy. Poczekam z tym. Nie chcę sobie narobić nieporządku w samochodzie.

- W życiu sobie narobiłeś nieporządku, Carmichael - stwierdził posępnie Steve. - Będziesz siedział po uszy w gównie aż do usranej śmierci!

- Calhoun, licz się ze słowami! - Wąsaty zbir znów sięgnął po pistolet.

- Spoko, Carmichael, weź na wstrzymanie. Jeszcze nie masz tej furgonetki - mruknął Steve.

Zamilkł, przymknąwszy oczy.

Summer spojrzała na niego i zadała sobie w duchu pytanie: „Modli się czy obmyśla jakiś nowy plan?”

ROZDZIAŁ 38

Musiało już być około ósmej, kiedy dotarli nad Cedar Lakę. Wcześniej, na jakiejś stacji benzynowej, Clark zatrzymał wóz i wysiadł, żeby zadzwonić i skorzystać z ubikacji. Carmichael odwrócił się do tyłu i wycelował do Summer i Steve'a z pistoletu. Trzymał go dyskretnie, tak by nikt z przypadkowych obserwatorów nie domyślił się, że zajęty jest czymś innym niż prowadzeniem towarzyskiej pogawędki z pasażerami z tylnego siedzenia. Po chwili Clark wrócił i znów w czwórkę ruszyli dalej. Nie zdarzył się żaden cud.

Kiedy dojechali do jeziora, słońce zaczęło się już chylić ku zachodowi. Summer, rozpoznawszy drogę prowadzącą prosto do miejsca postoju furgonetki, pomyślała z rezygnacją: „Zbliży się koniec dnia i koniec naszego życia. Jeszcze trochę i Carmichael nas wykończy. Jak tylko odzyska forszę. Jak tylko wypchnie nas z lincolna, żeby nie poplamieć sobie tapicerki...” Spojrzała na wyłożone słoneczną poświatą jezioro, na którego spokojnej toni tu i tam kołysały się jachty i łodzie. Wakacyjny raj. Piękny czas na odejście do raju... Nie!!!

- Którędy dalej, Calhoun?

Steve zaczął spokojnie udzielać wskazówek. „Boże, jak można być takim opanowanym w obliczu śmierci?” - zastanawiała się Summer. I próbowała się modlić: „Ojczy nasz, któryś jest w niebie... Nie, lepiej to: Wieczny odpoczynek racz nam dać Panie, a światłość wiekuista... Nie, Boże, nie pozwól na to! Boże, wielki Boże!!!”

Dojechali na miejsce. W świetle dziennym wszystko prezentowało się trochę inaczej niż w nocy, ale Summer nie miała wątpliwości: te same hangary z falistej blachy, to samo ogrodzenie, brama...

- To na pewno tutaj, Calhoun?

- Na pewno.

Summer spojrzała na Steve'a. Robił wrażenie człowieka śmiertelnie zmęczonego i całkowicie zrezygnowanego, zobojętniałego na wszystko. Robił wrażenie, czy faktycznie był kimś takim? Summer nie potrafiła sobie odpowiedzieć na to pytanie, wciąż jednak miała nadzieję, że Steve nie wycofał się jeszcze z gry, że wciąż kryje jakiegoś asa w rękawie. Miała nadzieję. Przynajmniej próbowała mieć...

Nim granatowy lincoln podkołował pod bramę, pojawił się za nim jakiś inny wóz. „Boże, miałyby to być ratunek?” - pomyślała Summer, zerknąwszy ostrożnie przez ramię. Niestety, Clark niemal natychmiast rozwiązał jej złudzenia, mówiąc spokojnie do Carmichaela:

- Już są.

Carmichael pokiwał głową i mruknął.

- No to jesteśmy w komplecie.

- To znaczy? - ożywił się Steve.

- To znaczy, że nie opłaca ci się kręcić, Calhoun, bo twoja córka jest już z nami. Uch, nie chciałbym się znaleźć w jej skórze, człowieku, jakby furgonetki miało tu nie być!

- Jest - uciał krótko Steve.

Clark zatrzymał wóz przed bramą, opuścił szybę.

- Podaj kod! - zwrócił się do Steve'a.

Steve zmarszczył brwi, na czoło wystąpiły mu kropelki potu. Wyjąkał:

- T...tak, już podaję, jak to było... aha, dziewięć - z..zero... aha, cztery - siedem!

Clark wybrał cyfry. Brama ani drgnęła. Steve pocił się coraz mocniej.

- Zaraz... może się pomyliłem, jak to szło... Spróbuj dziewięć - dwa - osiem - jeden.

Clark nacisnął kolejno odpowiednie klawisze. Znów nic. Steve przygryzł ze zdenerwowania dolną wargę. Jęknął:

- Rany boskie, coś mi się musiało pokręcić! Zaraz...

Carmichael nakierował lufę pistoletu prosto na Summer.

Warknął:

- Przypomnij sobie jak najszybciej, Calhoun, bo rozwalę łeb twojej damulce bez wysiadania z samochodu, a córeczka będzie następna w kolejce...

- Dziewięć - jeden - osiem - dwa? Brama nadal nie chciała się otworzyć.

- Ostatnia szansa, Calhoun! Summer zamknęła oczy. Nawet nie próbowała odtwarzać sobie szyfru, nigdy nie miała pamięci do liczb. Zaczęła odmawiać modlitwę... Steve wykrztusił:

- Spróbuj... dziewięć - jeden - dwa - osiem. Brama nareszcie drgnęła i po chwili stanęła otworem. Oby dwa samochody wtoczyły się na dziedziniec. - Który hangar, Calhoun?

- spytał Carmichael.

- Ostatni na lewo. Podjechali.

- Tutaj? - upewnił się Carmichael. - Tak.

- Jak się można dostać do środka?

- Klucz jest w skrytce, na lewo od tych przesuwanych drzwi, pod taką obłuzowaną płytką...

- Chodź, pokażesz mi.

Carmichael wysiadł i wyciągnął Steve'a z wozu na zewnątrz. Podeszli do budynku.

Steve Calhoun całkowicie posłuszny swemu przyszłemu zabójcy? Bohater pokonany i poniżony? A może raczej - walczący do ostatka, z pogardą śmierci, o życie córki i ukochanej kobiety?

Drzwi przesunęły się z przejmującym zgrzytem. Wnętrze hangaru ziało czernią. Carmichael skinął na Clarka, ten również wysiadł i wyprowadził z samochodu Summer. Z trudem utrzymywała się na nogach. Clark chwycił ją brutalnie za ramię, pociągnął naprzód. Ruszyła potykając się. Usłyszała z tyłu jakieś kroki, zerknęła przez ramię. Dwóch typów prowadziło w stronę hangaru zapłakaną, przerażoną nastolatkę w różowym podkoszulku, kwiecistych szortach i białych, dzieciennych jeszcze sandałkach.

Steve z Carmichaelem weszli do środka pierwsi. Summer i Clark znaleźli się w mrocznym hangarze w chwilę później. Kiedy dwaj pozostali prześladowcy wprowadzili tam małą Corey, ta, zobaczywszy ojca, wyrwała im się i podbiegła do niego z płaczem.

- Tatusiu! Ojej, tatusiu!

Zarzuciła mu ręce na szyję. Steve, skuty kajdankami, nie mógł jej objąć ani przytulić.

Zapytał tylko:

- Wszystko w porządku, Corey? Nie zrobili ci krzywdy?

- Nie, ale tak się boję...

- Nie bój się, malutka. Nic się nie bój, wszystko będzie dobrze! Summer z trudem powstrzymywała się od płaczu. To spotkanie ojca z córką, po przeszło trzech latach niewidzenia się, w dramatycznych, tragicznych wręcz okolicznościach, było takie wzruszające...

Okoliczności okazały się jeszcze bardziej tragiczne, niż można było przypuszczać. Kiedy wilgotne od łez oczy Summer przyzwyczyły się do panujących w hangarze ciemności na tyle, że mogła się trochę rozejrzeć, stwierdziła ze zgrozą: poszukiwany przez Carmichaela i jego kompanów samochód ze zwłokami i pieniędzmi zniknął! W obszernym, prostokątnym pomieszczeniu stały na kozłach tylko jakieś poniszczone łodzie, nic więcej.

ROZDZIAŁ 39

Spojrzała na Steve'a, on na nią. Robił wrażenie całkowicie zdezorientowanego. A więc samochód zniknął naprawdę! A więc jego zniknięcie nie jest częścią jakiegoś sekretnego planu, opracowanego przez Steve'a Calhouna! A więc zwiastuje zgubę, nie ratunek!

Zniecierpliwiony Carmichael zaczął się wściekać.

- Gadaj, Calhoun, gdzie jest wóz?

- Tutaj go zostawiłem.

- Co znaczy - tutaj?

- Tu, niedaleko. Jak wypuścicie moje dziecko, powiem dokładnie gdzie...

„Dzielny Steve, do końca nie daje za wygraną, do końca próbuje blefować! - pomyślała ze wzruszeniem Summer. - Dzielny Steve! Biedny Steve... Do licha, to przecież już koniec”.

- Ty gnojku, ja ci tu zaraz powiem, ja ci tu zaraz pokażę...

Carmichael chwycił małą Corey za ramię tak brutalnie, że aż jęknęła z bólu. Steve kopnął go, broniąc dziecka, trafiony kolbą pistoletu w głowę zachwiał się jednak i półprzytomnie opadł na kolana. Clark zarechotał szyderczo, Corey zaczęła przeraźliwie krzyczeć.

„To już koniec!” - pomyślała z rozpaczą Summer i zaczęła żegnać się w duchu z życiem, gdy nagle...

Nagle błysnęło ostre światło i rozległ się okrzyk:

- Ręce do góry! Stać! Nie ruszać się!

Zza burt zdezelowanych łodzi i jachtów wyskoczyło błyskawicznie kilku uzbrojonych po zęby mężczyzn w policyjnych mundurach i po cywilnemu, za nimi wysypali się następni. Uformowali krąg wokół Steve'a, Summer, Corey i czwórki ich prześladowców. Wycelowane karabiny i pistolety. Głośne okrzyki:

- Ręce do góry!

- Rzucić broń!

- FBI! - DEA!

- Policja!

- Jesteście aresztowani!

Zbaraniałe gęby Carmichaela i jego kompanów. To już koniec? Przewaga liczebna uczciwych stróżów prawa nad czwórką skorumpowanych zbirów była tak wielka, że ci ostatni

nie mieli żadnych szans. Musieli dać się zakuć w kajdanki i wyprowadzić na zewnątrz.

- Sammy? - wykrzyknęła tyleż uradowana, co zdziwiona Summer na widok byłego teścia.

Uśmiechnął się do niej i pomachał z daleka ręką, zajęty tymczasem finalizowaniem czynności służbowych. Skąd Sammy Rosencrans mógł wiedzieć, że trzeba czekać na nich właśnie tutaj? Przez telefon przecież nie wspomniała mu o tym miejscu ani słowem, a tylko o cmentarzu w Murfreesboro i domu przedpogrzebowym braci Harmon. Nie miała czasu się nad tym dłużej zastanawiać. Podbiegła do Steve'a, który po uderzeniu kolbą nie zdążył jeszcze dźwignąć się na nogi, ale już na szczęście oprzytomniał. Corey klęczała przy nim, popłakując i równocześnie uśmiechając się przez łzy.

Summer spytała: | - Zaplanowałeś to, Steve?

Mruknął niepewnie:

- W pewnym sensie...

- Tatusiu, tak się bałam! - poskarżyła się Corey.

- Ja też się bałem, kochanie.

- Ale nas uratowałeś, prawda?

- W pewnym sensie...

- Tatusiu, tak strasznie za tobą tęskniłam! - Corey zarzuciła Steve'owi ręce na szyję. -

Już teraz o mnie nie zapomnisz, prawda?

- Nigdy o tobie nie zapomniałem, córeczko...

- To dobrze - uspokoiła się.

Spojrzała uważnie na Steve'a. Wykrztusiła:

- Czy... czy oni cię pobili? Masz taką pokaleczoną twarz...

- Nic mi nie będzie, do wesela się zagoi. Parę dni temu było gorzej, prawda, Summer? Corey, to jest Summer. Wyciągnęła mnie z niemałych tarapatów. Uratowała mnie! Summer, to jest właśnie moja Corey...

Summer postarała się o promienny uśmiech, ale dziewczynka spojrzała na nią raczej nieufnie. Spytała z niedowierzaniem:

- Pani uratowała mego tatę? Niby jak?

Summer nie bardzo wiedziała, co odpowiedzieć, bezradnie wzruszyła ramionami. Na szczęście Steve ją wyręczył w wyjaśnieniach:

- Wypuściła swojego psa na jednego takiego drania.

- I co, pogryzł go?

Steve wybuchnął śmiechem.

- Nie, obsikał.
- Tato, nabijasz się ze mnie! - obruszyła się Corey.
- Ani trochę, bo widzisz...

Steve nie zdążył dokończyć wyjaśnień, ponieważ przerwał mu je wysoki, muskularny mężczyzna w szarym garniturze, wyciągając zza pazuchy coś kosmatego i mówiąc:

- Znaleźliśmy to w lincolnie, podobno należy do ciebie...

Steve uśmiechnął się i stwierdził:

- To jest pies, należy do tej pani. - Ruchem głowy wskazał Summer.

Po czym dodał:

- Miło cię widzieć, Les.
- I ja się cieszę, stary. Bardzo proszę - mężczyzna zwrócił się do Summer - oddaję zgubę...

- Chętnie bym ją od pana wzięła, ale... te kajdanki... Corey, czy mogłabyś potrzymać Muffy, zanim mi je zdejmą?

- Ja? No jasne!

Tym razem na twarzy dziewczynki zagościł promienny uśmiech. Wzięła Muffy na rękę, usiadła z nią po turecku na podłodze. Psiak liznął ją z sympatią w podbródek, ona zaczęła go głaskać.

- To suczka?
- Tak - odpowiedziała Summer.
- Jest taka śliczna!
- Lubisz psy?

- Bardzo! Szkoda, że mama za nimi nie przepada... Pomiędzy dwiema tak ważnymi w życiu Steve'a kobietami nawiązała się przyjacielska rozmowa. Pierwsze lody zostały przełamane.

- Corey, lepiej uważaj na tego zwierzaka! - przestrzegł małą facet w garniturze. - Sika na ludzi, nasikał mi na nogę.

- Naprawdę? Tato, nie nabijałeś się? Naprawdę sika? Naprawdę Summer i Muffy uratowały ci życie?

- Przecież już ci mówiłem, niedowiarku! - potwierdził z uśmiechem Steve. - Les - zwrócił się do mężczyzny w garniturze - jak tu, u licha, trafiłeś ze swymi chłopakami, przecież mieliście czekać na cmentarzu w Murfreesboro?

- Mamy swoje sposoby...
- Zanim wyjawisz jakie, mógłbyś coś zrobić z tymi obrączkami?

Les klepnął się dłonią w czoło.

- No jasne, przecież po to przyszedłem! Odebrałem klucz temu idiocie Clarkowi. Wiesz, co mi zaproponował? Żeby go puścić wolno, bo ma tylko dwa lata do emerytury. Cholera, tam gdzie trafi, żadna emerytura nie będzie mu potrzebna! Gdzie ten klucz? - zaczął szukać po kieszeniach. - No, jest, już otwieram...

Pochylił się nad Steve'em. Ten zaczął mu wyjaśniać:

- Les, musisz wiedzieć, że Clark i Carmichael zabili dwóch gliniarzy i reportera, a wcześniej jeszcze dwie kobiety...

- Wiem, wiem. Mamy to na taśmie.

- Na taśmie?

- Tak. Ten reporter, Todd, przekazywał akurat wiadomość do redakcji przez telefon, kiedy ci dranie go kropnęli. Tam ktoś nagrywał tekst, żeby go potem spisać z taśmy, wszystko słyszał po drugiej stronie, zawiadomił natychmiast policję... Clark i Carmichael zabrali Toddowi jego komórkowiec i na szczęście nie wyłączyli. Jakaście tu jechali, mogliśmy przez cały czas prowadzić nasłuch, stąd wiedzieliśmy, dokąd ich prowadzisz. Chłopie, tak głośno i wyraźnie podawałeś namiary, że jechaliśmy na pewniaka...

- Wiedziałeś, że ten telefon działa? - wtrąciła pytanie Summer.

- Miałem nadzieję... Nawet nie to! Modliłem się, żeby tak było - odpowiedział Steve z zadumą.

- Więc jednak był jakiś as w rękawie... - mruknęła z cicha Summer.

- Słucham?

- Nic, nic.

Do hangaru wszedł umundurowany policjant, wyprężył się przed Lesem. Ten spytał:

- O co chodzi, Grogan?

- Zgłosił się jakiś facet z firmy ochroniarskiej, sir, mówi, że przyszedł skontrolować obiekt, bo ktoś trzy razy z rzędu wybierał niewłaściwy kod na bramie... Włączył się u nich alarm, mają umowę z właścicielem, żeby w takich przypadkach sprawdzać tę budę.

- Powiedz mu, że policja już tu wszystko sprawdziła, a właściciel został powiadomiony. Niech wraca spokojnie, skąd przyszedł.

- Tak jest, sir.

Summer z podziwem pokręciła głową, spoglądając na Steve'a. Drugi as!

- Specjalnie zapomniałeś tego kodu? - spytała, żeby się upewnić.

- Tonący brzytwy się chwyta! Nie byłem pewien, czy ten system alarmowy jeszcze działa, ale chciałem spróbować wszystkiego. Jedna szansa na milion to zawsze lepiej niż

żadna!

- Widzę, stary, że nie straciłeś głowy - stwierdził z uznaniem Les. - No, pójdę się jeszcze rozejrzeć, rozumiesz, służba...

- A moje kajdanki? - jęknęła Summer.

- O Boże, przepraszam panią bardzo, już otwieram! Pani pozwoli, że się przedstawię przy okazji, jestem Les Carter.

- Szef jednostki do zwalczania zorganizowanej przestępczości w policji stanowej, mój były zwierzchnik - wyjaśnił Steve. - A to... - dodał wskazując na nadchodzącego właśnie innego mężczyznę -... mój stary przyjaciel, Larry Kendrick z DEA.

Larry uśmiechnął się.

- Cześć, Steve! Dobry wieczór, pani McAfee. Będziemy chcieli zadać pani później kilka pytań.

- My też! - wtrącił się Les Carter.

Siwy, korpulentny jegomość z grubym cygarem w ustach huknął jowialnie od drzwi:

- Dajcie mojej synowej spokój przynajmniej do jutra, męczy dusze!

- Sammy! - Summer aż podskoczyła z radości na widok byłego teścia.

Pomyślała, że gdyby doktor Lem przypominał choć trochę swego ojca, doczekaliby jako zgodne stadło co najmniej złotych godów. Nie omieszkała podkreślić:

- Chciałeś powiedzieć byłej synowej, prawda? Od rozwodu minęło już sześć lat, Lem drugi raz się ożenił...

- Ale ze mną rozwodu nie brałaś, może nie?! Dla mnie jak raz rodzina, to już zawsze rodzina - roześmiał się starszy pan.

Wyciągnął rękę do Steve'a.

- Czołem, Calhoun.

- Czołem, szefie Rosencrans.

- Podobno Summer o mało nie przyplącała życiem twoich harców z gangsterami?

- Owszem, bardzo mi przykro, że ją naraziłem na niebezpieczeństwo.

- Żeby mi to było ostatni raz...

- Tak jest, sir.

- No, dobrze... Summer, twoja mama jest w Murfreesboro, w „Holiday Inn”. Zadzwoń do niej jak najprędzej, biedaczka odchodzi tam od zmysłów...

- Przyleciała z Kalifornii?

- Razem z twoją siostrą. A druga siostra przyjechała z Knoxville. Dowiedziały się z gazet, że jesteś poszukiwana przez policję, z miejsca mnie dopadły, żebyśmy coś z tym fantem

zrobił, nie mogłem się od nich opędzić! Mówię: jak ją znajdą, to sprawa się wyjaśni... Nie chciały nawet słuchać! No, na szczęście wszystko już z grubsza wyjaśnione. Pozwól ze mną, Carter, będziemy mieli jeszcze to i owo do zrobienia.

Sammy i Les wyszli. Steve półgłosem, tak żeby Corey nie słyszała, spytał Larry'ego Kendricka:

- Wiesz coś o Elaine?

- Jeszcze nic. Ale nie martw się, przytrzymaliśmy już tego typa z oparzoną gębą, Charlie'ego Gladwella. Był w szpitalu... Nie będzie mógł się kurować, póki nie powie, gdzie trzymają twoją żonę. Była żoną.

- Wiesz, chodzi mi o Corey.

- Nic się nie bój, wróci do dziecka zdrowa i cała! A tak w ogóle - Larry zmienił temat - to wielkie dzięki za informacje. Jesteśmy chyba na tropie niezłej, naprawdę nieprzeciętnej afery... Twoja zasługa, chłopie! Ale, ale... Gdzie w końcu jest ta furgonetka?

- Toście jej nie sprzątnęli?

- My? Nie wygłupiaj się, Steve, nie rób ze mnie balona. Gdzie jest ten wóz?

- Stary, jak Boga kocham, nie wiem! Zostawiłem ją tutaj, w sobotę... Właściwie w niedzielę rano. Summer może to potwierdzić...

Summer, napotkawszy pytające spojrzenie Kendricka, kiwnęła na potwierdzenie głową. Larry westchnął i oświadczył:

- Ktoś inny musiał ją sprzątnąć. Steve, znaczy, że jak zadzwoniłeś i ściągnąłeś mnie tutaj, naprawdę myślałeś... Nie bajerowałeś, żeby ratować tyłek?

- Do licha, nie!

- Steve, to nie wszystkich wzywałeś na ratunek do Murfreesboro, na cmentarz? - spytała Summer.

- Jak widzisz, nie. Na wszelki wypadek wolałem tu też kogoś zaprosić. Wiesz, strzeżonego... Tobie nic nie mówiłem, bo nie chciałem cię straszyć, że tam w Murfreesboro może coś nie wyjść.

„Trzeci as!” - pomyślała Summer i uśmiechnęła się promiennie.

- Znaczy, Steve... - nie dawał za wygraną Kendrick -... ty nie wiesz, gdzie jest wóz, my nie wiemy, gdzie jest wóz... A może jednak ty wiesz, co? Stary, jeżeli wiesz, to się nie wygłupiaj, tylko gadaj zaraz...

- Larry, do diabła, odchrzań się wreszcie ode mnie! Wóz zostawiłem tutaj i nie mam zielonego pojęcia, co się z nim stało.

- No, dobrze już, dobrze... - mruknął pojednawczo Kendrick. - Nie denerwuj się,

chłopie.

- Tato, jest wujek Mitch! - krzyknęła Corey, która dotąd przez cały czas w milczeniu piastowała Muffy i nie wtrącała się do prowadzonych przez dorosłych rozmów.

Summer spojrzała na wchodzącego mężczyznę, niebieskookiego, oszałamiająco przystojnego blondyna. Potem spojrzała na Steve'a. Był piekielnie zdenerwowany, cały spięty...

ROZDZIAŁ 40

Mitch natychmiast rozładował napięcie. Wyciągnął do Steve'a rękę ze słowami:

- Cieszę się, stary... Cześć, Larry - skinął głową Kendrickowi.

- Ja też się cieszę - bąknął trochę niepewnie Steve.

- Dawnośmy się nie widzieli, prawda? Cześć, gwiazdeczko! - Mitch uśmiechnął się do Corey.

- Cześć, wujciu! Zostałam porwana, wiesz?

- Wiem, wiem... Przyjechałem właśnie po to, żeby cię uwolnić.

- Tatusz już mnie uwolnił, wiesz? Wujku - rozszczebiotała się Corey - czemu tak dawno do nas nie przychodziłeś? Przecież jak tatuś odszedł, przesiadywałeś ciągle, randkowałaś z mamą...

- Ależ Corey, byliśmy z twoją mamą tylko przyjaciółmi! I wcale nie wiedziałem, że masz psa - wyraźnie speszony Mitch błyskawicznie zmienił temat.

- Nie jest mój. To piesek Summer.

Steve, który zachował kamienną twarz, wysłuchawszy sensacyjnej paplaniny córki, dokonał prezentacji:

- Summer, to Mitch Taylor. Mitch, to Summer McAfee.

Uścisnęli sobie dłonie. Summer przyznała w duchu po raz wtóry, że Mitch to istotnie mężczyzna niepospolicie piękny w każdym calu, typ gwiazdora filmowego, amanta z krainy marzeń wszystkich młodych dziewcząt. Jako dorosła kobieta wołała jednak Steve'a. Był z pewnością mniej urodziwy, ale o ileż bardziej męski! Uśmiechnęła się do niego czule. Odwzajemnił jej uśmiech. Wszedł Les Carter i poinformował Corey:

- Przywieźliśmy twoją mamę, czeka w samochodzie.

- Czy... nie jest ranna? - zaniepokoiła się dziewczynka.

- Skąd! Tylko przestraszona. Bardzo się bała o ciebie. Chodź, pojedziecie razem na nocleg do hotelu.

- Chodź, Corey. Zaprowadzę cię do mamy - wtrącił Steve. - Zaraz wrócę - dodał, zwracając się do Summer.

Corey wstała. Stwierdziła z odrobiną żalu:

- To muszę oddać Muffy.

Summer uśmiechnęła się do niej i zaproponowała:

- Jak chcesz, możesz zaopiekować się nią aż do jutra. Potem oddamy Muffy mojej

mamie, bo to właściwie jej piesek.

- Mogę, naprawdę? - ożywiła się dziewczynka.

Pewnie że tak. Jeżeli tylko twoja mama się zgodzi...

Steve, Corey i Les wyszli. Larry Kendrick skorzystał z okazji i zadał Summer pytanie:

- Jest pani pewna, że właśnie tutaj zostawiliście z Calhounem ten samochód?

- Całkowicie pewna, proszę pana. Na sto procent!

- W takim razie muszę się jeszcze rozejrzeć - bąknął wyraźnie zafrasowany i również wyszedł z hangaru.

Summer została sama z Mitchem, z legendarnym Mitchem, o którym nasłuchiwała się od Steve'a tylu niezwykłych rzeczy, że aż nie miała pojęcia, jak zacząć z nim rozmowę. Na szczęście odezwał się pierwszy:

- Niezła przygoda się wam przytrafiła, prawda? Musimy wyskoczyć w trójkę na pizzę, to mi opowiecie o wszystkim!

Nim Summer zdążyła cokolwiek na to odpowiedzieć, w hangarze zjawił się Sammy Rosencrans w towarzystwie Lesa Cartera. Starszy pan zahuczał od progu:

- No, jakoś w końcu przyparłem do muru tego tu Cartera i tamtego drugiego uparciucha Kendricka. Zgodzili się dać wam spokój do jutra. Przenocujecie tu w pobliżu, w hotelu...

Mitch skinął w milczeniu głową i wyszedł. „Żegnaj, pizzo!” - pomyślała z żalem Summer. Odkąd emocje opadły, piekielnie zaczął dokuczać jej głód. Spytała zdesperowana:

- A co z kolacją?

- Będzie, będzie! - uspokoił ją Sammy.

Les Carter zwrócił się do Summer słuźbiście:

- Pani McAfee, czy jest pani pewna, że właśnie tutaj zostawiliście furgonetkę?

Nie zdołała opanować wysoce niestosownego chichotu. Speszyla się.

- Bardzo przepraszam, ale... Właśnie przed chwilą pan Kendrick zadał mi identyczne pytanie. Tak, jestem pewna, nie mam najmniejszych wątpliwości.

- No, Carter, nie męcz jej dłużej. - Sammy nie dopuścił do dalszych indagacji. - Teraz - zwrócił się do Summer - pojedziemy we trójkę z Calhounem do miasteczka, zjemy coś, potem podrzucę was do hotelu. Macie zarezerwowane dwa pokoje.

Uśmiechnął się filuternie akcentując słowo „dwa”, Summer udała oczywiście, że nie rozumie, o co mu chodzi. Wyszli, tuż przed budynkiem natknęli się na Steve'a. W trójkę, jak zapowiedział Sammy, pojechali do najbliższej miejscowości nad jeziorem Cedar Lake, gdzie w jedynej czynnej wieczorami restauracji, „Sally's Diner”, dokładnie o dziewiątej trzydzieści

zasiedli do posiłku. Summer dużo jadła - stek wołowy, ziemniaki, sałatkę - i... równie dużo mówiła. Steve milczał i tylko skubał coś niecoś z talerza. Sammy Rosencrans nawet nie zamówił sobie posiłku - ćmił cygaro i słuchał.

Odezwał się dopiero przy kawie:

- Wiesz, Steve, ta historia z narkotykami to afera na wielką skalę. Namierzyliśmy już jakąś dwunastkę wplątanych w nią ludzi, sześciu z nich to niestety moi podwładni. Pracujemy nadal, śledztwo trwa, okaże się, czy ktoś jeszcze maczał w tym palce. I kto! Ślady prowadzą dość daleko, z naszego stanu na południe, jedno przez Georgię albo Północną i Południową Karolinę na Florydę, inne do Meksyku. Wielu ludzi się w to wplątało: politycy, biznesmeni, policjanci... Kartel z Kolumbii przerzucał do Stanów narkotyki, głównie kokainę, bardzo różnymi drogami - zakonspirowani kurierzy, przemyt przez zieloną granicę z Meksyku, prywatne samoloty i tak dalej... Wygląda na to, że głównym punktem przerzutowym było Haiti. Właśnie tam miały trafić zwłoki z tego zaginionego samochodu. Bracia Harmon magazynowali towar w grobowcach, a forsy ekspediowali w trumnach. Taki był system, chyba niezły. Celnicy nie przeszukiwali tych przesyłek, nie chcieli zakłócać spokoju zmarłym... Słuchasz mnie, chłopie?

Steve siedział nad swoją filiżanką z taką miną, że istotnie mógł się wydawać nieobecny, zatopiony całkowicie we własnych myślach, najwyraźniej przy tym ponurych, posępnych. Siedział i milczał.

- Czy bracia Harmon są w to wszystko wmieszani? - spytała Summer po trosze z ciekawości, a po trosze dla podtrzymania konwersacji.

- Prawdopodobnie tak. A przynajmniej ich pracownicy, śledztwo wykaże, kto...

- Szeffie Rosencrans, pan wie, że w tej sprawie maczały palce DEA i CIA, prawda? - odezwał się wreszcie Steve. - Już trzy lata temu zacząłem chwytać jakieś nitki, ale potem nie miałem możliwości ich powiązać.

- Nieprzewidziana przerwa w karierze, tak się pechowo złożyło, chłopie... - Rosencrans był jak zwykle jowialny, ale bez wątpienia życzliwy. - A coś ty tam konkretnie wyniuchał?

- Konkretnie niewiele, nic dla prokuratora... Zdaje mi się, że CIA zawarła z DEA mały układ. Wpuszcza się po cichu te prochy, bo razem z nimi napływają informacje wywiadowcze.

- Znaczy, że rząd pozwala szpiegom na handel narkotykami? - spytała zaskoczona Summer.

- Można to i tak ująć - odparł Steve z gorzkim uśmiechem. - Niektórzy narkotykowi

fachmani są na żołdzie CIA, infiltrują branżę, ale przy okazji prowadzą własny biznes. Pozwala im się na to po cichu. Kto wie, może nie ma innego wyjścia? Narkotyki to góra lodowa. Widać, gdzie z morza sterczy szczyt. Nie wiadomo, jak głęboko pod powierzchnią jest podstawa. I jak jest duża.

Sammy Rosencrans zmarszczył brwi, spojrzął na Steve'a spod oka i mruknął:

- Prochy to przede wszystkim góra pieniędzy.

Zaraz potem skinął na kelnerkę i uregulował rachunek.

W godzinę później Summer siedziała już w wypełnionej gorącą wodą wannie. Dostała pokój z łazienką w motelu „Dew Drop Inn”. Pożegnała się do jutra ze Steve'em i Sammym, zapewniła przez telefon matkę i siostry, że ani jej, ani Muffy nic już nie grozi, umyła włosy, korzystając z hotelowego szamponu, i z najwyższą błogością zanurzyła się w pachnącej kąpieli. Poczła się taka spokojna, taka odprężona. Pomyślała, że jeśli czegoś jeszcze jej brakuje do szczęścia, to chyba tylko... obecności ukochanego mężczyzny.

ROZDZIAŁ 41

Summer zmartwiała z przerażenia, gdy nagle drgnęła klamka i skrzypnęły drzwi łazienki. Na szczęście stanął w nich Steve, a nie jakiś zakonspirowany najemnik narkotykowego kartelu.

- Jak tu wszedłeś? - zapytała zdziwiona.

- Kiepski zamek, można palcem otworzyć. Mam dla ciebie mały prezent: pastę do zębów, szczoteczkę, pomadkę i grzebień. Kupiłem za ostatnie pieniądze... Renfro! - wyjaśnił z uśmiechem.

- Oj, świetnie, pasta, szczotka, pokaż! - ucieszyła się Summer i wysunęła rękę z wanny.

Cofnął się o pół kroku, zaczął się droczyć:

- Musisz wyjść, żeby sobie wziąć.

- To ty musisz wyjść, Calhoun! Z mojej łazienki - rozłościła się Summer. - Tylko przedtem zostaw, coś przyniósł. I poczekaj za drzwiami. Zaraz będę gotowa.

- W porządku, poczekam - zgodził się Steve.

Położył przyniesione drobiazgi na półce nad umywalką i zniknął za drzwiami. Summer wyszła z wanny. Gdy całkiem naga, jeśli nie liczyć turbanu z ręcznika na głowie, zaczęła czyścić zęby, Steve znowu wparadował do łazienki. On też był goły.

- Wynoś się stąd, ale to już! - wrzasnęła zirytowana i trochę speszona.

Parsknął śmiechem.

- Nie wstydz się! Nie masz się czego wstydzić z taką pupą i biustem!

- Steve, nie bierz mnie na tanie komplementy...

- To święta prawda, przysięgam!

Podszedł do wanny, sprawdził temperaturę wody. Stwierdził jak gdyby nigdy nic:

- O, taką właśnie lubię!

- Przecież to ja biorę kąpiel.

- A ja się przyłączam - uciął krótko i wskoczył do wanny.

- To ty się kąp, a ja sobie poczekam.

- Oj, nie wiem...

Steve zawiesił głos. Nim Summer zdołała się zorientować w jego zamiarach... chwycił ją za rękę i wciągnął do wody. Straciła równowagę, zwała się bezwładnie prosto na niego.

- Oj, nie wiem, czy tu nie będzie nam za ciasno! - dokończył przerwane zdanie.

Wstał, chwycił Summer w pól, przerzucił ją sobie przez ramię po strażacku, głową w tył, a nogami w przód, i, nie zważając na kapiącą z nich obojga wodę, ruszył w kierunku sypialni.

- Steve, połóż mnie zaraz, rozumiesz? - strofowała go Summer scenicznym szeptem, nie chcąc podnosić głosu przez wzgląd na cienkie hotelowe ściany.

- Rozumiem, oczywiście, że rozumiem - przytaknął i zrzucił ją z wyżyn swego ramienia prosto na łóżko, na szczęście wyjątkowo miękkie.

Nim zdążył wskoczyć za nią w pościel, syknęła jeszcze:

- Uważaj, wszystko będzie mokre!

- Przeszkadza ci to? - spytał niefrasobliwie.

I nie czekając na odpowiedź, zaczął ją całować i pieścić.

Minęło sporo czasu, nim zorientowawszy się, że łóżko jest naprawdę zbyt mokre, by na nim spokojnie spać, włożyli to i owo na siebie i udali się na nocleg do pokoju Steve'a, usytuowanego w odległym końcu motelu, pewnie za sprawą przypadku, choć być może - za sprawą... Sammy'ego Rosencransa. Zbliżała się już północ. W kiepsko oświetlonym korytarzu nie było żywego ducha, nie licząc paru nocnych motyli. Kiedy trzymając się za ręce niczym para nastolatków dotarli do właściwych drzwi, Steve wziął Summer w ramiona i zaczął namiętnie całować.

- Hej, jeszcze nie masz dość? - spytała ze śmiechem.

- Nigdy nie będę miał dość, póki żyję! Jestem nienasycony. Jeśli chodzi o ciebie, oczywiście.

Pogroziła mu żartobliwie. On puścił do niej perskie oko, wyjął z kieszeni klucz i wsunął go do zamka.

- Mówiłeś, że można palcem! - zadrwiła.

- Jeżeli już inaczej się nie da...

Steve otworzył drzwi, przepuścił Summer przodem. Nim do - sięgnęła kontaktu, żeby zapalić światło, przymknął za sobą drzwi.

To, co się potem wydarzyło, trwało sekundę, a najwyżej dwie lub trzy. Summer nie zdążyła nawet krzyknąć. Ukryty w mroku mężczyzna jednym potężnym ciosem w kark zwałił z nóg Steve'a, a w chwilę później ogłuszył również ją.

ROZDZIAŁ 42

Noc była po prostu piękna. Z leciuteńkim powiewem ciepłego wiatru. Z tysiącami mrugających gwiazd na niebie i księżycem niby ogromny srebrzysty rogal z dziecięcej kołysanki. Z chórem żab kumkających na setki głosów w jeziorze i z orkiestrą cykad wygrywających niestrudzenie swoje rozwibrowane tremolo.

Summer, związana i zakneblowana, leżała na ziemi i patrzyła, jak Mitch kopie płytki dół, który miał stać się wspólnym grobem jej i Steve'a.

Steve leżał obok, również zakneblowany i związany, a przy tym wciąż nieprzytomny. Wysłuchana w przerażeniu w hipnotyczny rytm uderzeń wbijanego w grunt szpadla, Summer w istocie zazdrościła mu tego braku świadomości. Jakże chciałyby też nie wiedzieć, co się wokół niej dzieje i co ją czeka! Wołałyby umrzeć, nie zdając sobie z tego sprawy. Wołałyby nie czuć i nie rozumieć, że umiera.

Spostrzegła światła samochodu, który przejeżdżał nie opodal drogą prowadzącą wokół jeziora. Gdyby ktoś zauważył, gdyby pośpieszył na ratunek! Nie mogło być o tym mowy, w ciemności, w środku nocy... W dodatku Mitch wybrał na miejsce ich śmierci i pochówku teren budowy, miejsce dokładnie osłonięte od strony szosy przez ogromne maszyny do prac ziemnych.

Steve drgnął, usiłując poruszyć najpierw nogą, a potem ręką. Najwyraźniej ocknął się z zamroczenia. Nic oczywiście nie był w stanie zdziałać, spętany, a dodatkowo jeszcze cały szczelnie okręcony liną, niczym mumia całunem. Mitch zauważył jego wysiłki, podszedł bliżej. Summer instynktownie zastygła w bezruchu, udając nieprzytomną. Mitch przykleknął obok Steve'a. Odezwał się z cicha, ni to do niego, ni to sam do siebie:

- Budzisz się, mój braciszku... Do diabła, po coś ty się w to pchał?

Steve nie mógł mówić, więc w odpowiedzi wydał tylko jakiś nieartykułowany dźwięk. Mitch monologował dalej:

- Braciszku, myślisz, że mam ochotę to zrobić? Wołałbym sobie rękę uciąć, przysięgam! Ale nie mam wyboru, nie zostawiłeś mi żadnej innej możliwości.

Znowu zdławiony pomruk Steve'a. I słowa Mitcha:

- No, dobrze, zdejmę ci ten knebel na minutkę, pogadamy.

Pytaj, o co tylko chcesz, już z niczego nie będę robił przed tobą tajemnic. I tak zabierzesz je wszystkie do grobu. Nic się nie wyda. Tylko pamiętaj, bez numerów, nie próbuj czasem krzyczeć, robić hałasu, bo cię w jednej chwili ukatrupię tym szpadlem...

Mitch zerwał szeroki plaster, którym zakleił usta najlepszego niegdyś przyjaciela. Summer usłyszała charakterystyczny chrzęst, a potem słowa Steve'a:

- Miałeś romans z Elaine wcześniej niż jaz Deedee, prawda?

- Wygadała ci? Spodziewałem się tego po niej! – Dopiero dzisiaj... To przez nią zabiłeś Deedee? Chciałeś się pozbyć własnej żony, żeby swobodnie kręcić z cudzą?

- Do diabła, nie! - obruszył się Mitch. - Zabiłem Deedee... Psiakrew! Skąd ty właściwie wiesz?

- Elaine mi powiedziała, że brałeś od niej klucz do mojego biura. Wiele razy. Interesowało cię moje śledztwo. Elaine dawała ci ten klucz, wiedziała, gdzie go trzymam w domu. Domyślała się, że musisz być w coś wplątany, ale nie dbała o to. Usidliłeś ją, była pod twoim urokiem. Długo, bardzo długo, nawet jak już się na nią wypiąłeś. Dopiero to porwanie Corey... Zrozumiała, że ani dziecko nie będzie bezpieczne, ani ona sama, dopóki ty nie trafisz za kratki, Mitch, razem z resztą swoich skorumpowanych kumpli!

- Steve, teraz już mogę ci powiedzieć... Brałem tę - brudną forszę od lat!

- Cholera, myślisz, że nie podejrzewałem tego? Ale też byłem pod twoim urokiem i nie chciałem patrzeć prawdzie w oczy. W końcu już nawet miałem pewność, a jeszcze, głupi, milczałem na ten temat... Mitch, powiedz mi chociaż jedno: po coś ty się w to wplątał?

- Forsa, bracie! Forsa to jest forsa! Nieważne, skąd pochodzi, nieważne, jak się ją zgarnia, byleby była! A to była cholernie duża forsa, Steve. I cholernie łatwo mi się ją zgarniało. Nic nie musiałem robić, tylko udawać, że nie widzę, jak prochy przeciekają przez mój teren. Zrozum, odwracasz tylko głowę i patrzysz sobie w inną stronę. Prochy spokojnie, po cichutku lecą. No i forsa leci! Do ciebie, prosto do ciebie, sama, bez kiwnięcia palcem! Za każdy przegapiony transport grube tysiączki!

- Mitch, ty przejąłeś furgonetkę, prawda?

- Już wiesz? Cholera, bracie, zawsze był z ciebie niezły detektyw! - przyznał Mitch z podziwem. - Jak to wyniuchałeś?

- A kto inny poza tobą i mną mógł pomyśleć o tym miejscu nad jeziorem? O tym hangarze, gdzie się tyle kiedyś napociłem nad twoją pieprzoną krypą? Wiedziłeś od swoich kumpli, że im zwędziłem samochód. Wiedziłeś, że będę go musiał gdzieś zostawić, bo jest za bardzo znaczny. No to pomyślałeś, sprawdziłeś i teraz go masz. Nikt o tym nie wie poza mną. Gdzieś ty go ukrył, Mitch?

- W bezpiecznym miejscu. Nikt go tam nie znajdzie. Tak jak nie znajdą nigdy ciebie, Steve, ani twojej dziewczyny. Żywych ani martwych. To miejsce, bracie, jutro będzie równiutko zabetonowane, pod parking. Załatwiłem wam naprawdę solidną betonową płytę

nagrobną, Steve! - Mitch zachichotał diabolicznie. - Nie będzie wachania kwiatków od spodu. Będą nad wami parkowali hotelowi goście. Tu zaraz, trochę bliżej jeziora, budują nowy hotel...

- Dlaczego chcesz nas zabić? Bierz forszę i zmywaj się, a nas tu zostaw. Znikniesz spokojnie, zanim nas znajdą. Nie zdołamy ci w niczym przeszkodzić.

- Nie zniknę, bracie, nie zniknę, w tym cały problem, że nie zniknę! Nawet jakby policja machnęła na mnie ręką, i DEA, i FBI... Kartel z Cali nigdy by mi nie darował tego przekrętu.

Węszyliby za mną po całym świecie, dopóki by mnie nie dopadli. Nie zaznałbym, mój braciszku, ani minuty spokoju, póki bym nie padł trupem. A tak... Wszystko pójdzie na twoje konto! Ciebie będą szukali, Steve, i tej dziewczyny, pomyślą, żeście prysnęli z ich forszą i zniknęli bez śladu. Zaczną was szukać w najdalszych zakątkach świata. A wy znikniecie bez śladu tutaj, tak blisko. Forsa będzie bezpieczna, ja będę bezpieczny...

Z tą całą kupą szmalu, bracie. Zwycięzca zgarnia wszystko!

Steve milczał. Mitch rozczulił się nagle:

- Braciszku, jakbym nie musiał, nigdy bym tego nie zrobił, zrozum! Nie bój się, to prawie nic nie będzie bolało. Trzepnę cię w główkę, wiesz, narkoza, zanim cię tu zakopię. Nie poczujesz, że umierasz, że się dusisz pod ziemią! Widzisz, robię, co mogę, bo przecież mi cię szkoda...

Mitch żałośnie pociągnął nosem, ale sięgnął po szpadel. Serce Summer przestało na chwilę bić z przerażenia.

- Stój! - syknął Steve. - Powiedz mi jeszcze, czemu zabiłeś Deedee?

Mitch zawahał się. W końcu odłożył szpadel i mruknął:

- No dobra, powiem ci, zasłużyłeś na prawdę przed śmiercią. Widzisz, prowadziłeś wtedy to śledztwo, goście z kartelu się wściekli, kazali sprawę zastopować. Mogłem cię kupić albo zabić. Żadne wyjście z tych dwóch nie było dobre. Byłem pewien, że takiego wiecznego skauta jak ty kupić się nie da. A zabić cię nie chciałem! Nie miałem pojęcia, co robić, twoje śledztwo szło coraz dalej, tamci naciskali... Na moje szczęście wpakowałeś się nagle w tę historię z Deedee. Postanowiłem to wykorzystać. Publiczny skandal! Mogłem się spodziewać, że po czymś takim cię wyleją. Więc wyreżyserowałem, no wiesz, jej samobójstwo, i całą tę hecę na wideo... niby - spowiedź przedśmiertną. Wszystko się świetnie udało, ta idiotka Deedee zadyndała w twoim biurze, zrobił się smród jak cholera, wywalili cię z policji na zbity pysk, śledztwo diabli wzięli... Wywalili cię, człowieku, ale przeżyłeś, rozumiesz? Deedee zginęła za ciebie! Wykończyłem ją, żeby cię oszczędzić. Bo nigdy jej nie kochałem, a

ciebie tak! Jej nigdy, a ciebie - zawsze! Cholera, ja cię kochałem przez tyle lat, Steve, a ty byłeś na tę moją miłość ślepy i głuchy! Nawet ci pewnie do głowy nie przychodziło, widziałeś we mnie kumpla, przyjaciela... A ja tak chciałem, żebyś zobaczył kochanka! Steve, to jest najskrytsza ze wszystkich moich tajemnic, jakie weźmiesz do grobu!

Mitch monologował histerycznym tonem, coraz wyraźniej tracąc panowanie nad sobą. Steve nie odzywał się. Summer leżała w bezruchu i milczeniu, czekając z rezygnacją na dalszy, nieuchronnie tragiczny bieg wydarzeń. Nie miała już żadnej nadziei, żadnych złudzeń. Kiedy Mitch zerwał się na równe nogi i, tłumiąc żałosne łkanie, zadał Steve'owi potężny cios drzewcem szpadla w głowę, zrozumiała, że wykonanie wyroku śmierci na niej jest tylko kwestią minut, a może nawet sekund, że wkrótce też zostanie ogłuszona... I jeśli się znowu ocknie, to już na tamtym świecie.

ROZDZIAŁ 43

*Kto grzeszy - jest człowiekiem,
kto żałuje za grzechy - jest świętym,
kto chełpi się grzechami - jest diabłem.*

Thomas Fuller

Towarzyszyła Steve'owi przez cały czas, ale już mu się więcej nie pokazywała. Nie chciała, odkąd znalazł sobie inną kobietę i posmakował z nią szczęścia. Ale też nie mogła. Miała wrażenie, że zdolność materializacji została jej odebrana. Że pozostawiono jej tylko zdolność widzenia i słyszenia.

Deedee widziała, jakie przygotowania przedsięwziął Mitch na śplachciu ziemi przeznaczonym pod budowę parkingu. Słyszała jego słowa wypowiedziane do Steve'a. A usłyszawszy je - zrozumiała wszystko. Całą swoją przeszłość i... przyszłość!

Kiedyś kochała Mitcha, i tylko jego, a on ją ranił, pozwalając sobie na coraz to nowe romanse. No więc i ona pozwoliła sobie na romans, żeby mu zrobić na złość. Steve był pod ręką, Steve był w niej od lat zadurzony, nie miała kłopotu z wyborem kochanka, nie musiała szukać daleko.

Gdy Mitch dowiedział się o wszystkim i urządził jej scenę zazdrości, była - pomimo łez - w siódmym niebie. Uznała naiwnie, że skoro jest zazdrosny, to ją kocha. Chętnie zgodziła się przyjąć warunki Mitcha: przebaczenie za pomoc w udzieleniu cudzołóżnikowi lekcji, której nie zapomni do końca życia. Zgodziła się wyrecytować do kamery tekst samobójczej deklaracji, który Mitch jej podsunął. Zgodziła się pójść z nim wieczorem do gabinetu Steve'a, przesunąć biurko, wejść na nie i wsunąć głowę w pętlę nylonowej liny, którą Mitch umocował na haku do zawieszania doniczek. Steve miał zaraz wejść, a ona miała go tylko postraszyć samobójstwem! Tak żeby mu się raz na zawsze odechciało romansów z mężatkami. Żeby już nigdy więcej nie ważył się pożądać... Żeby skurwiel zdrowo odpokutował przyprawienie rogów najbliższemu kumplowi! Tak mówił Mitch, jej ukochany Mitch, jej kochający, jej zazdrosny mąż.

To Mitch podsunął biurko pod hak. To Mitch pomógł jej wejść na blat. Tłumiła śmiech, wyobrażając sobie minę Steve'a, gdy zaraz wejdzie i zobaczy ją z tą pętlą wokół szyi. I prawdę mówiąc, przeoczyła nawet moment, w którym Mitch nagle wypchnął biurko spod jej stóp. Zawisła na linie bez oparcia. Pętla zacisnęła się naprawdę, ona zaczęła konwulsyjnie wierzgać, dusić się naprawdę, umierać naprawdę! I umarła jako rzekoma samobójczyni. To

Mitch upozorował jej samobójstwo, to Mitch ukartował jej śmierć, to Mitch zamordował ją z zimną krwią! A teraz chciał zamordować Steve'a i jego nową dziewczynę, Summer. Mitch, ten skurwiel...

To właśnie Mitch jest prawdziwym skurwielem. Mitch jest mordercą. Mitch z zimną krwią ukartował nowy mord. A ona, Deedee, ma go przed nim powstrzymać. Zrozumiała, że na tym właśnie polega jej misja na ziemi. Misja, którą musi wypełnić, by jej duchowi wolno było wreszcie ulecieć do nieba.

Deedee widziała, jak Mitch ciągnie bezwładne ciało Steve'a, jak je wpycha do wykopanego przedtem dołu, jak lokuje w tym samym dole ciało tamtej kobiety, jak przysypuje obydwie ciała cienką warstwą ziemi, jak wspina się do szoferki ogromnego walca drogowego, pozostawionego nie opodal przez ludzi budujących parking, jak uruchamia zdobytym nie wiadomo gdzie kluczykiem potężny silnik tej maszyny...

Walec drgnął i z łoskotem ruszył naprzód, ugniatając ziemię swoim wielotonowym ciężarem. Mitch nakierował go prosto na zasypane ciała. Drogowy kolos toczył się wolno, bardzo wolno, nieuchronnie jednak przybliżał się do miejsca, w którym...

Nie!!!

Deedee wiedziała, że coś musi zrobić, że musi Mitchowi to „nie” jakoś powiedzieć, pokazać, wykrzyknąć... W jednej chwili znalazła się obok niego. I właśnie wtedy raz jeszcze dokonał się cud materializacji. Deedee ukazała się Mitchowi! Zauważył ją. Poblądł... Pogroziła mu palcem. Wzdrygnął się i z obłąkańczym wrzaskiem wyskoczył z szoferki.

Nie wyłączył silnika, nie zatrzymał maszyny. Walec toczył się dalej w wyznaczonym kierunku. Deedee sama nie mogła przekreślić kluczyka, jej materialność była materialnością mgły, a nie materialnością ciała z krwi i kości. Chcąc nakłonić, chcąc zmusić Mitcha, by wrócił i zapobiegł tragedii, spłynęła za nim na ziemię.

Gdy ją znów spostrzegł obok siebie, rzucił się do ucieczki. Biegł z krzykiem w stronę szosy. Deedee ściagała go nieustępliwie niczym wyrzut sumienia, on biegł przed siebie, z przerażenia ślepy i głuchy...

Wpadł prosto pod nadjeżdżającą ciężarówkę. Deedee nie dane było go powstrzymać, nie miała wpływu na bieg jego losu. Wyrzucony w powietrze niczym taranem potężnym ciosem zderzaka rozpędzonego samochodu, zaczął krwawić śmiertelnie ustami i nosem, nim runął na drogę o dobre dziesięć metrów dalej.

ROZDZIAŁ 44

Uderzenie nie było dość silne, a warstwa ziemi dość gruba... Summer ocknęła się w chwili, gdy Mitch wyskakiwał z kabiny. Wypełzła na powierzchnię. Spostrzegła zbliżający się walec i bezwładnego, nieprzytomnego Steve'a. Zrozumiała, że skoro morderca oddalił się z miejsca zbrodni, ona ma szansę ujść z życiem, jeżeli zdoła wystarczająco daleko się przeturlać. I rozumiała, że Steve tę szansę może mieć tylko wtedy, jeśli się ocknie.

Nie zastanawiała się, co powinna zrobić. Działała instynktownie, jakby pod wpływem nagłego impulsu, nieoczekiwanego natchnienia. Zaczęła go zawzięcie kopać spętanymi nogami, zaciekle walić głową. Potworny, ryczący, miażdżący wszystko przed sobą mechaniczny gigant był coraz bliżej. Dwadzieścia metrów, piętnaście metrów, dziesięć metrów, pięć metrów...

Steve otworzył oczy, spojrzał na nią. Jakiś telepatyczny cud sprawił, że zrozumiał w mgnieniu oka, co oznaczają jej konwulsyjne gesty. Cud sprawił również, że w chwilę po odzyskaniu przytomności znalazł w sobie dość siły, żeby przeturlać się, tak jak Summer, w bok, poza linię przejazdu walca, który - pozbawiony kierowcy - przetoczył się ponad pustym już grobem i po niedługim czasie wjechał wprost do jeziora.

ROZDZIAŁ 45

Pogrzeb Mitcha odbył się w Nashville, w piątek. Steve i Summer byli na nim obecni. Nie rozmawiali o zmarłym. On nie był jeszcze do tego gotowy. Ona zdawała sobie sprawę, że nie powinna go ponaglać.

Na pogrzebie spotkali Elaine, drobną, atrakcyjną blondynkę, podobną do Deedee z opowieści Steve'a. „Czyżby ożenił się z nią tylko dlatego, że przypominała mu tamtą?” - zaczęła” się w pierwszej chwili zastanawiać Summer, ale niemal natychmiast dała spokój roztrząsaniom na ten temat. Steve był teraz jej mężczyzną, a ona jego kobietą. Ona, Summer, nie Deedee, nie Elaine, nie nikt inny, tylko ona. I to wszystko! Tak chciał Bóg, przeznaczenie, los czy jak tam jeszcze nazwać ową wyższą siłę, która niezmiennie każe dwojgu ludziom, mężczyźnie i kobiecie, poszukiwać się nawzajem w życiu. I która czasem pozwala im się nawet odnaleźć...

W sobotę Steve i Summer, już przesłuchani wstępnie przez policję, mogli przyjechać do Murfreesboro. Zatrzymali się w hotelu „Holiday Inn”. Summer doszła do wniosku, że nie potrafi już mieszkać w domu, gdzie dokonało się podwójne morderstwo - Lindy Miller i Betty Kern.

W hotelu Summer spotkała się wreszcie z matką i siostrami. Tyle im miała do opowiedzenia! O sobie i przede wszystkim - o Stevie.

Zasiadły razem do śniadania w hotelowej kafejce. Potoczyła się rozmowa na wiadomy temat.

- Jest sympatyczny, ale nie ma pracy - zauważyła starsza pani McAfee.

- Znasz go zaledwie od tygodnia - stwierdziła Sandra.

- Musi być świetny w łóżku, skoro tak bardzo cię wzięło - dodała z chichotem młodsza siostra, Shelly.

Summer zarumieniła się, pani McAfee zgromiła Shelly wzrokiem, ta z kolei zaczęła się tłumaczyć:

- Przecież wszystkie jesteśmy dorosłe, no nie? Ten Steve ma coś takiego w oczach... No, chociaż Lem był na pewno przystojniejszy.

- Lem był totalną pomyłką, prawda, Summer? - odezwała się Sandra.

Summer skwapliwie przytaknęła i uśmiechnęła się do siostry, wdzięczna za jakże trafną uwagę. Pani McAfee pokiwała głową.

- No tak, ma coś w oczach... Ale jeśli ten młody człowiek myśli o stałym związku,

powinien sobie znaleźć pracę, żeby cię jakoś utrzymać, Summer!

- Mamo, sama mogę się utrzymać, mam firmę, czyżbyś zapomniała? „Daisy Fresh - usługi porządkowe”. Właśnie od „Daisy Fresh” wszystko się między nami zaczęło...

- Dzień dobry paniom! - Przy kawiarnianym stoliku zupełnie nieoczekiwanie zjawił się Steve.

Summer znów zapłonęła rumieńcem. A jeśli słyszał uwagi jej matki i sióstr? Cóż, trudno, kiedy się zejdą razem cztery baby z jednej rodziny, muszą sobie trochę poplotkować i po - zrzędzić, nie ma na to rady!

Steve - uśmiechnięty, wyświeżony i wyelegantowany - prezentował się doprawdy wspaniale i w niczym nie przypominał dawnego Frankensteina. Nawet twarz miał już niemal całkowicie wygojoną.

- Proszę wypić z nami kawę - zaproponowała mu z uśmiechem pani McAfee.

- Dziękuję, ale obiecałem Corey, że pojedziemy dzisiaj kupić dla niej pieska, jeszcze przed południem. A że u niej „przed południem” znaczy „o dziewiątej rano”, dwa razy już dzwoniła i ponaglała. Pozwól, Summer...

- To na razie! - Summer pokiwała matce i siostrze ręką na pożegnanie. - Zobaczymy się później.

Wstała od stolika. Wyszli razem. Kiedy znaleźli się na parkingu przed hotelem, z dała od damskiego klanu McAfee, Steve zakomunikował:

- Ja już mam pracę, wiesz?

Więc jednak słyszał!

- Jeżeli o mnie chodzi, możesz nie mieć - zapewniła go Summer.

- Ale mam! Proponują mi nawet kilka posad do wyboru. Sammy Rosencrans chce, żebym został u niego w Murfreesboro szefem detektywów. Les Carter - żebym wrócił do dawnej roboty w Nashville. Larry Kendrick - żebym zaczął wszystko od nowa w DEA. Pewnie chce mieć dyskretnie na mnie oko, nie uwierzył do końca, że nie zwędziłem tej forsy...

Furgonetkę odnaleziono w zaroślach nad brzegiem jeziora, nieboszczyków w trumnach również, ale pieniądze przepadły bez śladu. Mitch gdzieś je ukrył, poszukiwania trwały, okolice Cedar Lake penetrowali służbowo policjanci, a prywatnie, za sprawą prasy, która rozgłosiła przeciek na temat zaginionej gangsterskiej fortuny, również liczni poszukiwacze skarbów.

- Wybierz, co ci najbardziej odpowiada - stwierdziła Summer, wsiadając do czerwonej mazdy Steve'a.

- Chyba wybiorę Murfreesboro...

- Naprawdę?

- Tak. Przecież ty masz tutaj swoją firmę! Zapomniałaś? „Daisy Fresh - usługi porządkowe”. Przecież od „Daisy Fresh” wszystko się między nami zaczęło. Chciałbym zamieszkać blisko ciebie...

- To może wynajmiemy jakieś domy po sąsiedzku? Pokręcił przecząco głową.

- Nie chcesz? - zasmuciła się Summer.

- Nie chcę być twoim sąsiadem. Chcę być... mężem. Chcę mieć z tobą wspólny dom!

- Naprawdę, Steve? Przecież znamy się ledwie od tygodnia, a ty... A ty tak bez namysłu mi się oświadczasz?

- Owszem. Przyjmujesz oświadczenia? Tak czy nie?

Siedzieli obok siebie w samochodzie. Steve odwrócił się w stronę Summer i popatrzył jej prosto w oczy swoim przenikliwym wzrokiem. Nie miała wyboru, musiała odpowiedzieć jednoznacznie! Zarumieniła się, uśmiechnęła i szepnęła:

- Tak...

Nic więcej nie mogła dodać, bo zamknął jej usta gorącym, namiętym pocałunkiem.

ROZDZIAŁ 46

Bóg w końcu zsyła spokój.

John Greenleaf Whittier

Wypełniła swoją ziemską misję i oczekiwała na wezwanie do drogi. Drogi dokąd? Może do nieba, może do piekła. Do Mitcha? Nie, w swoim piekle każdy cierpi sam, jak się zdaje...

Droga przeznaczenia poprowadziła Deedee najpierw do domu matki. Był wieczór. Starsza pani przygotowywała w kuchni kolację dla siebie i dla siostry. Ciotka Dot siedziała w saloniku przed telewizorem i oglądała wieczorne wiadomości. Magiczny przyrząd do kontaktów z duchami zwany *ouija* leżał sobie spokojnie na małym stolczku.

Wysięk woli... Wskazówka drgnęła i zaczęła się chaotycznie poruszać. Deedee nie chodziło jeszcze o żaden przekaz. Chciała tylko zwrócić uwagę ciotki.

Udało się jej to dopiero po kilku minutach. Starsza pani odwróciła wzrok od szklanego ekranu, rozejrzała się po pokoju... Kiedy zauważyła ruch wskazówki, zerwała się na równe nogi z wielkim krzykiem:

- Sue!

- Wielkie nieba, Dot, co się dzieje? - zaniepokojona matka przybiegła z kuchni ze ścierką w rękę.

- Sue, patrz tam! - ciotka wskazała na *ouija*.

- O mój Boże! To Deedee! To znów Deedee! Deedee, moje dziecko! Dot, czytaj razem ze mną... Deedee, dziecinko, co mi chcesz powiedzieć?

Wskazówka przestała się chaotycznie miotać, zaczęła powoli wskazywać litery:

- M-A-M-O...

- Boże, moje dziecko do mnie mówi!

- Cicho bądź, Sue, uważaj!

- ...W - N-O-C-Y - R-O-Z-K-O-P - M-Ó-J - G-R-Ó-B...

- Rozkopać grób, wielkie nieba!

- Cicho bądź, Dot, nie przeszkadzaj, jak moje dziecko do mnie mówi!

-...T-A-M - S-Ą - P-I-E-N-I-Ą-D-Z-E - B-A-R-D-Z-O - D-U-Ż-O...

- Pieniądze w grobie?

- Ciii...

- .. D-L-A - C-I-E-B-I-E - N-I-C - N-I-K-O-M-U - N-I-E - M-Ó-W...

- Co teraz mówi?

- Żeby nic nie mówić! Ciii...

- ...M-I-T-C-H - J-E-T-A-M - S-C-H-O-W-A-Ł...

- Mitch?

- Cicho, Dot! Deedee, córeczko, ty nie zabiłaś się sama, prawda? Czuję, że nie, zawsze czułam, że nie...

-.. T-O - M-I-T-C-H - M-N-I-E - Z-A-B-I-Ł...

- Morderca! Zawsze to czułam, przeczuwałam, że on cię kiedyś... Mówiłam ci!

- Sue, przestań! Nie przeszkadzaj jej.

-.. P-I-E-N-I-Ą-D-Z-E - S-Ą - N-I-C-Z-Y-J-E - W-E-Ż-J-E-...

- Córeczko, nie dbam o pieniądze, myślę tylko o tobie! Tak cię kocham, Deedee!

- J-A - T-E-Ż - C-I-Ę - K-O-C-H-A-M - M-A-M-O - W-E-Ż - J-E...

- Deedee, powiedz, gdzie jesteś? Czy z aniołami w niebie, dziecinko?

- Sue, nie krzycz!

- .. T-O - P-R-E-Z-E-N-T - D-L-A - C-I-E-B-I-E - O-D-E - M-N-I-E...

- Deedee, jesteś w niebie?

- Ależ, Sue...

- ...J-E-S-T - M-I - D-O-B-R-Z-E - W-E-Ż - P-I-E-N-I-Ą-D-Z-E...

- Wskazówka zwalnia, Sue, zaraz stanie.

- Nie odchodź, Deedee!

Ostatni wysiłek woli, wir wokół robi się coraz silniejszy, zaczyna wciągać, zasysać...

-...K-O-C-H-A-M - C-I-Ę - M-A-M-O!

Wir przeniósł Deedee na scenę. Wielobarwne, oślepiające reflektory, kamery telewizyjne, tłum na widowni, burzliwe oklaski... Mężczyzna, który śpiewał akompaniując sobie na gitarze, zakończył właśnie występ, schodzi z estrady, kłania się, tłum szaleje! Poznała go, to Jerry Wood, gwiazdor country. I odczytała neonowy napis w głębi estrady, który jaskrawym, pulsującym różem gigantycznych liter głosił: NASHVILLE LI - VE.

Gdy już zorientowała się, gdzie jest, domyśliła się, kto powinien niebawem wystąpić: Hallie Ketchum, młoda żona Hanka Ketchuma, starego bossa od nagrań, piosenkarka znana już publiczności z radiowych list przebojów, ale debiutująca w tak poważnej imprezie koncertowej na żywo, transmitowanej na całe Stany przez telewizję.

Hallie Ketchum, bez wątpienia... Tylko gdzie ona jest? W kulisach? Nie! Może w garderobie?

Była tam, Deedee ją odnalazła. Bezwładną. Chyba martwą. Hallie siedziała przy

stoliku do charakteryzacji, z głową opartą o blat, na którym wśród kosmetyków była też fiolka z białym proszkiem... Deedee zaczęła się domyślać wszystkiego. Paralizująca trema przed występem skłoniła Hallie do zaaplikowania sobie czegoś na odwagę, dziewczyna pewnie przedawkowała i zgasła, nie doczekawszy się debiutu. Wyzionęła ducha...

Ktoś zastukał w drzwi garderoby, żeby oznajmić:

- Jeszcze trzy minuty, pani Ketchum.

Bezwładne, martwe ciało. I bezcielesny duch. Duch, który poczuł nagle, że jego eteryczną substancję zaczyna zasysać wir znacznie silniejszy niż kiedykolwiek dotąd!

Deedee usiłowała się oprzeć tej niezwyklej sile, pozostać jeszcze choć przez chwilę w Nashville, w garderobie piosenkarki country. Nagle ujrzała przed sobą schody, świetliste, roziskrzone, oświetlone białym promieniem krystalicznie czystego i zachęcająco ciepłego światła. Wznosiły się prosto ku górze, ku wiecznemu szczęściu i radości, ku niebu...

Schody do nieba! Martwe, bezwładne ciało. I bezcielesny duch!

Deedee zrozumiała, pojęła... że dany jej został wybór. Niebo lub Nashville. Wniebowstąpienie lub wcielenie!

Deedee zawahała się. To światło było takie jasne, takie ciepłe i czyste!

Ktoś znów zastukał w drzwi.

- Jeszcze minuta, pani Ketchum!

Deedee przestała się wahać. Wybrała! Zrozumiała, że skoro może wybierać, to zamiast śpiewać z aniołami w niebie woli śpiewać niczym anioł w Nashville - w Eldorado muzyki country - Piosenkarka Hallie Ketchum ocknęła się nagle, oprzytomniała. Uniosła głowę znad blatu stolika i spojrzała w lustro z niezwykłym zdziwieniem, zupełnie tak, jakby po raz pierwszy miała okazję widzieć własne oblicze.

ROZDZIAŁ 47

W sobotni wieczór Hallie Ketchum zaśpiewała w „Nashville Live” swój przebój „Agony”, song o miłości i śmierci, tak wspaniale, że jedni krytycy nazwali ją wokalistką „uduchowioną”, a inni, dla odmiany, „natchnioną”.

W ten sam sobotni wieczór na cmentarzu w Murfreesboro dwie stare kobiety w czerni przyklękły ze łzami w oczach nad jednym z grobów i zaczęły go rozkopywać ogrodniczymi szufelkami.

Bardzo szybko natrafiły na plastikową torebkę z pieniędzmi.

- Są, Dot, są tutaj, tak jak mówiła Deedee! - odezwała się jedna z nich.

- Cicho bądź, Sue, nie hałasuj. Kopiemy dalej! - zburczała ją ta druga.

Po mniej więcej godzinie miały już całą stertkę identycznych plastikowych toreb z pieniędzmi.

- Dot, tutaj muszą być miliony!

- Ciii... Nie wolno nic nikomu mówić.

- Mamy to wszystko zatrzymać?

- No, przecież Deedee tak właśnie mówiła, Sue! Przecież powiedziała, że to dla nas...

Tego samego wieczora Steve odwoził do domu córkę i jej dopiero co kupione, wymarzone szczeniátko - pekińczyka. Elaine zgodziła się na pieska. Corey była absolutnie szczęśliwa... Steve również. Pozostało mu jeszcze wprowadzić parę kłopotliwych spraw do załatwienia - młody właściciel wiekowego chevroleta żądał odszkodowania za swój roztrzaskany wóz, kierowca furgonetki, wedle zeznania złożonego w śledztwie, zupełnie nieświadom faktu, że poza zwłokami konwojował coś jeszcze, domagał się zadośćuczynienia za uraz fizyczny, jakiego doznał, gdy Steve go ogłuszył... Cóż jednak mogą znaczyć takie kłopoty dla faceta, który cudem uniknął śmierci? I dla faceta, który napotkał przeznaczoną mu przez los kobietę?

Steve spojrział na Summer. Uśmiechnęła się do niego. Odpowiedział jej również uśmiechem, po chwili jednak spoważniał, posmutniał. Pomyślał o Mitchu, swoim starym przyjacielu, i o ponurych tajemnicach, które tamten zabrał ze sobą do grobu. Pomyślał też o Deedee. Zadumał się - dlaczego dar życia, dar szczęśliwego życia, został ofiarowany z nich trojga właśnie jemu, wiecznemu, niepoprawnemu skautowi? Jak to się stało, czym sobie na to zasłużył?

Corey drzemała na tylnym siedzeniu, psiak razem z nią. Summer, oparłszy się

wygodnie w fotelu, popatrywała w gwiazdy. Summer, szczęśliwa gwiazda jego życia...

Steve poczuł się prawdziwym szczęściarzem. I zwycięzcą. A kiedy przypomniał sobie słowa Mitcha - „zwycięzca bierze wszystko, zwycięzca zgarnia całą pulę” - miał już odpowiedź na swoje pytanie.